

WALERYA

OPOWIADANIE HISTORYCZNE
Z CZASÓW PRZEŚLADOWANIA
CHRZEŚCIAN

::: PRZEZ :::

KS. ANTONIEGO DE WAALA



BYTOM G.-Ś.

NAKŁADEM I CZCIONKAMI „KATOLIKA”
SP. WYDAWNICZEJ Z OGR. ODP. ::: 1912

5242

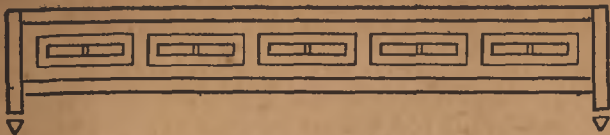
385920

I

K-72/15633

19.XI. 30.1





I.

Znak na niebie.

Opowiadanie nasze zaczyna się w jesieni roku 312 po Chrystusie. Kilka miesięcy przedtem, zanim w Rzymie Maksencyusz, syn Maksymiana, wydarł z rąk ojca zbrodniczym gwałtem władzę, wyniesiony został w Galii Konstantyn po śmierci ojca Konstancyusza Chlorusa przez wojska rzymskie na tron cesarski. Obaj władcy podzielili między siebie zachodnią połowę państwa rzymskiego w ten sposób, że Maksencyusz panował we Włoszech, w krajach nad północnem wybrzeżem Afryki i w Egipcie, — Konstantyn zaś był panem Galii, Hiszpanii i Brytanii. Podczas gdy Konstantyn za przykładem ojca łagodnością starał sobie pozyskać przywiązanie poddanych, Maksencyusz usiłował utrzymać się przy złupionej koronie coraz — nieznosniejszą tyranią. Z utęsknieniem, z roku na rok wzrastającym, spoglądali Rzymianie ku Galii tem więcej, że Konstantyna oprócz znakomitych zalet władcy jeszcze i pochodzenie z cesarskiego rodu odznaczało, podczas gdy ojciec Maksencyusza był prostym chłopem z Illyrii, którego Dyoklecyan jedynie dla jego dzikiej waleczności purpurą ozdobił.

Konstantyn znał doskonale usposobienie mieszkańców stolicy, oraz wiedział, jak nieprzychylnym jest mu Maksencyusz. Nikt nie wątpił, że raz między nimi do walki krwawej przyjść musi; Maksencyusz szukał nawet wprost do tego okazy, życzył sobie starcia, bo liczył na pewną wygranę. Wszakże miał dwa razy tyle wojska i znacznie obfitsze środki do prowadzenia wojny, aniżeli Konstantyn. Nieraz już widział się Konstantyn zmuszony, uspokajać gniew swoich wodzów, gdy wyzwaniu przeciwnika swego zeszedł z drogi. Często bowiem nadchodziły do niego listy od wysokiej szlachty rzymskiej z wezwaniem, aby przekroczył Alpy, Rzym od tyrana oswobodził i władzę nad Włochami i afrykańskimi prowincjami zagarnął. Lecz Konstantyn, jakkolwiek dość się czuł silny, aby się w razie zaczepki obronić, nie ufał siłom swoim, gdy chodziło o wyprawę do Włoch i zaczepienie nieprzyjaciela w jego własnym obozie. Z tej przyczyny unikał wszystkiego, coby go z Maksencyuszem na dobre poróżnić mogło, a nawet grzeszność posuwał tak daleko, iż na Nowy Rok i na rocznicę wstąpienia na tron przysyłał Maksencyuszowi listy z życzeniami, chociaż rzymski władca równą uprzejmością mu się nie odpłacał.

Konstantyn, teraz właśnie trzydzieści i ośm lat życia liczący, przebywał przez całe lato roku 312 w południowej Galii, w pobliżu miasta Lyonu. Było to przy końcu września, gdy dnia pewnego wracającemu z ćwiczeń wojskowych do namiotu władcy do nóg się rzucił Anicius Paulinus, jeden z najszlachetniejszych senatorów Rzymu, obecnie podobny do żebraka, odzianego po-

dartą szatą. Konstantyn poznał senatora, który za panowania ojca jego przez pewien czas był wojennym legatem, podniósł go z klęczek i zdziwiony a pełen współczucia zapytał, co się stało.

— Mój cesarzu — rzekł Paulinus ze łzami — wiedz, że Maksencyusz porwał mi najprzód małżonkę, a potem mnie o zdradę kraju oskarżył. Za sprawą wiernych przyjaciół i za przyczyną nieśmiertelnych bogów zdołałem zbiedz z więzienia, lecz cóż się mogło stać z mojami dziećmi? Pomścij mnie, cesarzu, pomścij Rzym deptany przez tyrana, pomścij siebie samego. Jeśli nie będziesz zważał na łzy całego ludu rzymskiego, wiedz, że między ofiarami tyrana znajdują się także potomkowie boskiego Klaudyusza, twojego pradziada. W ślepej nienawiści ku tobie pozwolił się ów nędznik unieść tak bardzo, że posągi twoje wywrócić a na ściennych obrazach twoich oczy ci wyżygać polecił.

Wodzowie otaczający cesarza Konstantyna, słuchali z wzrastającym gniewem opowiadania Paulinusa; przy ostatnich słowach wybuchnęli głośną groźbą. Niejeden sięgnął ręką za miecz, młodszy zaś pełni oburzenia a wojnę miłujący, zachęcali cesarza, ażeby krwawo pomścił zniewagę. Konstantyn usłyszawszy o postępowaniu Maksencyusza, zaczerwienił się mocno, a oczy błysnęły ogniem słusznego gniewu: to, co mu teraz doniesiono, było tak ciężką, osobistą obrazą dla niego, że niepodobna było przepuścić jej bezkarnie.

Ażeby wszystko dobrze rozważyć, wszedł sam do namiotu, jak to zwykł być czynić, gdy do ważnego kroku się gotował.

Podczas gdy cesarz, z duszą pełną gniewu, w namiocie swoim sam i tam chodził, w obozie między żołnierzami rozeszła się lotem błyskawicy wieść o zniewadze cesarzowi wyrządzonej i niebawem cały obóz zaczął rozbrzmiewać okrzykami: „Na Rzym! Śmierć nikczemnikowi!”

Tymczasem cesarz wahał się i walczył z sobą, co uczynić. Jakkolwiek wielce pragnął z mieczem w ręku żądać zadośćuczynienia za sprosłą zniewagę, to jednak nie taił przed sobą trudności, jakie temu na przeszkodzie stały. Obraza nie miała innego celu, jak zwabić Konstantyna za Alpy i w zasadzkę, gdzie doświadczone i dzielne legiony Rufusa wojsko jego zgnieść mogły. Wtenczas Galia, Hiszpania i Brytania dostaną się zwycięscy a Maksencjusz stanie się samowładcą całej zachodniej połowy rzymskiego państwa. Nakoniec wezwał cesarz pierwszego kapłana, Gordyana, ażeby się od niego o woli bogów dowiedzieć, a na radę wojenną cały swój sztab i najbliższych zaufanych. Także i senator Anicius miał być obecny.

Między wodzami znajdowali się starzy i sławni bohaterowie, którzy walczyli na Wschodzie z Persami, nad Renem z Germanami, w Egipcie i w Brytanii; inni młodszy byli towarzyszami broni Konstantyna. Najmłodszym z nich był centuryon Kandydus, młodzieniec pięknej postawy, należący do najbliższych przyjaciół cesarza. Zawdzięczał to temu, że raz w gorącej bitwie walecznością swoją cesarzowi życie uratował.

Kandydus był synem Kastulusa i Ireny. Ojciec i dwie siostry jego poniosły śmierć męczeńską za wiarę. On sam był także chrześcianinem.

Wszyscy żołnierze szanowali tego walecznego i szlachetnego młodzieńca; chrześcijanie zaś, których było wielu w wojsku Konstantyna, czcili go jako wzór i przykład wszelkiej cnoty. Albowiem jak trzech babilońscy młodzieńcy w płomieniach ogni-stego pieca bez szkody pozostali, tak i on wśród pokus życia wojskowego pozostał czystym i nie-skalanym.

Do rady wojennej należeli także królowie i wodze germańskiego i brytańskiego wojska za-ciężnego. Między nimi odznaczał się król ale-mański, Erok, starzec siedmdziesiątletni wpra-wdzie, lecz wysokiej, okazałej postaci z głęboką raną przez czoło i siwą brodą, sięgającą mu prawie do pasa. Konstantyn szanował go wiel-ce, albowiem zawdzięczał mu głównie, że po śmierci ojca wojsko okrzyknęło go cesarzem.

Gdy wszyscy wodzowie się zgromadzili, ode-zwał się cesarz w te słowa:

— Słyszeliście, jak mnie Maksencyusz znie-ważył. Nie było potrzeba waszego wezwania ani okrzyków żołnierzy, aby mnie do zemsty zapalić. Lecz jak nieśmiertelni bogowie nie karzą natych-miast każdej zbrodni, raczej stósownej chwili czekają, tak godzi się monarsze działać rozwa-żnie. Dlatego wezwałem was, abyście mi zda-nie swoje objawili. Kazałem także zapytać się bogów, jaka jest ich wola, a kapłani przyniosą nam niebawem odpowiedź.

Gdy Konstantyn zamilkł, odezwał się król Erok.

— Myślałem, że nas zawołałeś, aby nam po-wiedzieć, że jutro razem ze świtem całe wojsko ruszyć powinno, gdyż w ciągu miesiąca musi

stanąć pod murami Rzymu. Wyprawa ta bowiem powinna trwać tylko kilka tygodni; w niepowstrzymanym pochodzie, wciąż naprzód, cios po ciosie przeciwnikowi zadając, powinniśmy go powalić. Maksencjusz jeszcze w łożu będzie spoczywał, gdy nasze miecze zaszczykną o podwoje jego sypialni.

Z okłasków, jakie tym słowom towarzyszyły, poznał cesarz, że król mówił po myśli wszystkich.

On sam także tylko wtedy przypuszczał, że zwycięży, skoro gwałtownie szybko napadnie w kwaterach Górnych Włch rozłożone legiony Maksencjusza, a potem w prędkim pochodzie stanie przed bramami Rzymu. Legaci i trybunowie wojskowi podzielali to zdanie. Dowódzca okrętów zaręczał, że z łatwością zdobędzie wyspę Korsykę i Sardinję i zaopatrzy w żywność wojsko lądowe. Właśnie Konstantyn chciał powiedzieć: *Alea jacta est* (kości rzucone), — gdy wtem wszedł kapłan Gordyan, z wieńcem na głowie i laską używaną przy ogłaszaniu woli bogów, otoczony kapłanami.

— Posłuszni twemu rozkazowi, o boski cesarzu — odezwał się — badaliśmy z wnętrzości zwierząt ofiarnych, jaka jest wola wiecznego władcy. Obyś doczekał, co ci przyniesie szczęście, zbawienie i pożytek; lecz wiedz, że znaki bogów są niepomyślne: bogowie nie sprzyjają twoim zamiarom.

Te słowa podziały na obecnych, jak mróz działa na świeże kwiecie. Wszyscy patrzeli na siebie pytająco. Cesarz sam był najwięcej zmieszany.

Cisza panowała w radzie; któżby śmiał bowiem sprzeciwiać się woli bogów?

Anicius Paulinus, rzymski senator, przejęty był boleścią i rozpaczą.

— Nie, nie — zawołał — bogowie nie mogą sobie życzyć, ażeby ten potwór jeszcze dłużej nad Rzymem panował. Albo tłumaczenie znaków jest błędne, albo... nasi bogowie niech sobie szukają w innych narodach czcicieli.

— Niech bogowie darują twojej boleści zbrodnicze bliźnierstwo — odpowiedział na to Gordyan. — Jakże możesz twoim rozumem mierzyć plany wiecznych? Tłumaczenie znaków jest bez błędu i przyjdzie dzień, w którym boski Konstantyn pozna, że bogowie swego ulubieńca dzisiaj od niebezpiecznego przedsięwzięcia wstrzymali, aby go tem pewniejszą drogą do tem większej chwały i potęgi doprowadzić.

Jakkolwiek słowa Paulinusa zyskały poklask u niejednego z wodzów, słowa Gordyana z taką powagą wyrzeczone sprawiły, że ten i ów innym okiem na wielkie niebezpieczeństwa wyprawy patrzeć zaczął. Jeden radził ściągnąć wojska rozłożone wzdłuż Renu dla obrony granic, aby z większymi zastępami stanąć naprzeciwko nieprzyjaciela; drugi uważał, że wyprawa jedynie wtedy udać się może, skoro królowie zachodu z nią się połączą; inny wogóle nie radził przedsiębrać wyprawy z tej przyczyny, ponieważ bogowie są jej przeciwni. Działanie wbrew woli bogów jest niepewne, i niebezpieczne. Lepiej odłożyć zemstę na sposobniejszą porę.

Wtedy powstał Kandydus i rzekł:

— Mój panie i władco! Przebacz najmłodszemu, że w obecności starych wojaków wypowie śmiało słowo. Jeśli chcesz ciągnąć na Rzym w tej jedynie myśli, ażeby osobistą zniewagę pomścić, należy powiedzieć, że krew przytem przełana, Bogu przyjemną być nie może. Lecz skoro udasz się do Rzymu, aby miasto od nikczemnej tyranii barbarzyńcy uwolnić, niewinność i cnotę przed zbrodnią i gwałtem zachować, ludowi rzymskiemu zamiast niewoli wolność i spokój wrócić, wtedy Bóg pobłogosławi naszemu orężowi a tobie dostanie się obok sławy zwycięscy jeszcze piękniejsza sława ojca ojczyzny.

Gordyan rzucił na męznego centuryona wzrok pełen wielkiej nienawiści; wiedział on dobrze, że Kan dydus jest chrześcianinem i pogardza wyrocznią i znakami z wnętrzości zwierząt.

— Na Boga! Mądrość jest u młodzieży — zawołał król Erok. — Słyszysz, imperatorze, jak żołnierze coraz głośniejsze okrzyki wznoszą przed twoim namiotem? To też jest głos bogów. Jeżeli chcesz, poślę do mądrych niewiast naszego narodu, które są tak bliskie niebieskich, jak twoi kapłani i każę im badać wolę bogów.

Trybun Artemius, mąż spokojny i rozważny i dlatego u cesarza wielkie zachowanie mający, zgadzał się także na zdanie centuryona. Lecz większość zebranych, mianowicie starsi uważali za rzecz niedobłą, zaczynać w tak niepomysłnych okolicznościach wyprawę, przy której cesarz wszystko, władzę i życie, na niebezpieczeństwo narażał. Narada stawała się coraz gorętsza. Konstantyn, wierzący w zwycięstwo tylko wtedy, gdy wszyscy będą zgodni i pełni zapału, właśnie

chciał zakończyć narady oświadczeniem, że się woli bogów poddaje, gdy nagle żołnierz wbiegł do cesarskiego namiotu i drżąc z wzruszenia, zawołał:

— Pójdźcie i patrzcie na obraz, jaki się na niebie ukazał.

Wszyscy wyszli przed namiot.

Nieopisane poruszenie panowało między żołnierzami zgromadzonymi przed namiotem. Jedni klęczeli i modlili się z wyciągniętymi rękami, inni rzucali się do nóg Konstantynowi, inni utkwili oczy w tajemniczej trwodze z powodu cudownego zjawiska.

Nad słońcem zniżającym się ku zachodowi, widać było wielki i w ogromnem świetle promieniający znak z wyraźnym w około napisem greckim: „W tym znaku zwyciężysz!”

Na widok znaku na niebie, padł Kandydus na kolana, a wyciągając ręce zawołał ze łzami:

— Bądź pozdrowiony, wzniosły znaku mojego Pana, jedyna nasza nadziejo! Skoro ty nam świecić będziesz, któż zdoła się nam oprzeć?

Podniósłszy się potem z klęczek, odezwał się do Konstantyna, wpatrzonego w znak niebieski:

— Tak, cesarzu mój i panie, w tym znaku zwyciężysz. Nie ludzkie usta ci to mówią, lecz samo niebo obiecuje. Patrz, przed tym znakiem drżą duchy ciemności; i twoi nieprzyjaciele upadną przed nim na ziemię.

— Rozpoznaję — odpowiedział na to Konstantyn, ciągle na znak niebieski patrząc — że znak składa się z połączonych w jedno głosek greckich chi i rho; lecz daremnie się pytam, coby to znaczyć mogło.

Kandydus zabierał się do tego, ażeby podać chrześcijańskie wytłómaczenie znaku, gdy uprzedził go Gordyan.

— Boski władco — rzekł głośnym głosem, aby go wszyscy słyszeli — podług reguł proroczych wyższa wyrocznia unieważnia niższą, znak na niebie znosi proroctwo z wnętrzości zwierząt. Zaprawdę, jesteś wybranym ulubieńcem bogów, którzy chytrąść duchów niszczą a ich niepomysłne znaki za pomocą tego zjawiska niebieskiego w pomysłne zamieniają. Albowiem znak na niebie tak tłómaczyć należy: Wielki Mitrás, którego ty z wojskiem jako niezwyciężonego a wszystko pokonywającego boga słońca czcisz, ma być twoim znakiem i przewodnikiem. Owe greckie litery w połączeniu z napisem znaczą: Jeżeli wybierzesz Mitrasa, niezwyciężonego boga słońca, na przewodnika, odniesiesz wielkie zwycięstwo i wielkie szczęście cię spotka.

Gordyan powiedziawszy to, rzucił złośliwe spojrzenie na Kandydusa a tryumfujący uśmiech osiadł mu na twarzy, gdy otaczający cesarza wodzowie, ucieszeni ze zmiany znaków, zaczęli wołać:

— Omen accipimus, przyjmujemy pomysłny znak, Mitras niech nas wiedzie do zwycięstwa.

Okrzyki te powtórzyli żołnierze. W całym obozie grzmiało: Omen accipimus! Do Rzymu! Do Rzymu!

Lecz cesarz Konstantyn milczał i jeszcze zdania stanowczego nie wypowiedział. Nie zadowolilo go to, jak Gordyan znaki wytłómaczył. Miał wzrok ciągle zwrócony na niebo i owe połączone głoski, jaśniejące nad słońcem. Nie do

słońca, lecz do znaku nad słońcem odnosiły się słowa: W tym znaku zwyciężysz!

Także i król Erok, który słowa Gordyana zaledwie pół na pół zrozumiał, ponieważ po grecku jeszcze gorzej mówił, niż po łacinie, patrzył zamyślony na niebieskie znaki i życzył sobie, aby mógł zapytać się kapłanów swojego narodu o wytłómaczenie tajemniczego zjawiska.

Kandydus, patrząc bacznie na cesarza, odgadł jego myśli; odważnie przeto wystąpił naprzód, wyciągnął tesserę czyli znak, po którym chrześcijanie się poznawali i pokazał cesarzowi. Na tesseractach wyryte były te same głoski, jakie widniały na niebie. Potem odezwał się w te słowa:

— Cesarzu, mój panie, nam znaki te nie są obce: są to połączone dwie pierwsze głoski greckiego słowa Chrystus. My chrześcijanie piszemy je na grobowcach naszych zmarłych, aby zaznaczyć, że wierząc w Chrystusa, syna Boskiego, zwyciężyli śmierć i przeszli do wiecznego spokoju. W naszych świętych księgach nazywają Chrystusa słońcem sprawiedliwości; gdy uczniom swoim na górze Tabor się ukazał w niebieskiem przemienieniu, wtedy oblicze jego promieniało jak słońce; tron jego jest podług słów świętych śpiewaków, jak przed obliczem Boga. Jakież znaczenie miałoby mieć greckie słowo „chaire”, bądź pozdrowiony, w połączeniu z napisem na niebie, o czem Gordyan mówił? To słowo wykrzykują papugi na powitanie wchodzących w progi domu.

Objaśnienie centuryona nie bardzo się podobało wodzom; niejednen z nich wstrząsnął głó-

wą, wszyscy zaś patrzeli na cesarza, ciekawi, co on powie.

— Te głoski mają być znakiem twego Boga? — zapytał Konstantyn, marszcząc czoło.

Potem znów zamilkł i myślał.

A więc nie Mitras, ani nie Jupiter, ani Mars, których dotąd wojsko rzymskie na pomoc wzywało, którym ołtarze wznosiło, którym wszelkie sławne czyny przodków i swoje własne przypisywało, nie: bóg chrześcian, przeciw któremu Dyoklecjan najkrwawsze wydawał edykta, zaś cesarze Zachodu jeszcze dotąd ogniem i mieczem walczyli, w którego większa część wojska nie wierzyła, — w nim ma położyć Konstantyn nadzieję zwycięstwa?

Cesarz znów podniósł głowę ku niebu. Wyjaśnienie znaku podane przez Gordyana nie zadowoliło go; słów Kandydusa wzdrygał się uznać; czyż nie można jeszcze inaczej i lepiej znaku wytłómaczyć? Lecz im dłużej na niebo spoglądał, tem więcej mówił mu głos wewnętrzny: Wierz słowom centuryona i ufaj!

— W jakiż sposób, mój znakomity centuryonie — zapytał nakoniec — mają te znaki przeprowadzić nas do zwycięstwa?

— Cesarzu i panie — odrzekł Kandydus — jeżeli dotąd orły były znakami, z którymi legiony szły do boju, natenczas rozkaż, aby przed wojskiem niesiono sztandar z imieniem Chrystusa. Tak poleca napis na niebie i w tym znaku odniesiesz zwycięstwo. Jeżeli zaś chcesz mi wyświadczyć łaskę największą, natenczas racz powierzyć ten sztandar moim rękóm. W każdej bitwie poniosę go przed legionami i w najzaciętszy bój

pójdę. Bądź przekonany, że orły Maksencyusza zamienią się wobec znaku Chrystusa w płochliwe kury, na które jastrzęb uderza.

Oko szlachetnego młodzieńca błyszczało ogniem świętego zapалу. Ze słów jego biła taka siła przekonania, taka pewność zwycięstwa, że nie mogło to pozostać bez wrażenia na cesarzu. Lecz Konstantynowi jeszcze daleko było do chrześcijaństwa, aczkolwiek matka jego Helena była chrześcianką. Zdawało mu się, że ze względu na legiony, czczące Mitrasa, bożka słońca, nie może sztandaru Chrystusowego nieść przed wojskiem.

Stary król Erok odezwał się tymczasem:

— Cesarzu, cobądź te znaki znaczą, rada centuryona, aby je umieścić na sztandarach legionów, jest bardzo doskonała. W tem zjawisku mamy niebieski znak, zapowiadający nam zwycięstwo. To nas zadowalnia. Każdy niech sobie tłumaczy znaki, jak chce.

Konstantyn trzymał się tej zasady, że w sprawach religijnych pozostawiał każdemu zupełną wolność osobistego przekonania; już z tej przyczyny musiała mu się podobać rada króla Eroka. Nadto bystry jego rozum poznał, że całkiem nowy sztandar bojowy, który ustawicznie żołnierzom cudowne zjawisko będzie przypominał, w każdej bitwie na nowo zapalał i męstwo ich zapalać musi. Raz tedy jeszcze spojrzawszy na niebieskie znaki i postanowiwszy zabrać się do trudnego dzieła, wystąpił cesarz na brzeg pagórka, na którym namiot jego stał, aby żołnierzom postanowienie swoje obwieścić.

W pełnem świetle słońca, nad którem ciągle jeszcze tajemnicze znaki promieniały, otoczony wodzami, stał młody cesarz w podniosłym nastroju ducha z powodu tego, co postanowił, z błyszczącym okiem, zarumienionem obliczem, pełen wojennej siły, szlachetności i męskości.

Dźwięcznie brzmiącym głosem w te do żołnierzy odezwał się słowa:

— Żołnierze! Wiecie, jak waszego cesarza znieważono, wiecie także, pod jakim niezdolnym jarzmem krwawej tyranii ślęczy stolica państwa. Gdy ja, wasz najwyższy wódz, wzdrygałem się przed przelaniem szlachetnej krwi moich wojowników, samo bóstwo przez to niebieskie zjawisko objawiło swoją wolę, zarazem orężom naszym zwycięstwo zapowiadając. Jestem posłuszny tej wskazówce z góry i wołam: Do Włoch! Dalej do Rzymu! Nowy sztandar, zamiast orłów, to niebieskie zjawisko poniosą przed wami; w tym znaku zwyciężymy i zanim miesiąc upłynie, staniemy u bram Rzymu. Jutro z brzaskiem dnia wyruszymy!

Jak szum fal morskich podniósł się gwar głosów ludzkich na te słowa. Cały obóz zagrzemiał ogromnym krzykiem radości; uderzono tarczami o tarcze, orężami o oręże; wszyscy byli pełni zapału i ochoty wojennej, jakiej Konstantyn u wojska swego nigdy jeszcze nie widział. Przed godziną jeszcze z trwogą myślał o tem, czy wyprawa się powiedzie; teraz natomiast nie wątpił o zwycięstwie; nawet choćby miał stanąć naprzeciwko dwa razy większej potęgi od swojej, nie tracił nadziei zwycięstwa.

Gdy słońce zaszło, zniknęło też zwolna niebieskie zjawisko. Żołnierze udali się do namiotów, ażeby się gotować do marszu.

Cesarz tymczasem polecił sprowadzić z pobliskiego Syonu zręcznych i doświadczonych złotników, oddał im wielką ilość złota i najkosztowniejszych pereł i drogich kamieni i sam podał dokładnie, jak mają zrobić nowy sztandar wojskowy. Na końcu długiego drzewca miały być pierwsze dwie litery imienia Chrystusa ze szczerzego złota, wokoło nich zaś wieniec ze złotych liści laurowych, ozdobiony podwójnym rzędem pereł. Pod tym znakiem wisiała na poprzecznym małym drzewcu chorągiew haftowana złotem i perłami. Poniżej chorągwi zaś umieszczono popiersie cesarza, jako boga słońca, na głowie z koroną z promieni słonecznych. Tak tedy w tym sztandarze chrześcijanie mogli widzieć znaki chrześcijańskie, poganie zaś przypomnienie boga słońca. Nowy ten sztandar, zwany labarum, stanowił odtąd główny znak wojska Konstantynowego.

Chorążym, noszącym ten sztandar, zamianował cesarz centuryona Kandydusa, ulegając jego prośbie; nie mógł powierzyć go godniejszym ręką.

Podczas gdy nocą żołnierze, leżąc przy ogniskach, wśród śpiewów i okrzyków o przyszłych zwycięstwach rozprawiali, Kandydus zgromadził w swoim namiocie gromadkę żołnierzy chrześcijańskich, aby wspólnie z nimi dziękować Bogu za cudowny znak. Potem rozmawiali, z sobą pełni nadziei, że chwila tryumfu dla krzyża się zbliża, że cesarz Konstantyn zostanie chrześcijanin.

nem, że Rzym i całe państwo rzymskie zostanie zdobyte świętym orężem ewangelii.

Kandydus miał jeszcze jeden powód radości: serce mu biło żywiej z uciechy, że zobaczy znowu niedługo swoją ukochaną matkę Irenę. Ciągłe do siebie pisywali a syn tak czcił matkę, że listy jej na klęczkach czytał, bo słowa jej za słowa świętej uznawał. Co z żołdu swego mógł oszczędzić, posyłał matce. Gdy został centuryonem, cieszył się z tego najwięcej z tej przyczyny, ponieważ mógł odtąd więcej matce posyłać. Senator Paulinus opowiedział mu, że matka jest zdrowa. Jakąż pobożną dumą nappełniło się serce jego, gdy tenże, aczkolwiek poganin, dość pochwalnych słów znaleźć nie mógł, aby określić męstwo, z jakim Irena zniosła śmierć małżonka i swoich dzieci i poświęcenie, z jakim odtąd oddała się w służbę biednych i chorych.

Kandydus, zaledwie z lat chłopięcych wyszedłszy, opuścił dom rodzicielski i oddał się zawodowi żołnierskiemu. Ostatni raz widział matkę przed siedmiu laty. Przed oczami duszy ciągle mu stała jakby święta. Po Bogu jej też jedynie zawdzięczał, że wśród pokus wszelakich zdołał zachować wiarę i niewinność. Jak radośnie wyobrażał sobie młodzieniec w duchu zobaczenie się z matką, gdy jako chorąży Chrystusa stanie przed nią i upadnie jej do nóg. Wspomnienie o śmierci ojca i sióstr radość jego duszy zaciemniało; gdy wróci do domu i matkę powita, wtedy uda się do grobu ukochanych swoich i oznajmi im, że Ten zwyciężył, dla którego mężnie śmierć męczeńską ponieśli.

Tylko jeden nie dzielił ogólnej radości, a tym był Gordyan. Leżąc samotny na wezgłowiach, z głową na rękę opartą, pięść zaciśniętą na stole trzymając, patrzył bezmyślnie przed siebie, nie zważając na wino i smaczne owoce na stole.

— Ośmieszył mnie ten młodzik gołowąs — szeptał, zaciskając zęby — ten pies chrześcijański. Nasze wyjaśnienie znaków cesarz odrzucił na stronę z pogardą, a zamiast nieśmiertelnych bogów Rzymu, trzykroć przekłute imię Nazareńczyka na sztandarze legionów umieścić i nieść każe. Nie, imperatorze, przynigdy! nie zwyciężysz pod tym znakiem. Gordyan ujmie się za swoich bogów i na skrwawionych pobojuwiskach, wśród trupów twoich poległych żołnierzy, będę obchodził uroczyste tryumfy naszych nieśmiertelnych bóstw nad Galilejczykiem.

W godzinę później wyszedł z namiotu Gordyana niewolnik w podróżnych szatach i ostrożnie z obozu się wykradłszy i jak kot zręcznie przez palisady, którymi otoczony był obóz, przeskoczywszy, udał się w daleką drogę. W szatach jego zaszyty był list do Rufusa, naczelnego wodza legionów Maksencyusza, znajdujących się w kwaterach Górnych Włoch.

II.

Wierna do śmierci.

Po skwarnem lecie nastąpiła orzeźwiająca pora jesienna; obfity deszcz zrosił spieczoną ziemię rzymskiej Kampanii i sprawił, że łąny okryły się świeżą zielenią; druga wiosna ożyła, obwijając

pełne owoców kosze jesieni świeżemi wieńcami kwiatów.

W święto medytrynalii (11-go października), gdy nowego wina po raz pierwszy kosztowano, i dwa dni później w święto fontynalii, w którym źródła i studnie kwiatami zdobiono, zeszło się dużo ludu wiejskiego w Rzymie. Chcąc się przypatrzeć zabawie ludu, przybyli także bogaci Rzymianie do miasta z letnich mieszkań zamiejskich.

Aradius Rufinus, prefekt czyli pierwszy burmistrz miasta Rzymu, wrócił z żoną Sofronią i córką Waleryą do pałacu swego na wzgórzu Coelimoetium, niedaleko Lateranu. W tej części miasta znajdowały się pałace najznakomitszych rodów szlacheckich a jeden był wspanialszy od drugiego; tam mieszkał Maryusz Maximus, Walerysz Aradius, Symmachus i inni.

Aradius Rufinus służył najprzód pod Maxymianem, potem pod Konstantynem Chlorusem; Konstantyn i Maksencjusz byli w młodości jego towarzyszami broni. Przebywając następnie na dworze Dyoklecjana w Nikodemii w Małej Azji, ożenił się z Sofronią, córką jednego z książąt tego kraju i miał z nią trzech synów i córkę. Wychowanie synów powierzył Laktancyuszowi Firmianowi, którego Dyoklecjan na nauczyciela wymowy do Nikodemii powołał. Nie domyślił się, że Laktancyusz krótko potem chrześcianinem został, a ponieważ obowiązki służby Rufinowi rzadko kiedy w gronie rodziny przebywać pozwalają, przeto nauczyciel mógł zasiać w sercach dzieci pierwsze ziarna chrześcijaństwa. Trzej synowie Rufina nie pozostali jednak zbyt długo

pod wpływem Laktancyusza, bo ojciec wnet ich zabrał do obozu, aby ich zaprawiać do spraw wojskowych. Natomiast serce Waleryi okazało się wrażliwszem dla nauki chrześcijańskiej, tem więcej, że piastunka jej była chrześcianką. Krwawe edykta, wydane przez Dyoklecjana w roku 303 przyniosły, jak wielu innym, tak i piastunce Waleryi śmierć męczeńską. Lecz zaledwie Dyoklecjan w roku 305 koronę złożył, skutkiem czego prześladowania nieco zwolniały, udała się Walerya potajemnie do kapłana chrześcijańskiego, ażeby się lepiej w nauce chrześcijańskiej wydoskonalić. W następującą Wielkanoc otrzymała chrzest święty.

Gdy w roku 306 Maksencyusz we Włoszech panowaniem zawładnął, zaprosił towarzysza broni, znając go jako bardzo zdolnego człowieka, do Rzymu, i ofiarował mu stanowisko wysokie, schlebające jego ambicyi. Rufinus sprowadził się z żoną i córką do stolicy, gdzie mu cesarz po kolei bardzo ważne urzędy powierzał, aż na koniec na początku roku 312 prefektem miasta go zamianował, składając w ten sposób kierownictwo wszelkiej administracyi cywilnej w jego ręce.

Rufinus liczył wówczas nieco nad pięćdziesiąt lat, podczas gdy jego małżonka jeszcze czterdziestego roku nie ukończyła. Był on postaci wysokiej i wspaniałej, prawie żołnierskiej; Sofronia zaś odznaczała się pięknnością, która w Rzymie tem więcej podpadała, ponieważ żona prefekta ubierała się w szaty, jakie znakomite niewiasty w jej ojczyźnie nosiły. Walerya, mająca obecnie szesnaście lat, była więcej do matki, niż do ojca

podobna. Można ją było porównać z kwiatem, wyrosłym w ogrodzie Wschodu, a przesadzonym na Zachód. Czarne włosy okalały w bujnych spleciach okrągłą twarzyczkę o delikatnych rysach a z ciemnych ocz patrzyła szlachetna, czysta dusza pełna dziecięcej niewinności. Umysł jej był bardzo żywy a przytem posiadała niezwykłą energię woli. Nic dziwnego też, że stanowiła rozkosz i chlubę rodziców, którzy jedyne to w domu pozostałe dziecko swoje bardzo kochali. Dwaj synowie znajdowali się na dalekim wschodzie, u granicy państwa w wojsku cesarza Liciniusza, trzeci zaś zginął na polu bitwy.

Walerya chrześciana nie życzyła sobie niczego goręcej, jak aby nakłonić najprzód matkę a następnie ojca do przyjęcia wiary chrześcijańskiej. Krótco po przybyciu do Rzymu wyznała rodzicom, że jest chrześciana, a jakkolwiek Rufinus zrazu był zdziwiony i rozgniewany, z miłości serdecznej do córki niebawem się z tem pogodził.

Matka jej, Sofronia, przebywając najczęściej sama w domu, (bo mąż rozliczne miał zajęcia w swoim urzędzie), rozmawiała o nauce chrześcijańskiej z córką. Było do tego tem więcej sposobności, ponieważ Sofronia niechętnie brała udział w zabawach, szczególnie zaś w wspaniałych festynach wyprawianych przez cesarza w cesarskim pałacu. Ile razy jednak matka, nie mogąc się wymówić, na bale się udawała, córka z jej nieobecności korzystając, czas spędzała na modlitwie, aby Bóg raczył otworzyć serce i rozum matki w celu poznania prawdziwej wiary.

Przeszłej zimy poznały się obie z Ireną, która je nauczyła, jak wykonywać chrześcijaństwo przez uczynki miłosierdzia. W biednych chatach mieszkańców części miasta, zwanych Suburrą i Trastevere, znano żonę i córkę prefekta miasta. Jakkolwiek stósunki zewnętrzne, godność i bogactwo wielką różnicę między Sofronią a Ireną, żyjącą w skromnych warunkach, stanowiły, to jednak Irena za pomocą swojej żywej wiary, gorącej miłości bliźniego i wielkiego doświadczenia wywierała pewien urok na obie niewiasty tak, iż o różnicy stanu całkiem zapominały. Walerya uskarżała się nieraz z pewną niecierpliwością przed Ireną, że matka jej tylko ze względu na urzędowe stanowisko męża nie mogła się na to zgodzić, aby uczyć się nauki chrześcijańskiej i przygotowywać się do chrztu św. Irena pocieszała pobożne dziecko tem, że modły biednych osiągną upragniony skutek.

Jak to trudno możliwym tego świata znaleźć furtkę do nieba! Względy i obowiązki stanu i publicznego stanowiska stanowią dzisiaj i stanowiły wówczas dla małżonki prefekta Rzymu nieprzebytą prawie przeszkodę, aby zostać chrześcianką.

Rufinus wiedział, że żona jego skłania się ku chrześcijaństwu, i chociaż ostatecznie acz z niechęcią zgodził się na przyjęcie nowej wiary przez córkę, żonie oświadczył z jak największą stanowczością, że gdyby tak samo uczyniła, natenczas musiałby się z nią natychmiast rozwieść.

„Gdybym nie był urzędnikiem” — tak mówił — „mógłbym ci pozwolić na to, lecz żona pierwszego urzędnika miasta Rzymu nie może wy-

znawać innej wiary, jak tę, która jest wiarą rzymskiego cesarstwa.”

Maksencyusz, gdy wstąpił na tron, starał sobie miłość ludu rzymskiego pozyskać i przeto położył koniec prześladowaniu chrześcian. Niestety łagodność ta trwała tylko tak długo, aż panowanie, własnemu ojcu wydarte, sobie upewnił. Gdy mianowicie wódz jego Rufus Egipt mu zdobył, i gdy cesarz Galeryusz w maju 311 r. umarł, uważał Maksencyusz tron swój za pewny i wtedy dopiero pokazał się tem, czem był w rzeczywistości. Z przerażeniem i drżeniem patrzył Rzym codziennie na liczne dowody okrucieństwa, chciwości i najwyuzdańszej lekkomyślności, z jaką cesarz postępował sobie względem wielkich i małych, chrześcian i pogan. Gdy w roku 311 głód w stolicy nastał, Maksencyusz zachęcał żołnierzy, ażeby używali wszystkiego, rozrzucając i niszcząc, czego nie zjedzą, a gdy lud szemrał, cesarz rozkazał wojsku uderzyć na zgłodniałe tłumy i w ten sposób „głód ich na zawsze uśmierzyć”. Pieniędzy z podatków bardzo wielkich i z wielką surowością pobieranych używano dla wojska albo też na niepotrzebne budowy gmachów zbytkowych; jeszcze na drodze apijskiej cyrk nie był skończony, a już rozkazał cesarz wznosić na rynku wspaniałą halę na cześć zmarłego swego synka Romulusa, budowę taką, że pod względem bogactwa wszelkie dotychczasowe gmachy miała zaćmić. Tak okrutnie gnębił Maksencyusz obywatelstwo miasta; szlachcie zaś zabierał majątki a właścicieli wtrącał do więzienia. Nienawiść jego zwróciła się szczególnie przeciwko chrześcianom. Papież Marcellus po-

niósł już w r. 310 śmierć męczeńską; następca jego, Euzebiusz, musiał rok później udać się na wygnanie do Sycylii, gdzie wkrótce potem umarł; gdyby nie wzgląd polityczny na cesarza Konstantyna, byłby tyrański cesarz odnowił krwawe edykta przeciwko chrześcianom. Dotąd jeszcze się obawiał tego uczynić, bo znał jego łagodniejsze względem chrześcian usposobienie i wielką sympatyę, jaką się Konstantyn w Rzymie cieszył.

Rufinus byłby chętnie pozostawił żonę z córką w pięknem mieszkaniu letniem nad brzegiem morza w Antium, choćby sam wrócił do Rzymu na początku jesieni. Lecz cesarz zaprosił na święto meditrynalii żony wysokiej szlachty rzymskiej a żona prefekta Rzymu nie mogła się od udziału wymówić.

W kilka dni potem siedział prefekt z żoną i córką w wspaniałym przedsionku na zachodniej stronie swego pałacu, skąd było widać z dala góry albańskie z ich wioskami i pałacami. Słońce właśnie zachodziło. Sofronia utonęła w myślach poważnych i smutnych, które ją już cały dzień trapiły. Zdawało jej się, że głos wewnętrzny ją woła gdzieś daleko od Rzymu i wielki niepokój ją ogarnął. Rozmawiając przez chwilę z Waleryą o rzeczach religijnych, doznała nieco uspokojenia, skutkiem czego tem silniej ogarnęło ją pragnienie, aby nie tylko w sercu być chrześcianką, lecz i otwarcie to wyznać.

Gdy po wieczerzy niewolnik koszyk bardzo wielkich, czerwonych winogron na stół postawił a Walerya jedno z nich podjąwszy, unosić się zaczęła nad jego wielkością i pięknnością, odezwiała się Sofronia niezwykle poważnie w te słowa:

— Czyż ten owoc nie jest obrazem w cierpieniu i doświadczeniach chowanej duszy? Wyrosły na skalistym gruncie, do drzewa przywiązany, łzami sączący pod nożem ogrodnika, — takim oto musi zastać wiosenne słońce winograd, ażeby się nad nim ulitowało i najszlachetniejszemu owocowi wyrość na nim pozwoliło.

Walerya mimowoli położyła znowu winogrono w koszyczek; matka zaś uszczknawszy jedną z czerwonych jagód, rozgniotła ją w palcach i rzekła:

— Z wierzchu czerwona powłoka, to, co wewnątrz jasne i czyste, a wokoło twardych ziarn winnych słodki sok, — tak samo jest też z cierpieniem.

W oczach Sofronii zabłysła łza; mąż jej zaś i córka siedzieli milcząc, pełni smutku w sercu, i patrzeli na nią.

Nazajutrz rano byłby Rufinus najchętniej wcale się z domu nie wydał, nie chcąc pozostawiać żony, przejętej smutnemi przeczuciami, lecz w prefekturze miała się odbyć właśnie bardzo ważna narada, przy której musiał być koniecznie obecnym. Przyrzekł jednakowóż, że za godzinę powróci. Gdy wyszedł, Sofronia udała się do komnaty narożnej domu, skąd mogła patrzeć na drogę ku prefekturze, którą mąż jej postępował. Widok stamtąd był piękny. Wprost wznosił się wspaniały gmach amfiteatru Flawiana czyli Kolosseum, poza nim widać było świątynię Wenery i Romy, obok łuk tryumfalny Tytusa, na lewo wzgórze pałacowskie z przepysznymi pałacami cesarskimi. Jedna budowa wspanialsza od drugiej błyszczała tam w blaskach poran-

nego słońca: świątynia Jowisza Stafora, Septiconium Sewera i pałace Augusta, Tyberyusza i Kaliguli z lasem posągów i kolumn, oko pieszcząc bogatemi ozdobami ze złota i rzadkich marmurów. W oddali zaś widniał Kapitol z zamkiem i świątynią Jowisza.

Lecz oko Sofronii nie widziało tych wspałości; duch jej uleciał w dalekie strony, gdzie synowie jej byli, a niezmierna tęsknota ogarnęła jej serce; przypomniała sobie własną ojczyznę, krewnych i z westchnieniem podniosła zażawione oczy ku niebu.

Tem zajęta nie spostrzegła podejrzanych postaci, zbliżających się ku jej pałacowi; nie zauważyła, jak niewolnicy wszatach cesarskiej służby do vestibulum czyli przedsionka zamkniętą lektykę wnieśli, podczas gdy zbrojni żołnierze w pobliskiej uliczce jakby w zasadzce się ustawili.

Z namyslenia zbudziła Sofronię wiadomość, że cesarski urzędnik dworski życzy sobie w imieniu cesarza z nią mówić. W tej chwili prawie poseł stanął przed nią.

Na widok tego wstrętnego człowieka z podłym uśmiechem na twarzy wstrząsnęła się szlachetna niewiasta. Poseł zaś uklonił jej się bardzo nisko i bez ogródki oświadczył, iż boski Maksencyusz, zachwycony jej pięknością i wdziękiem, życzy ją sobie za małżonkę. Lektyka czeka na dole, w której ją do pałacu cesarskiego niewolnicy zaniosą, albowiem rozkaz cesarski opiewa, że wybrana cesarza natychmiast ma przybyć do niego.

Sofronia struchlała, usłyszawszy te słowa. Twarz jej stała się błądą jak kreda i przez chwi-

lę stała bez życia i czucia, skamieniała z trwogi, podobna do sarny, dostrzegającej nagle szakalę, przed którym ująć nie zdoła i którego pazury ją za moment rozszarpia. Wzrok błagalny ku niebu dodał jej odwagi i stanowczym tonem odezwiała się do posła:

— Donieś cesarzowi słowa jego służebniczki: Przysięgłam wierność mojemu małżonkowi Rufinowi, jestem chrześcianką i dlatego nie mogę uczynić po woli cesarza.

Na to odrzekł wysłaniec cesarski:

— Węzły łączące cię dostojna pani z mężem, mogą być rozwiązane; nikt nie jest nieśmiertelnym, mówi przysłowie. Cesarz żąda posłuszeństwa od ciebie nie jako od chrześcianki, lecz jako od kobiety.

Sofronia wzdrygnęła się.

— Nie! — zawołała z oburzeniem — nigdy, przenigdy!

— Natenczas wiedz, o pani — odpowiedział na to poseł — że mam rozkaz przyprowadzić cię bez zwłoki do cesarza, choćby gwałtem. Ażeby uniknąć wrzawy, obsadziłem cały pałac wojskiem, moi ludzie czekają w przedsionku.

Biedna niewiasta załamała rozpaczliwie ręce. Czyż niema ratunku?

Z głębi utrapionej i uciśnionej duszy zwróciła Sofronia wzrok pełen prośby ku niebu, a potem jakby się godząc na życzenie cesarskie, odezwiała się do posła:

— Daj mi tyle czasu, abym mogła włożyć szaty wspaniałe na siebie.

Wysłaniec skłonił się nisko na znak, że się zgadza, a gdy Sofronia wyszła, zaśmiał się szpetnie, mówiąc półgłosem:

— Podobna do innych i mówcie mi teraz o cnocie niewiast!

Upłynął kwadrans czasu, Sofronia się nie pokazywała. Posel zaczekał jeszcze chwilę, aż zniecierpliwiony i przytem gniewu cesarskiego się lekający, udał się do dalszych komnat. Gdy doszedł do drzwi komnaty Sofronii, zawołał raz i drugi, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Czyżby mimo warty Sofronia tajemnem wyjściem uciekła?

Nie namyślając się dłużej, wszedł do komnaty. W tej samej chwili Sofronia przebiła sobie serce krótkim mieczykiem i padła na ziemię, mówiąc:

— Panie Jezu, w ręce twoje oddaję mego ducha!

Z przekleństwem na ustach wyszedł posel cesarski z izby i opuścił pałac.

Historyk chrześcijański, Euzebiusz, opowiadający to zdarzenie w opisie życia cesarza Konstantyna, dodaje: „Ta niewiasta udowodniła czynem nam obecnie żyjącym i tym, którzy po nas żyć będą, że czystości tylko u chrześcian nie można zwyciężyć, albowiem jest ona nawet silniejszą od śmierci.” Sofronia w rzeczy samej jeszcze chrześcianką nie była, lecz myśl, że jako pohańbiona nie może być godną stać się dzieckiem Kościoła, popchnęła ją do ostateczności.

Zaledwie wysłańcy cesarza przybyli do pałacu, uwiadomiła niewolnica o tem Waleryę, która zajęta była nauką. Wystraszona dziewczę natychmiast pobiegło do komnat matki, lecz żołnierze nie przepuścili jej, jeden z nich zaś powłedział, o co chodzi. Niezmierna trwoga ogarnęła biedną.

Skoro po pół godzinie poseł cesarski z żołnierzami opuścił pałac, odetchnęła Walerya w nadziei, że matce udało się widocznie obronić przed oprawcami.

Pobiegła ku komnacie Sofronii, ciągle wołając: Matko, mateczko!

Lecz jakiż straszny widok przedstawił się jej oczom. Boże miłosierny, matka nie żyje!

Walerya krzyknęła okropnie i padła bez życia. Niewolnice z krzykiem wielkim podjęły ją z ziemi i zaniósły na łożo.

Tymczasem Rufinus szybko załatwił się ze sprawami urzędowymi i pełen niepokoju wracał do domu. Już w przedsionku domyślił się, że nieszczęście stać się musiało, bo służba płakała i biadała. Cały strwożony pobiegł do komnaty Sofronii. Ach! jakże mocno wstrząsnął tym silnym mężem widok okropny. Zmożony wielką boleścią rzucił się obok zmarłej, podniósł głowę jej i zawołał:

— Sofronio, słodka żono, to nieprawda! Tyś nie umarła! Odezwij się do mnie, powiedz choć słowo! Raz jeden jeszcze jedyny, otwórz oczy!

Lecz napróżno wołał: Sofronia przestała żyć. Gdy spytał o córkę, i usłyszał, że pozostaje w omdleniu, udał się, gdzie leżała.

Cóż się to stało z tej różyczki różanej? Błada jak marmur, z zamkniętymi i jakby zapadłymi oczami, bez czucia, bez ruchu leży tam oto jego biedna dziecina. Rufinus podjął jej rękę i gorączkowo ścisnął ją w swoich dłoniach, jakby się bał, ażeby mu i tej ostatniej pociechy śmierć nie zabrała. A gdyby to nie było omdlenie? Gdyby to była śmierć?...

Rufinus zachwiał się na tę myśl. Lecz niewolnice uspokoiły znękanego ojca zapewnieniem, że puls Waleryi bije a omdlenie niebawem minie. Należy jednak chorą zachować od wzruszeń.

Biedny ojciec wyszedł i błdził po wspaniałym pałacu, nie mogąc pojąć swego wielkiego nieszczęścia, które tak nagle na niego spadło. Był jak złamany i napróżno szukał oparcia w tym upadku. Dzisiaj po raz pierwszy przekonał się, że słaba moc śmiertelnego człowieka nie wystarcza do zniesienia ciężaru wielkiego nieszczęścia. Lecz napróżno wyczekiwał pokrzepienia od swoich bóstw pogańskich; żadne z nich nie wyciągnęło łaskawej ręki, aby podnieść go, a filozofia jego okazała się zupełnie w tym kierunku bezsilną.

Wtem jedna z niewolnic przyniosła pismo, znalezione teraz dopiero na stole w komnacie Sofronii.- Rufinus poznał rękę żony i chciwie zaczął czytać, co następuje:

„Mój mężu, sam Bóg wie, jak serdecznie kocham ciebie i nasze dzieci i jak mi serce pęka, że muszę was opuścić, nagle, bez pożegnania. Lecz nie mogę postąpić inaczej. Co mam najświętszego, to muszę bez skazy zachować; zginięłabym ze wstydu, gdybym pohańbiona do ciebie wrócić miała. Tem mniej zaś mogłabym się odważyć na prośbę o białą szatę świętego chrztu, której tak bardzo pożądam. Całą gorącością serca mego błagam Boga o wskazanie mi innej drogi ratunku; jeżeli pomoc nie nadejdzie, natenczas będę posłuszną wewnętrznemu głosowi memu i ujdę jak jeleni przed zasadzką strzelca w górę, dokąd nie zdąży noga prześladowcy.

Chrystus, w którego w cichości wierzyłam. którego umierając wyznaję, przyjmie duszę moją. W niebie będę się za ciebie modliła! Waleryo, słodkie dziecię moje, pociesz ojca twojego; poleć mnie modłom Kościoła; pamiętaj...”

Pismo było niedokończone; wejście wysłańca cesarskiego do komnaty przeszkodziło Sofronii napisać, jako wierzy i ma nadzieję, że niedługo się tam zobaczą, gdzie rozłączenie nie zagraża szczęściu błogosławionych.

Rufinus odczytywał kilkakrotnie pismo a smutek jego znajdował pewne ukojenie w obfitych łzach. Jaką czułą miłością przejęte było każde słowo Sofonii; jak w każdym zdaniu odzwierciadlała się szlachetna i wielka jej dusza!

Historia rzymska opowiada podobne zdarzenie o Lukrecyi, która nie chcąc przeżyć hańby, śmierć sobie zadała. Któżby był myślał, że i teraz jeszcze znajdzie się takie bohaterstwo? Czyn Sofonii przewyższał nadto o tyle czyn Lukrecyi, że przyczyny zabójstwa jej były szlachetniejsze i źródło swoje miała w zacnem zapatrywaniu o czystości i wierności małżeńskiej chrześcian.

W tej chwili oznajmiła jedna z niewolnic, że Walerya ocknęła się z omdlenia i życzy sobie widzieć ojca. Gdy nadszedł, wyciągnęła ku niemu rękę; oboje nie przemówili ani słowa; oczy ich i uścisk rąk jedyną był mową.

Tymczasem przybyła do domu żałoby Irena, zaufana przyjaciółka Sofronii, której doniesiono o tem, co się stało. Ta czcigodna matrona, pełna miłości chrześcijańskiej i współczucia dla bliźnich, potrafiła balsam przykładać na palące

rany; wносиła pokój do domu; dokąd przybyła, tam się też pojawiały: poddanie i nadzieja, owe dwa anioły, zesłane przez wieczne miłosierdzie na ten padół płaczu, aby słabi śmiertelnicy nie upadli pod ciężarem swoich krzyżów.

Przy śmierci szlachetnych ludzi tajemniczą bywa pociechą dla pozostałych wspomnienie ostatnich słów i czynów zmarłych, — złota zorza wieczorna po słonecznym dniu. Irena opowiadała przeto, jak Sofronia jeszcze wczoraj w południe do części miasta, zwanej Zatybrzem się udała, aby pewnej biednej położnicy przynieść żywności a dla jej dziecka świeżej bielizny. Potem wspominała o jej cichych cnotach, bohater-skiem poddaniu się woli Boskiej, o słowach zaufanej przyjaciółki, które wypływały z głębi jej szlachetnego serca, jak woń wypływa z kielicha róży. A obraz Sofronii, przedstawiony przez Irenę, jakże uzupełniały słowa umarłej, w ostatniej chwili pisane!

Przepełnione miłością do zmarłej rozmawiały Irena z Waleryą o niej, nie biorąc na to względu, że Rufinus obecny przy tem, inne miał zapatrywania religijne od nich; i Sofronia w tym samym duchu napisała słowa pożegnania. Prefekt jednak mając serce pragnące pociechy, przyjmował wszystko, jak spieczony grunt przyjmuje orzeźwiający deszcz. Zawsze on sobie myślał, że znał Sofronię aż do dna duszy: teraz dopiero otwarła się przed nim głębia jej czystego i szlachetnego serca. A jakież to wzniosłe myśli sły-szał dzisiaj po raz pierwszy, myśli, które zdały się być jak przyrodzone Irenie i jego córce. — Rufinus wiedział, że małżonek Ireny z dwiema

córkami dla wiary chrześcijańskiej śmierć męczeńską poniósł, lecz nigdy się nie pytał o bliższe okoliczności, towarzyszące ich śmierci. Teraz jednak chciał się dowiedzieć, jak słaba niewiasta stratę męża i dzieci przeboleć zdołała i w smutku swym pociechy łaknącym prosił ją o wyjaśnienie tego.

Irena zrozumiała myśli Rufina i chętnie spełniła jego życzenie.

— Gdy krwawe edykta Dyoklecjana wydane zostały — tak zaczęła opowiadać — a Maksymian, urodzony na okrutnika, chrześcian ze wszystkich kryjówek wypędzał, nasze kościoły i gospody zabierał, oddał mąż mój Kastulus, sprawujący wówczas przy cesarzu urząd pierwszego ochmistrza dworu, nasze mieszkanie na kościół. Podczas gdy Maksymian wyroki krwawe podpisywał, chrześcianie święcili w jego własnym pałacu święte tajemnice. Czy przypominasz sobie, szlachetny Rufinie, walecznego trybuna Sebastjana?

— Tego, którego najprzód numidyjscy łucznicy zastrzelili — odpowiedział prefekt — a który gdy potem jeszcze do życia się ocknął, pałkami ubity został. Przypominam go sobie, bo wówczas mówiono o nim dużo.

— Myśmy ciało jego — mówiła Irena dalej — przynieśli w tajemny spocób do naszego mieszkania, ażeby je w cichości następnej nocy pochować. Lecz ku wielkiej naszej radości zauważyliśmy, że Sebastjan jeszcze żyje i pieczołowitości naszej udało się, wycieńczone upływem krwi siły męczennika pokrzepić! Zaledwie wyzdrowiał, gdy chcąc cierpieć i umrzeć za Chry-

stusa, stanął przed cesarzem. Maksymian kazał go zbić jak psa a potem pilnie się dowiadywał, gdzie Sebastyan znalazł przytułek i opiekę. Dowiedziawszy się, że urzędnik jego własnego dworu, w jego własnym pałacu przyjął chrześcijanina, a nadto że w mieszkaniu tegoż urzędnika chrześcijanie się zgromadzają na nabożeństwa, rozgniewał się cesarz do wściekłości. Męża mego natychmiast pochwyciono a po trzykrotnych przesłuchach i torturach przed bramą labikońską zakopano go żywcem w pobliżu wodociągu klaudyńskiego.

Tu Irena zamilkła na chwilę, bo wzruszenie ją wielkie opanowało.

— Mnie zawleczono z obiema córkami, jedną szesnastoletnią, drugą piętnastoletnią do więzienia. Moje najmłodsze dziecko, mój Kandydus, uszedł zemsty cesarza, bo krótko przedtem wysłany został do Galii na nauki do szkoły wojskowej. Kilkomiesięczne więzienie, jakkolwiek okropne, nie tyle mnie bolało, jak to, że zostałam odłączona od dzieci i mimo prośb ani dostać się do nich, ani czegośkolwiek dowiedzieć o nich się nie mogłam. Pewnego rana wszedł do mnie dozorca z zimną obojętnością i powiedział mi, że oba dziewczęta zmarły na febrę. Błagałam, ażeby mi pozwolił zobaczyć ich ciała, choćby tylko na chwilę, lecz nie chciał słyszeć o tem; dopiero gdy mu jego własne dzieci przypomniała, rozculił się i zaprowadził mnie do moich dziewcząt. Jakiż okropny przedstawił mi się widok! Obie córki moje leżały martwe na posadzce więzienia, jak dwa ścięte kwiaty.

Jedna miała wyciągnięte ramiona w kształcie krzyża, druga spoczywała obok niej...

Łzy stłumiły głos Ireny; Rufinus wzruszony podjął rękę Waleryi, jakby się chciał upewnić, że jej nie stracił.

Czcigodna matrona zaś osuszyła łzy, które jej bolesne wspomnienie wycisnęło i mówiła tak dalej:

— Wstąpienie Maksencyusza na tron otworzyło drzwi mego więzienia. Najprzód udałam się do grobu mego małżonka a potem do moich dzieci, które w wspólnym grobie złożono. Od-tąd jestem, jako obdarte z liści drzewo w ziemie, wyciągające swe nagie gałęzie ku niebu. Tylko jedną pociechę i jedną nadzieję pozostawił mi Pan: mego syna Kandyda.

Tu Irena zamilkła; milczał też Rufinus. Ileż wycierpiała ta słaba niewiasta! Skąd jej się brało męstwo w takich doświadczeniach?...

Waleryi tymczasem wróciły siły do tyła, że prosiła ojca, ażeby jej pozwolił zmarłej matce oddać ostatnie usługi. Ponieważ Irena prośbę jej poparła, Rufinus nie sprzeciwiał się. Kto kielich doświadczeń z męstwem pije, ten znajduje na jego dnie tajemniczą moc Boską: Irena wiedziała o tem z własnej niedoli.

Walerya udała się z Ireną do tablinum, dokąd ciało zmarłej przeniesiono; Rufinus zaś pozostał sam z swoim bólem i swemi myślami, lecz ból złagodniał a myśli stały się jaśniejsze.

Gdy brzaski ranne oświecą ciemną toń morza, wygładzają się fale a żeglarz wita z dziękczynieniem nastający dzień.

Walerya ukłękła przy ciele matki i objąwszy ramionami drogą głowę, mówiła:

— O najśłodsza matuchno, ochrzceni krwią własną, stanęliście przed tronem Boskim. Nie chcę płakać! Córka tak mężnej niewiasty winna się okazać godną swej matki. Oby Pan Bóg słabą trzcinę raczył przywiązać do drzewa krzyżowego: we łzach spoglądam ku waszej niebieskiej chwale i wielbię z wami Pana naszego.

Potem zabrała się Walerya z pomocą Ireny i dwóch służebnych do bolesnej a zarazem słodkiej pracy. Namazały ciało drogimi olejkami, ubrały je w szaty złotem przetykane, w ręce włożyły gałązkę palmową a wieniec z róż na głowę. Stósownie do rzymskiego zwyczaju postawiono potem ciało nogami ku drzwiom i otoczono lampami; w naczyniu, zwanem acerra, płonęła myra, napełniając komnatę przyjemną wonnością.

Szatę matki, zbroczoną krwią jej serca, zabrała Walerya jako pamiątkę i zamknęła ją do pudełka z kosztownego drzewa, które było okute w srebro i zdobne słoniową kością.

Irena podjęła się donieść o śmierci w urzędzie przy świątyni Libityny i postarać się o ludzi do niesienia ciała; Walerya zaś udała się do ojca, ażeby być przy osamotnionym. Wiedziała, jak bardzo mu pociechy potrzeba; wszakże jeszcze mu w mrokach nieszczęścia nie przyświecało światło łaski i wiary, które jej ułatwiały znieść bolesną stratę przez poddanie się woli wszystkim rządzącej Opatrzności i w nadziei, że się kiedyś ze zmarłą zobaczą.

Zastała ojca w zamyśleniu nad pismem Sofronii. Podał jej to pismo i rzekł:

— Przeczytaj mi to głośno; w twoim głosie słyszę głos matki.

Walerya zaczęła czytać. Zrazu zdołała zapamiętać nad swoim wzruszeniem; gdy jednak zobaczyła, jak ojcu łza po łzie po licach spływa, nie mogła się wstrzymać od płaczu. Lecz zwyciężyła w sobie ból i doczytała pismo do końca. „Chrystus Pan, w którego w cichości wierzyłam, którego umierając wyznaję, przyjmie moją duszę, a ja chcę u góry za ciebie się modlić!”

— Ach, dlaczegóż wstrzymywałam ją od tego, żeby szła za wskazówką serca! — westchnął Rufinus.

— Teraz modli się ona za was, ojcze, za nas obojga — odpowiedziała Walerya.

Na życzenie ojca zawiodła go Walerya do komnaty, gdzie zmarła leżała. Jakkolwiek widok ukochanej osoby bardzo go wzruszył, to jednak teraz już nie sam ból tylko nappełniał serce jego, lecz prawie święta cześć. Uklękawszy przy leżącej, położył pismo ostatnie na piersi Sofronii i chcąc niejako z ust zmarłej usłyszeć słowa pisma, to na twarz zmarłej, to na pismo zwracał swoje oczy smutne. Sofronia umarła, aby mu dochować małżeńskiej wierności; lecz Rufinus czuł, iż do tej ofiary była zdolną tylko z powodu chrześcijańskiego ducha. Zwykłych uprzedzeń względem chrześcian pozbył się był Rufinus już dawniej, patrząc na cnoty swojej żony i córki; nie przypuszczał jednak, aby ich religia do tak wzniosłych ofiar zagrzewać mogła, to było dla niego rzeczą nową i głęboko go przejęło.

Czego słowo małżonki za życia nigdyby nie było osiągnęło, to się udało zmarłej; pociągała go ona ku górze, dokąd się schroniła, a serce jego nie wzdrygało się iść za nią.

III.

Groźne chmury.

Z pochmurnem okiem, wyciągnięty niedbale na dywanie i znudzony czytaniem ówczesnej gazety rządowej, zwanej acta diurna, oczekiwał Maksencyusz Sofronii.

Jak obraz jego na monetach wskazuje, był on w całej postawie i postępowaniu naturą prostą i barbarzyńską. Wysokiego wzrostu, szeroki w barkach, przedstawiał obraz siły nieokrzesej i bezwzględnej. Na niskie czoło spadały mu włosy aż do oczu nieomal; okrągła, gruba głowa spoczywała na tłustym karku: w oczach przenikliwych tkwiło coś beczelnego. Sam on się lubił z Herkulesem porównywać; przybocznej straży swojej, która się z największych i najmocniejszych żołnierzy składała, nadał nazwę dzieci Herkulesa.

Maksencyusz skończył właśnie czytać gazetę i pełen niecierpliwości zamierzał drugiego posła do mieszkania Sofronii posłać, gdy mu oznajmiono, że przybył poseł z bardzo pilnym i ważnym listem.

— Niech go zanieś prefektowi kancelaryi Herakliuszowi, albo komu chce! — odpowiedział cesarz ziewając. Zaraz jednak przypomniał sobie, że list będzie niezawodnie zawierał wia-

domości z pola walki w Górnych Włoszech, kazał go sobie podać.

— Choć szczupak w sieci, w którą go zwa-
biłem — tak pisał cesarz do Rufusa w odpo-
wiedzi — przerwie to i owo oko, rzucania się
i podrygów z pewnością zapomni. Zapłacę ci
za tę rybę Galią jako prowincją.

Tak było w istocie; poseł przybył od cesar-
skiego wodza Rufusa, który wojskiem w Gór-
nych Włoszech dowodził.

Maksencyusz otworzył list a im dalej czytał,
tem twarz jego posępniejszy przybierała wyraz.

O tem, że Konstantyn przeszedł góry Alpej-
skie i pod Turynem zwycięstwo odniósł, wie-
dział z dawniejszych listów, lecz zwycięstwo to
lekceważył sobie. Wierzył on tak bardzo w wiel-
ki talent swego wodza Rufusa, wypróbowany
mianowicie w wojnie Egipskiej, że nie wątpił,
iż tenże pozwolił się pobić z przebiegłości, aże-
by następnie przeciwnika tem skuteczniej zmiażd-
żyć. -Lada dzień oczekiwał głowy Konstantyna.

Tymczasem Rufus pisał mu, że po zdobyciu
warowni Turyńskiej nieprzyjaciel w pospiesznych
marszach najprzód pod Brescią, a potem pod
Weroną wojska cesarskie na głowę pobił a We-
ronę wziął szturmem. Dowódca załogi Weroń-
skiej, Rusicius, poległ. Tak w Turynie, jak w
Weronie, Konstantyn wbrew zwyczajowi wojen-
nemu darował pozostałym z załóg żołnierzom
życie i wolność. Z Weroną całe Górne Włochy
są stracone. Nadzwyczajnie gwałtowne posuwa-
nie się naprzód nieprzyjaciela, jako też zniechę-
cenie żołnierzy cesarskich nie pozwala stawić
czoła nieprzyjacielowi w dolinie rzeki Po. Wy-

dał przeto rozkaz, aby obsadzić wąwozy gór Apenińskich celem zyskania na czasie i zamierza w pobliżu Florencyi nowe wojsko zgromadzić. Jak najsilniej uprasza cesarza o przysłanie mu w pomoc tyle wojska, ile podobna, szczególnie zaś od dawna z upragnieniem oczekiwanych legionów z Sycylii i Afryki.

Wszystko to były wiadomości bardzo złe.

Maksencyusz rozgniewany rzucił nieszczęśliwy list, nie przeczytawszy go do końca i depcząc go, wołał:

— Florencya? Florencya? He, ten zdrajca! Jak można wydać Placencją, Parmę i Bononią dobrowolnie na łup nieprzyjacielowi! Dlaczegoż ja sam nie pospieszyłem na czele moich legionów przeciwko wrogom, aby jak Herkules schwytać żywo tego dzika, który wpadł w moje pola.

Potem zaczął cesarz chodzić po komnacie pełen wściekłości.

Czyż podobna, aby Rufus, niezwyciężony nigdy jeszcze wódz, przegrał bitwy, aby jego najlepsze legiony, dwa razy tak liczne, jak wojsko Konstantyna, trzy razy zostało pobite? A jak wielkie muszą być klęski, skoro cała armia w rozsypce!

Wreszcie przypomniał sobie Maksencyusz, że jeszcze całego listu do końca nie przeczytał. Podniósł go przeto z ziemi i czytał:

— Jak Gordyanus, wiernie nam oddany kapłan Mitrasa w wojsku Konstantyna mi donosi, kazał tenże podobno skutkiem zjawiska na niebiosach zrobić nowy sztandar wojenny, na którym w skromności swój własny obraz w po-

staci boga słońca umieścić, ponad nim zaś tajemniczy znak, mający oznaczać Boga chrześcian. Jakkolwiek bajka o niebieskiem zjawisku niewątpliwie jest zmyślona przez Konstantyna, gdy po hulaszce zabawie w oczach mu się dwoiło, to jednak żołnierze jego, po większej części chrześcianie, dokonują pod tym sztandarem cudów waleczności. Przed ostatnią bitwą wybrałem z legionów pięćset najmężniejszych naszych żołnierzy i przyrzekłem im najwyższe nagrody i stopnie, skoro ów sztandar zdobędą. Jak żyję nie widziałem tak zaciętej walki; lecz ów sztandar, jakby nieznaną siłą trzymany, nie zachwiał się; wszyscy żołnierze z owych pięciu set zginęli co do jednego.

— Tak — zgrzytnął Maksencyusz, zaciskając pięści — tak, Nazareńczyki godzą na moją koronę i życie? O wy psy parszywe, odpłacacie mi się za to, że was z łańcucha spuściłem? Boski Dyoklecjan oszacował was trafnie i słusznie; dlaczego zniósł jego dekrety?

W tej chwili, drżąc przed gniewem pana swego, wszedł wyzwoleniec, którego Maksencyusz do Sofronii był posłał, i doniósł, że owa niewiasta śmierć sobie zadała, mówiąc, iż jest chrześcianką i dlatego nigdy rozkazu cesarskiego posłuchać nie może.

Ta wiadomość nie wzbudzała w piersiach Maksencyusza wyrzutów sumienia.

— Jest chrześcianką i dlatego nigdy rozkazu cesarskiego nie posłucha? — powtórzył z wstrętnym uśmiechem. — Tak oni wszyscy są zdrajcami, od ostatniego żebraka do ich biskupa Milcyadesa. Jakby tryumfowali, gdyby Konstantyn

wszedł do Rzymu! Lecz na nieśmiertelne bogi! Zasole wam polewkę! Idź do Herakliusza — zawołał na wyzwolenca — i powiedz mu, aby po jedzeniu przybył do mnie; on musi wygubić to robactwo z mego kożucha.

Pelen srogięgo gniewu chodził cesarz po komnacie i rozważał. Skoro rok temu kilka set obywateli rzymskich pretoryanom i swoim dzieciom Herkulesa ściąć kazał, dlaczegóżby teraz nie miał kilku tysięcy chrześcian zapędzić do amfiteatru i zamordować?

— Lecz tego robactwa nie można wygubić; jak mole w wełnie, tak oni zagnieździli się w całym mieście a nawet w pałacu cesarskim. A jakże pożądany pozór podałbym owemu galijskiemu opryszkowi! Udawałby obrońcę rzymskiego ludu, skorobym gromadę tych łotrów uśmiercił!...

Myśl cesarza zwróciła się następnie do swego własnego położenia. Skoro Rufus pod Florencją jeszcze raz zostanie pobity, natenczas Konstantyn ma drogę do Rzymu otwartą.

— Każę naprawić mury miejskie i wzmocnić je wałami i fosami. Niech spróbują te psy zakraść się do mojej nory: z krwawym pyskiem będą odchodzili.

W tym momencie wszedł niewolnik z oznajmieniem, że sam Rufus uprasza o łaskę stawienia się przed oblicze cesarskie. Z powodu niekorzystnego położenia Rufus krótko po odesłaniu listu postanowił sam z cesarzem pomówić i przedłożyć mu plan wojny, który podług jego zdania jedynie mógł uratować cesarza. Oddawszy przeto dowództwo jednemu z podwładnych

wodzów, ruszył na łeb, na szyję do Rzymu i przybył tamdotąd niedługo po swoim posłańcu.

Maksencyusz był zdziwiony nagłym pojawieniem się Rufusa; to, co mu tenże powiedział, przekonało go, że sprawa jeszcze gorzej się przedstawia, aniżeli z listu wynikało.

— Każę umocnić Rzym — zawołał cesarz — i przygotować się do obrony. Prędszej kamień na kamieniu z niego nie pozostanie, zanim go oddam Konstantynowi.

— Skoro Konstantyn stanie przed bramami miasta — odrzekł na to Rufus otwarcie i śmiało — na nic ci się panie nie przydadzą mury i wały. Nie jesteśmy zgoła przygotowani na oblężenie; przedewszystkiem brak nam żywności. Przeszłoroczny głód wypróżnił magazyny a wątpię bardzo, czy prefekt Rufinus zdołał je napęłnić z plonów ostatniego lichego żniwa.

— Każę go żywo upiec — krzyknął Maksencyusz zniecierpliwiony — jeżeli śpichlerze są próżne. Mam z nim zresztą gwoli jego żony pewne obrachunki. W każdym razie zasoby starczą przynajmniej dla legionów na kilka miesięcy.

— I cóż ci z tego, o panie — odpowiedział Rufus — że w Rzymie dwa lub trzy miece się utrzymasz? Czyś nadto pewny, że lud nie podniesie buntu w obleganem mieście?

— Lud ma bunt podnieść? — zaśmiał się cesarz. — Jak błazen swemu psu, tak ja z krwawym biczem w ręku każę temu ludowi przedemną tańczyć. Lecz powiedz наконец, jakie ty masz plany?

— Rzymu przed Konstantynem zbyt długo nie obronisz — odpowiedział wódz — radzę te-

dy opuścić go i udać się do Sycylii i afrykańskich prowincyi; tam możesz zebrać świeże wojsko i przy płynąć z niem na okrętach do ujścia Tybru. Ja z legionami mymi cofnę się do Kapuy. Konstantyn zająwszy Rzym, pozostawi nas tymczasem w spokoju a z wiosną ruszymy przeciwko niemu lądem i od morza. Przy tem liczę z pewnością jako na sprzymierzeńców na innych cesarzy, dla których Konstantyn byłby niebezpiecznym, będąc w posiadaniu Brytanii, Galii, Włoch i Afryki.

— Namysłem się nad twoim planem — rzekł Maksencyusz, wysłuchawszy słów Rufusa. — Ha, ha! Gdyby mnie Konstantyn w moc swoją dostał, z pewnością by mi kazał uciąć głowę i obnosić ją na żerdzi po wszystkich miastach całego państwa rzymskiego. Ja obiecuję, że uczyniłbym tak z jego głową.

— Jeżeli go zdołasz chwycić — dodał sucho Rufus.

— Skoro mam Rzym opuścić — mówił cesarz rozdrażniony ostatnimi słowami wodza — natenczas zapalę go na czterech rogach i przysięgam ci, że Neron był w porównaniu ze mną niezgrabiarzem w podpalaniu. Wiem, że mogę liczyć na żołnierzy.

Rufus był Rzymianinem dawnej daty; straszna groźba cesarza oburzyła go, jak niemniej i to, że żołnierze przy podpalaniu pomocni być mieli. Zmarszczył czoło, wlepił bystre oczy w Maksencyusza i rzekł:

— Możesz liczyć na mnie i na wojsko we walce.

Tyran zrozumiał, co Rufus miał na myśli, z naciskiem ostatnie słowo swej odpowiedzi wymawiając.

Tymczasem sługa oznajmił, że jest godzina szósta czyli czas obiadu.

— Nie dajmy sobie zepsuć obiadu Konstantynem — rzekł Maksencyusz — przy ognistem winie z Falernu łatwiej się w tej sprawie dogadamy.

Wieczorem tego samego dnia wracał Rufus do obozu bardzo niezadowolony, albowiem cesarz planu jego nie przyjął, lecz ufając zapewnieniom wróżbitów i wykładaczy znaków, nakazał mu, ażeby się z wojskiem na Rzym cofał wolno i wśród ciągłych walk; w ten sposób sądził cesarz, że zdoła zyskać dosyć czasu do sprowadzenia z południa legionów na pomoc.

Tego samego dnia siedział w przedsionku Tytusa młody senator Symmachus z okiem zwróconem na marmurową grupę Laokoona, umieszczoną w zagłębieniu tylnej ściany przedsionka.

Nie było w Rzymie dumniejszego Rzymianina ani gorliwszego czciciela bogów od niego.

Pomiędzy garstką czcigodnych mężów, żyjących wówczas w zepsutym Rzymie, był on jednym z najczcigodniejszych; surowych obyczajów, wykształcony, z starożytnego rodu szlacheckiego, był przy tem nadzwyczajnie bogaty. Nie raz już ofiarował mu Maksencyusz wysokie urzędy, lecz Symmachus nigdy ich nie przyjął, bo nie chciał być sługą tyra. Nie brał udziału w sprawach publicznych, bo był zniechęcony upadkiem moralnym i zwyrodnieniem Rzymian i pełen gniewu na senatorów i rycerzy, którzy

nie dbając o sławę przodków, znosili wybryki i zbrodnie, jakich się Maksencyusz względem nich i rodzin dopuszczał. Czynili to dlatego, ażeby życie i majątek zachować. Symmachus starał się tylko o wychowanie syna, będącego wówczas jeszcze chłopcem. Później miał z niego wyrość świetny mówca i obrońca upadających bogów pogańskich.

Czy tragiczny koniec Sofronii, czy wiadomości z pola bitwy, otrzymywane tajnym sposobem, zasępiały jego czoło? Jedno i drugie po części, a jednak senator nie uczuwał miłosierdzia nad śmiercią niewiasty, która jako chrześcianka umarła ani też współczucia dla zagrożonej władzy Maksencyusza, którym tak samo pogardzał, jak Konstantyna nienawidził.

Z zamysłów ponurych zbudziło go przybycie starca, który, mile się uśmiechając, do niego się zbliżył i rękę mu na powitanie podał.

Czoło Symmachusa wygładziło się także na widok starca; był to bowiem jego dawniejszy nauczyciel, Laktancyusz Firmanianus, który go ongi na dworze Dyoklecjana uczył wymowy.

— Niemal ośm lat upłynęło — odezwał się starzec — jak z Azyi do Rzymu wróciłeś. Nie sądziłem, iż cię jeszcze kiedy w życiu zobaczę. Szczęśliwe zdarzenie sprowadziło mnie jednak znowu do złotego Rzymu, panującego nad światem.

— Jeżeli to uważasz za szczęście, to niebawem pewnie zmienisz zdanie — odpowiedział Symmachus, marszcząc czoło.

— Dopiero wczoraj przybyłem — odpowiedział Laktancyusz — lecz już o wielu złych rze-

czach się dowiedziałem. Z głębi serca też ubolewałam i płaczę nad śmiercią szlachetnej Sofronii. Poznałam ją w Nikodemii i podziwiałem jej wielkiego ducha i szlachetne serce.

Los owej niewiasty byłby na mnie wrażenie wywarł, gdyby Sofronia nie jak przesadzona chrześcianka, lecz jak prawdziwa Rzymianka ze zimną krwią i stałym spokojem, jak owa Lukrecya, była sobie nóż w piersi wbiła. Mnie oburza najwięcej, że nawet prefekt Rzymu nieskazitelnosci domu swego uchować nie może przed zasadzkami cesarskiego tyrana. Lecz jeszcze większa hańba stąd, iż w całym Rzymie nie znalazł się nikt, któryby jak Brutus skrwawiony nóż podnieść się ośmielił.

— Opowiadano mi także o Konstantynie, o jego zwycięstwach nad Rufusem i jak niepowstrzymanie posunął się aż do Umbrii. Nie rozpoznajesz w nim narzędzia potężniejszej ręki, karzącej zbrodnie Maksencyusza?

Na to pytanie Symmachus nie odpowiedział zaraz, lecz spoglądając na Laktancyusza, śmiał się wzgardliwie. Po chwili zaś wskazując na rzeźbę Laokoonu, rzekł:

— Spójrz na tę rzeźbę i patrz dokładnie! Czy widzisz, jak Laokoon ściśnięty splotami dwóch węzów w niemej boleści się wije i ku niebiosom jęki posyła? Widzisz, jak obaj synowie jego, opleceni węzami, krzyki wznoszą ku ojcu, który im pomocy dać nie może? To obraz Rzymu, który z ludnością swoją bywa tak przez Maksencyusza, jak przez Konstantyna trapiiony i w śmiertelnem objęciu duszony. Tylko w tym punkcie porównanie nie jest trafne, że

węże zgodnie ofiary swoje gnębią, podczas gdy ci dwaj ze zdwojoną żądzą krwi na wyścigi łup rozzdzierają.

— Nie, nie — zawołał Laktancyusz żywo — nie powinienes porównywać Konstantyna z wężem, ani go porównywać z Maksencyuszem.

— Nie znasz go, pocziwy starcze — odrzekł Symmachus z gorzkim uśmiechem. — Ty sądzisz, że on podobny jest ojcu swemu, Konstancyuszowi Chlorusowi a zapominasz, że jego matka Helena była służebną w Dacyi, z niskiego rodu pochodzi i przytem jest chrześcianką.

Laktancyusz nie wypowiedział słów, które miał na języku. Senator zaś głosem drżącym z wzruszenia mówił dalej:

— Czy wiesz, że Konstantyn przekłete imię Boga chrześcian na swoim sztandarze wojennym umieścić kazał? O Rzymie, Rzymie, Galowie i Kartagińczycy nie zadali ci tyle niesław, ile ci ich ten cesarz na czele rzymskich legionów gotuje! Laktancyuszu, jeżeli ci jak sędziwemu Homerowi, źródło poezyi w piersiach nie wyschło, podnieś głos w obronie nieśmiertelnych bogów przeciwko owemu ukrzyżowanemu żydowi, którego Konstantyn chce posadzić na tronie Jowisza.

Bolesny uśmiech pokazał się na twarzy starca i zaraz zniknął. Ongi jako czciciel bogów zwalczał jako poeta i mówca chrześcianstwo i to mu zjednało łaskę Dyoklecjana. Nagle tknięty łaską i nawrócony do Chrystusa, niestrudzenie słowem i piórem, wierszami i filozoficznymi książkami nowej wiary swojej bronił a pogaństwo zwalczał, aby dawniej dane zgor-

szenie naprawić. Jaką boleścią przejmowało go to, że dawniejszych jego wierszy na uczczenie pogańskich bożków jeszcze nie zapomniano, podczas gdy jego pisma, broniące chrześcijaństwa nawet dawniejszym uczniom jego jeszcze znane nie były.

Na słowa Symmachusa potrząsnął głową i odpowiedział z gorzkim uśmiechem:

— Jeśli Jowisz sam nie może spuszczać gromów, aby tronu swego bronić i gdy dzida Minery a łuk Apollina są strzaskane, jakże potrafi pióro w ręku starca zachować bogów Rzymu przed upadkiem?

Symmachus chciał na to coś odpowiedzieć, gdy wtem kilku obcych weszło do przedsionka a przewodnik krzykliwym głosem objaśniał im rzeźbę Laokoona. Obrażony słowami Laktancyusza, gniewny na nieproszonych przybyszów, pożegnał Symmachus krótko swego mistrza i oddalił się spiesźnie.

Smutny koniec szlachetnej Sofronii wywarł na wszystkie warstwy ludności stolicy głębokie wrażenie; zbudził w wielu poczucie wstydu dla tych, którzy czci swojej nie bronili tak, jak Sofronia; w innych poczucie moralności, które w nich zanikało; wszystkim zaś przedstawił przed oczy haniebne poniżenie, w jakie tyran szlachtę i lud pogrążał. Prefekt kancelaryi cesarskiej Herakliusz, utrzymujący wszędzie szpiegów, doniósł cesarzowi po uczcie o oburzeniu panującym w mieście.

Herakliusz, dawniej chrześcianin, od czasu odstępstwa zaś zacięty wróg swoich dawniejszych współwyznawców, doszedł w krótkim cza-

sie do wybitnego stanowiska, jakie obecnie zajmował; przedtem był nauczycielem greckiej wymowy. Jeszcze rok temu, przebywał na pustej wyspie Sardynii, skazany na wygnanie przez prefekta Aradiusa Rufina za to, że pogwałciwszy prawo domowe, wpadł do pałacu pewnego senatora i tamże zebraniu przeszkodził z bronią w ręku, krew przelewając. (U owego senatora zebrali się chrześcijanie na nabożeństwo). Prośby żony skazanego, córki starożytnego rodu rzymskiego, której rękę uzyskał przez odstępstwo wiary Chrystusowej, sprawiły, że mógł wrócić do kraju; mowa pochwalna wypowiedziana w rocznicę wstąpienia na tron Maksencyusza zjednała mu łaskę monarchy. W kancelaryi cesarskiej było potrzeba człowieka nie tylko wymownego, ale także władającego dokładnie językiem greckim i znającego sprawy na Wschodzie. Takim był Herakliusz. Przytem zaś schlebiając namiętnościom cesarza i wyzyskując je, zyskał jego zupełne zaufanie.

Maksencyusz wysłuchiwał sprawozdania tajnego swego sekretarza o wrażeniu, jakie śmierć Sofronii w mieście wywarła, całkiem obojętnie.

— Dobrze — zawołał pogardliwie — trzeba uwzględniać głos publiczny. Napisz przeto natychmiast rozkaz aresztowania prefekta Rufina i każ mu wytoczyć proces dlatego, ponieważ... ponieważ, jak mi Rufus donosił, nie dość się starał o zaopatrzenie miasta w żywność.

Na te słowa cesarza zabłysły oczy Greka wielką radością. Na całym świecie nie było nikogo, któregooby tak nienawidził, jak Rufina, tego Rufina, z którego łaski dwa długie lata

w Sardynii przebył. Już od dawna czyhał on na sposobność zemsty; lecz trudno było osiągnąć człowieka w tak wysokim urzędzie, jaki Rufinus zajmował. Teraz nadeszła godzina upragniona; Herakliusz tem chętniej ją witał, ponieważ niedawno temu Rufinus, dumny rzymski senator, ostro zganił postępowanie jego w pewnej sprawie i pogardę mu wielką okazał.

Herakliusz musiał sobie gwałt zadawać, ażeby radość swoją ukryć.

— Jakto? — zapytał udając zdziwienie — senatora Aradiusa Rufina, prefekta miasta Rzymu chcesz aresztować i... i...

— I skoro będę chciał, na śmierć skazać — odpowiedział z zimną krwią Maksencyusz. — Co tam prefekt! Głowa takiego senatorskiego mruka nie jest pewniejsza od plebejuszowskiej pokrzywy.

— W każdym razie jednak radzę ci, o boski — dodał przebiegle Herakliusz — ażebyś czekał na przybycie legionów z południa, zanim zabierzemy się do Rufina.

— Legiony? — zapytał Maksencyusz, czoło marszcząc.

— O boski cesarzu, tę zmiję już zanadto dawno piersią swoją ogrzewałeś. Ty jednak nie chciałeś widzieć, jak Rufinus w wszelaki sposób łaskę rzymskiego ludu starał się uzyskać. Drzę zawsze, ile razy myślę, jak wielką władzę ten ambitny człowiek w stanowisku prefekta Rzymu miał w ręku. Teraz zaś, gdy Konstantyn przeciwko tobie powstał, tem więcej jest niebezpieczny; i skoro, jak mówisz, o boski, nie dość żywności do śpichlerzy rzymskich zgromadził...

— O ten nikczemny zdrajca! — zawołał Maksencyusz — był on towarzyszem broni Konstantyna.

— Skoro tak — odpowiedział na to przebiegły Herakliusz — nie wątpię, że w domu jego znajdują się z pewnością pisma, potwierdzające jego zdradę, na przykład listy od Konstantyna...

— Jeszcze raz rozkazuję ci — krzyknął Maksencyusz — napisz natychmiast rozkaz, aby Rufina aresztować i postaraj się o to, aby sędziowie powinność swoją wypełnili.

— W spisek zaś ten niewątpliwie istniejący — mówił Herakliusz dalej, nie zważając na rozkaz cesarza — na co dowody się znajdują i znaleźć muszą, była wmieszana także żona jego Sofronia a ponieważ nie chciała świadczyć przeciwko swemu mężowi, przeto zadała sobie śmierć... tak Rzymianie będą jutro czytali w gazecie. Na mocy znalezionych listów jednak można jeszcze i innym ludziom wytoczyć proces. Z pewnością zostaną skazani a ich majątek dostanie się skarbowi państwa.

Maksencyusz musiał się kilka chwil namyślać, aż niegodziwy plan Herakliusza pojął. Potem jednak uderzył ręką o kolano i zawołał pełen ukontentowania:

— Na maczugę Herkulesa, w całym rzymskim cesarstwie niema drugiego takiego wyżła, jak ty. Plan twój jest doskonały, wyborny! Uczyni z Rufinem, co chcesz: każ go skazać do kopalni lub robót przymusowych, albo każ go ściąć; w każdym razie zabierz mu natychmiast majątek. Czy wiesz, że owa Sofronia była chrześcianką, i że z tego powodu nie chciała woli

mojej wypełnić? Postaw i to do gazety, że była chrześcianką. W ten sposób zatkamy gębę ludowi z powodu owej kobiety; za pomocą licznych procesów utrzymam tę zgrają w posłuszeństwie a konfiskaty majątków przydadzą mi się do wykonania budowy świątyni, o co mi ku uczczeniu rocznicy mojego wstąpienia na tron chodzi. Motłoch rzymski nie pyta się, skąd zboże pochodzi, byle robactwo to mogło się niem jak najbardziej obezreć.

Herakliusz chciał się oddalić, gdyż pilno mu było dać uczuć prefektowi swoją zemstę, lecz cesarz skinął na niego, ażeby pozostał.

— Czy wiesz — zapytał — że Konstantyn za pomocą przebiegle wymyślonego uszukaństwa całą rotę chrześcian sprzymierzeńcami swymi uczynił? Jak dzikie zwierzęta w koloseum czekają z niecierpliwością na otwarcie drzwi klatki, tak czekają chrześcianie tylko na godzinę, w której Konstantyn przed Rzymem stanie, aby w krwawym powstaniu chwycić mnie za gardło. Lecz na Herkulesa, poznają oni jeszcze moją maczugę! W ciągu tygodnia musi być w więzieniu ich biskup Milcyades z wszystkimi kapłanami i dyakonami swymi. Tego nikt lepiej nie zdoła zrobić, jak ty; ty znasz ich kryjówki i tajemne znaki a rozkoszą będzie dla ciebie, gdy twoich dawniejszych towarzyszków pod nóż poprowadzisz! Skoro zginą pasterze, wtedy weźmiemy się do tłustych baranów a i ty masz się przytem pożywić. Co z motłochu zostanie, niech się skryje w norach swoich: tych ludzi się nie boję.

Jakkolwiek Herakliusz żywił w sercu wielką nienawiść względem Kościoła chrześcijańskiego,

i chętnie z każdej okoliczności korzystał, aby cesarza przeciwko chrześcianom podburzyć, rozkaz cesarski jednak przeraził go. Znał on zbyt dobrze moc chrześcijańskiej wiary, albowiem takowa okazała się za prześladowań Dyoklecjana, wiedział przeto, że takie krwawe sposoby skutku nie odnoszą. Teraz mianowicie, gdy Konstantyn maszerował na Rzym, prześladowanie chrześcian wydawało mu się politycznie nadzwyczaj nie-mądre.

Prócz tego jednak miał Herakliusz jeszcze ważniejsze przyczyny. Już on rozważał nad tem, jakby w razie zwycięstwa Konstantyna znaleźć sposób uniknienia kary. Cóż bowiem mogło w takim razie czekać pierwszego doradcę i pomocnika tyrana? „Muszę się zbliżyć znowu do Kościoła i starać o łaskę i przebaczenie biskupa Milcyadesa”, tak w myśli postanawiał. Przekłęta rzecz, że się pozwolił namiętności unieść tak daleko! Edykt korzystny dla chrześcian zbudowałby mi most, po którym mógłbym wrócić do nich; jakim sposobem jednak zdołam cesarskiego wołu zaprządz do mego pługa? — Właśnie dziś rano rozważałem, jakie powody podać cesarzowi, aby wydał edykt, zwracający chrześcianom zabrane im przez rząd kościoły i cmentarze; — teraz zaś miałby wystąpić z prześladowaniem nowem?

Przebiegły Grek nie potrzebował wiele namysłu do znalezienia sposobu, aby się od spełnienia rozkazu cesarskiego wykręcić a zarazem swoje własne plany popierać. Wiedział on, że gdy się cesarzowi czego odradza, tenże tem uparciej przy tem obstaje, w gniewie zaś, w ja-

kim się dziś znajdował, najmniejsze słowo przeciwne mogło jedynie oleju do ognia dolać. Rzadko żeglarz sterował swoją łodzią między skałami tak zręcznie, jak to Herakliusz obecnie uczynił, gdy niby zupełnie się godząc na zdanie cesarza, odpowiedział:

— Władco mój i panie, ponieważ bogowie udzielili mi łaski odgadywania twoich rozkazów, przeto po długich namysłach udało mi się wynaleść środek niezawodny do wygubienia Nazeńczyków do szczętu.

— Na Herkulesa — zawołał Meksencyusz — każę ci wznieść na rynku najwspanialszy łuk tryumfalny, jeżeli twój środek okaże się dobrym.

— Środek ten jest prosty a pewny — odrzekł Grek. — Krwawe prześladowania Dyoklecjana i dawniejszych cesarzy rozpały tylko fanatyzm tej roty; powinienes, o panie, inne strzały zasadzić na łuk twój, jeśli ich chcesz zniszczyć. Potok górski przerwie zapory, któreby mu kto w poprzek postawił; lecz skoro go wciśniesz między silne tamy i pokierujesz w pustynię, wtedy rozplynie się i zginie gdzieś w piasku. Otóż radzę, abyś chrześcianom zagroził wszelką wspólność z czcicielami nieśmiertelnych bogów co do życia publicznego i obywatelskiego. We wszystkich szkołach każ zawiesić twój obraz a nauczyciele i uczniowie mają przed nim co dzień przed nauką ofiary składać i wonnościami okadzać. Na targu powinni twoi kapłani co rano kropić żywność wodą z świątyni; wszyscy kupcy, nie wyłączając ostatniego kramarza, muszą postawić posągi bogów. Małżeństwa, kontrakty i wszelkie umowy są nieważne, skoro

przy ich zawarciu nie złożono ofiar bogom; nikt nie może wystąpić jako oskarżyciel, który przedtem na bogów się nie powoła. W takie i tym podobne sposoby wykluczysz Nazareńczyków ze szkół, handlu, przemysłu, z sądu i wszelkiego życia i zanim minie ćwierć wieku...

— Niech kto inny tak uczyni, jak radzisz — przerwał mu cesarz ziewając; — ja kogo chcę zadusić, tego chwytam pod gardło. Grek co prawda, choćby od Herkulesa wziął miano swoje — dodał pogardliwie — woli trucizny i innych tajnych środków używać. Ja muszę temu smokowi stugłowemu łby poucinać — krzyknął potem, uderzając pięścią o stół — a jeśli ty nie chcesz być zarzewiem, które mu w gardło wsadzę, ażeby mu łby nie odrastały, natenczas znajdzie się inny.

Herakliusz nie stracił głowy. Wiedział on dobrze, że pierwszy plan jego zostanie odrzucony; chciał, by się tak stało, bo oczekiwał z pewnością, iż uda mu się drugi plan przeprowadzić, o który mu właśnie chodziło.

— O boski — odpowiedział przeto — ty wiesz, jak bezwarunkowo twoje rozkazy wykonuję. Lecz zarazem wiesz dobrze, że z rozporządzeń Dyoklecjana to było najzgubniejsze, iż zabrał chrześcianom wszystkie miejsca, gdzie się zbierali; w ten sposób sam usunął wszystkie kryjówki, w których owych lisów wyłapać było można. Oddaj Nazareńczykom kościoły i cmentarze i pozwól im się zgromadzać podług woli; potem zaczekaj, aż nadejdą ich święta a zobaczysz, że wszyscy z biskupem Milcyadesem, jego kapłanami i dyakonami wleczą do naszej sieci.

Około połowy przyszłego miesiąca obchodzą pamiątkę Cecylii przy drodze Apijskiej; z radości, że ich znowu wolnością udarowano, stawiają się na tę uroczystość wszyscy przełożeni; wtedy potrzeba tylko, abyś wysłał pretoryańskie twoje wojsko a wyłapiesz wszystkich ptaszków.

— Doskonały plan na Jowisza — odezwał się cesarz; — lecz czy psy te nie powiedzą, iżem im świątynie z obawy przed Konstantynem oddał i czy nie będą tem bardziej szczekali?

— Szczekania tego wnet ich oduczysz — odpowiedział Herakliusz. Z chrześcianami należy się tak obchodzić, jak z psami do polowania; jedną ręką rzucisz im okruchy cesarskiej łaski, a w drugiej ręce będziesz trzymał bicz nad nimi; wtedy będą się przed tobą na brzuchu czołgali.

— Zastanowię się nad tem. Deoklecyan nie był rzeczywiście Herkulesem. Wpędził on tylko bestyę do nory; lecz zamiast ją udusić, wołał... kapustę sadzić.

— Prawdziwy Herkules wywabi ją teraz z ukrycia, aby ją potem mocną ręką zdusić. Jeżeli tedy rozkażesz, każę w kancelaryi napisać edykt. Jeżeli go jeszcze ogłosisz przed rocznicą twego wstąpienia na tron, wtedy zobaczysz, z jakim dziękczynieniem i uniesieniem te półgłówki chrześcijańskie uroczystość będą obchodziły i wznosiły okrzyki na cześć Maksencyusza.

Herakliusz był kontent, że cesarz nie odrzucił jego planu co do zabranych kościołów i cmentarzy. Postarał się przeto skierować rozmowę na inne sprawy, mianowicie na nadchodzące uroczystości, o które jako też i o dokończenie bazyliki na forum i cyrku przy drodze

Apijskiej cesarzowi teraz najbardziej chodziło. Maksencyusz chętnie zaczął rozmawiać o tych dwóch planach a zapomniał o chrześcianach. Rozmowa z Grekiem o sprawach sztuki była cesarzowi bardzo miła, bo Herakliusz, urodzony w Atenach, z mlekiem matki wssał w siebie zmysł rozumienia sztuki. Cesarz odrzucał często plany swoich budowniczych, ponieważ Herakliusz je zganił. Tak też i teraz chętnie słuchał, jak mu Herakliusz polecał ozdobić wnętrze bazyliki i urządzić uroczystość rocznicy wstąpienia na tron cesarza. Zręczny i wymowny nauczyciel wymowy umiał swoje myśli oblec w piękne słowa, które się ludziom podobać mogą.

Tylko jedno zmienił cesarz w programie.

— Poświęcenie cyrku wodą z świątyni przez kapłanów — rzekł — jest mi za wodniste, poświęcę go krwią. W momencie, gdy przy wyścigach pierwszy zwycięzca dojedzie do celu a cyrk się zatrząsie od okrzyków ludu, każę poza cyrkiem ściąć z pół sta tych chrześcian. Ich jęki śmiertelne i krew, tryskająca na mury — dodał z wstrętnym uśmiechem — jest lepszym błogosławieństwem, aniżeli wszelkie gadaniny i poświęcona woda kapłanów.

Herakliusz nie śmiał się temu sprzeciwiać, ażeby nie popsuć dobrego humoru swego pana. Nadto przypominał sobie o listach Konstantyna do prefekta Rufina, które celem stwierdzenia winy musiał kazać napisać w kancelaryi, jako też i o spisie spiskowców, który miał ułożyć.

IV.

W katakumbach.

Papież Fabian podzielił był Rzym około roku 250 na siedm kościelnych obwodów, z których każdym rządził dyakon, czuwający także nad cmentarzami dla każdego oddziału przeznaczonymi. Pałac Rufina należał do drugiego obwodu. Chrześcianie z tegoż chowali swoich zmarłych przy Apijskiej i Łatyńskiej drodze.

Jakkolwiek Sofronia nie była ochrzczona, mogła przecie być pogrzebaną na chrześcijańskim cmentarzu, ponieważ w godzinę śmierci piśmienie wyznała, że jest chrześcianką. Nadto przyczyna samobójstwa była sama w sobie tak szlachetna, że gdy biskup Milcyades zebrawszy kapłanów na naradę, tę sprawę z nimi rozpatrywał, prawie wszyscy samobójstwo Sofronii uniewinniali i uznali, że Sofronii chrześcijański pogrzeb się należy.

Na życzenie Waleryi ciało matki miało zostać złożone w katakumbach nad drogą Apijską, pozostających pod dozorem Papieża a od świętego Kaliksta nazwanych.

W starym Rzymie pogrzeby odbywały się w nocy; według przezornego rozporządzenia Ireny ciało Sofronii miało zostać wyniesione w cichości i bez okazałości. Mimo to w przed-sionku pałacu zebrało się wielu ubogich, kalek i starców, którzy swojej dobrodziejce miłość i wdzięczność okazać chcieli.

Gdy Irena z dwiema służebnemi między nich weszła, aby w imieniu Rufina i jego córki rozdzielić jałmużnę, przestraszyła się niemało, spo-

strzegłszy między nimi także niejaką Rustykę, małżonkę jednego z kościelnych grabarzy z Zatybrza. Jakkolwiek owa kobieta dopiero przed kilku dniami dziecię powiła, przyszła z niemowlęciem i niewidomą matką swoją, a gdy Irena ją za to strofowała, odrzekła:

— Nie mogliśmy w domu wytrzymać: przyszliśmy jeszcze raz ucałować rękę, która nam tyle dobrodziejstw wyświadczyła.

Irena wprowadziła obie kobiety do komnaty, gdzie ciało leżało. Wzruszający to był widok, gdy matka z nowonarodzonym dzieckiem i niewidoma staruszka przy nieboszczce ukłękły, dziękując głośno za dobrodziejstwa. Irena zaledwie zdołała Rustykę nakłonić, by przyjęła ciepłą chustę, iżby się nie zaziębiła w chłodnej nocy, gdy do domu będzie wracała.

Jak często odkrywa się w grubej muszli ubóstwa drogocenną perłę szlachetnego usposobienia!

Potem przystąpił Rufinus z córką jeszcze raz do zmarłej, aby się na zawsze z nią pożegnać. Gdy to wśród łez i łkania uczynili, przykrył strapiony małżonek według zwyczaju kosztowną purpurą oblicze zmarłej, której ciało nie leżało w trumnie, lecz wprost na noszach. Kapłani odmówili kościelne modlitwy, a następnie pochód ruszył. Niewolnicy oświecali drogę pochodniami. Za noszami postępował Rufinus z Waleryą, Irena i najbliżsi domownicy.

Mimo późnej godziny przed sąsiednimi pałacami i domami stały gromadki ludzi, przepełnionych współczuciem dla Rufina. Lecz nikt nie ważył się wyrzec słowa miłosiernego z obawy przed szpiegami cesarskimi, którzy wszędzie uszy mieli.

Gdy schodzili ze wzgórza, spotkali kilkuna-
 stu młodzieńców wysokich rodzin, którzy noc
 spędzili w jednej z osławionych oberży tej czę-
 ści miasta. Winem podnieceni i do wybryków
 pochopni, zaraz otoczyli orszak pogrzebowy,
 wyglądający ubogo. Na czele owych paniczków
 znajdował się syn prefekta kancelaryi cesarskiej.

— Na Bachusa! — zawołał tenże — umar-
 łym nie potrzeba pochodni i w ciemności znaj-
 dą drogę pod ziemię; my natomiast chcemy wy-
 prawić seneradę mojej pięknej Teselli a do tego
 przydadzą nam się pochodnie.

To powiedziawszy, usiłował wyrwać pocho-
 dnię z ręki jednego z niewolników, lecz w tej
 chwili wystąpił z orszaku Rufinus, położył cięż-
 ko i z naciskiem rękę na ramionach młodzieńca
 i rzekł:

— Prefekt Rzymu odprowadza swoją małżon-
 kę do grobu; nie mąć tego cichego obrzędu!

Te słowa i wielka boleść, z jaką wypowie-
 dziane zostały, bohaterska śmierć Sofronii, jako
 też wysoki urząd Rufina sprawiły, że hulaszczą
 gromada usunęła się na bok zawstydzona. Przy-
 wódca wybąknął kilka słów na uniewinnienie.

Około łaźni Karakali przeszedłszy, przybył
 orszak pogrzebowy bez przeszkody do bramy
 Apijskiej, noszącej dzisiaj miano św. Sebastjana.
 Tam czekało dość dużo chrześcian, mianowicie
 ubodzy, aby zmarłą aż do katakumb Kaliksta
 odprowadzić.

Noc była miła i łagodna. Na pogodnem nie-
 bie rozsiane gwiazdy patrzyły jak oczy aniołów
 na tę nocną procesję; spokój wielki panował
 w całej naturze a liście drzew nie śmiały szele-

ścić, jak pobożne dzieci, aby nie przeszkadzać w modlitwie. Ponuro spoglądały na ten chrześcijański orszak pogrzebowy pogańskie pomniki grobowe po obu stronach drogi.

Kapłan na czele pochodu zanucił psalm. Jak często już od trzystu lat rozbrzmiewały te święte śpiewy w ciszy nocnej na drodze Apijskiej, gdy chrześcijanie ciała męczenników z miejsc męki lub amfiteatru Flawiana do katakumb odnosili! Lecz niezadługo nadejdzie czas, gdy lud rzymski, gdy pasterze z gór Albańskich i Sabińskich, pielgrzymi z Erutrei i Kampanii w wielkich procesjach, pieśni dziękczynne śpiewając, pójdą do grobu męczenników, ażeby tam obchodzić zwycięstwo krzyża nad światem. Przyjdzie czas, gdy dumne pomniki pogańskie z szumnie brzmiącymi napisami w gruzy się rozsypią i tylko ruiny wznosić się będą jak straszidła nad splądrowanymi grobami, a wtedy z krajów, w których nigdy stopa rzymskiego nie postąpiła żołnierza, z nieznanych części świata, pobożni zdążać będą drogą Apijską, ażeby w jednej wierze, jednej miłości i nadziei modlić się przy grobach męczenników.

Zanim orszak pogrzebowy dojdzie do katakumb, udajmy się do kancelaryi cesarskiej, w której Herakliusz każe fałszować listy do prefekta Rufina. Za ledwie pogrzeb opuścił był pałac jego, gdy urzędnik domowy przybył tamdotąd i w imieniu cesarza zabrał niektóre papiery i listy, oraz urzędowe klucze prefektury. Wszystkie te papiery otrzymał natychmiast Herakliusz; nie zawiódł się też w oczekiwaniu, że znajdzie między nimi listy wodzów Konstantyna a jakkolwiek na mocy ich treści nie można było wytoczyć proce-

su, to jednak cennym nabytkiem były dlatego, ponieważ podług nich dało się naśladować pismo i sfałszować listy z treścią więcej obciążającą Rufina. Czasu niema wiele; trzech pisarzy przeto piszą to, co im Herakliusz dyktuje. Zdolny ten człowiek potrafi dyktować jednocześnie każdemu z trzech pisarzy list z inną treścią i w innej formie. W ten sposób powstało kilka listów wodzów Konstantyna do Rufina. Lecz nie dość na tem; Herakliusz wydobył z archiwum kancelaryi cesarskiej listy, pisane przez Konstantyna do Maksencyusza z powinszowaniami i podług nich kazał sfałszować kilka listów samego Konstantyna do Rufina.

Pisarze, zwani po łacinie exceptores, nadzwyczaj byli wprawni w naśladowaniu obcego pisma; pracę przeto wnet ukończyli i czekając na przybycie przełożonego, który się na chwilę był oddalił, tak sobie mówili:

— Czyż to nie oburzające — mówił jeden — że my trzech musimy kręcić sznur, który nasz pan chce Rufinowi na szyję zarzucić?

— Głupi — odpowiedział mu towarzysz — cóż cię to obchodzi? Czy my jesteśmy czem innym, jak narzędziem w rękach pana? Obchodzi się z nami dobrze i płaci dobrze; nic mi do tego, co on czyni.

— Prawda — odpowiedział pierwszy — nie możemy sobie życzyć lepszego pana a jeśli żąda, abyśmy pilnie nasz obowiązek pełnili, to nam też od rana do nocy dobrym przykładem przyświeca. Lecz mimo to...

— I Herakliusz — przerwał mu trzeci — jest tylko narzędziem, którem inna ręka kieruje; on

nie winien, że pan jego nie jest Tytusem lub Trajanem.

Rozmowa ustała, ponieważ prefekt Herakliusz wszedł, aby listy odebrać. Obejrzał je wszystkie bacznie przy świetle lamp, porównał pismo z piśmem, pochwalił pisarzy i przypomniał im przysięgę, podług której milczeć byli zobowiązani o wszystkim, co się w kancelaryi działo.

Teraz zatem miał Herakliusz broń w rękach, za pomocą której na drugi dzień wyrokiem sądowym nieprzyjaciela swego zniszczy.

Właściwe wejście do katakumb św. Kaliksta było położone tuż przy drodze Apijskiej, obok grobowca chrześcijańskich Korneliuszów. Jeszcze dziś wznosi się część brunatnego pomnika między ciemno - zielonymi cyprysami, obok których wiodą stare schody do katakumb. Od czasu jednak, gdy Dyoklecyan zabrał był grunta, pod którymi katakumby leżały, otworzyli sobie chrześcijanie ukryte za krzakami wejście boczne, przez które wchodziło się najprzód do dołów, skąd piasek do wapna dobywano, a stamtąd gankiem wybitym przez kościelnych grabarzy do katakumb.

Tam oczekiwał Mincyusz, grabarz z Żatybrza z pomocnikami swymi na ciało. Ponieważ miejsce było wąskie, trzeba było zmarłą wziąć z nosz i zanieść do grobu. Uczynił to sam Rufinus przy pomocy Mincyusza i towarzyszków.

Długim rzędem postępowali za nimi wszyscy uczestnicy, aż orszak się zatrzymał przed miejscem ostatniego Sofronii spoczynku.

Tutaj stał już otoczony swymi kapłanami i dyakonami biskup Milcyades, aby odprawić pogrzeb.

Walerya wybrała dla matki arcosolium czyli sklepiony grób, w ścianie kaplicy wykuty. Właśnie go ukończono. Tuż obok grobu widać było płytę marmurową, przeznaczoną na zamknięcie grobu.

Wśród modlitw kapłanów i wiernych spuścili grabarze ciało Sofronii do grobu. Walerya zaś wylała na zmarłą kosztowne wonności, od których po całej kaplicy miły zapach się rozszedł.

Rufinus poganin brał dotąd udział we wszystkim i wszystko bardzo go przejęło: i procesya w ciszy nocnej na Apijskiej drodze wśród śpiewu psalmów i pielgrzymka gankami podziemnego miasta umarłych, i pobożne nabożeństwo, z jakim chrześcijanie pogrzeb odprawili.

Lecz teraz zaczęła się święta liturgia. Jakże bolesnem mu było, że musiał być wykluczony z miłości, która chrześcijan około grobu żony jego zgromadziła.

Ach, dopiero teraz uczuł, jaka przepaść dzieliła go od Sofronii i własnego dziecka. Przez jedno okamgnienie usiłował wznieść serce i ducha ku swoim starym bóstwom; lecz ciemne duchy pogańskie nie odważyły się, wejść za nim do poświęconego miejsca spoczynku męczenników. Usunięty z pod ich wpływu, spostrzegł okiem ducha, jak z przed oczu odchyła mu się zasłona; w mroku miasta umarłych weszło mu światło żywota.

Biskup Milciades polecił Sewerowi, jednemu z dyakonów, ażeby podczas trwania nabożeństwa, Rufina po katakumbach oprowadzał i najślawniejsze groby męczenników mu pokazywał;

skoroby zaś sobie życzył, miał go i z katakumb na powierzchnię ziemi wyprowadzić.

Sewerus zwrócił uwagę prefekta na kilka szczególnie pięknych nagrobków. Na jednym z nich czytali: *Quiriace, bonae feminae — palumba sine felle — in pace*. „Cyriace, dobrej żonie, która była gołębiem bez żółci — niech odpoczywa w pokoju.” Na grobowcu Jowiny był napis: „*Recessit a saeculo ingressa in pace*, porzuciła doczesność i wróciła do pokoju wiecznego”. Wiara w życie poza grobem, w połączenie tych, którzy przy życiu pozostali z tymi, którzy umarli, w zobaczenie się kiedyś w części biła w oczy z napisów rozmaitych na grobowcach. Rufin czytał: „*Claudi vivas in aeterno*, Klaudyuszu, żyj w wieczności”; „*Leontino in Deo pax*, Leontynowi niech będzie pokój w Bogu”; „*In pace spiritus Silvani, amen*, dusza Sylwana niech odpoczywa w pokoju, amen”; „*Irene dulcis vivas in Domino*, słodka Ireno żyj w Panu!!” — Inny napis brzmiał: „*Dulcis anima in pace Domini*, słodka duszo, ty żyjesz w pokoju Pana”; „*Quae vixit annos XV virgo*, piętnaście lat żyła dziewica”; „*Pater filiae suae dulcissimae*, ojciec postawił ten nagróbek najśłodziej córce swojej”. — Na innym grobie było można czytać: „*Januaria bene refrigera et roga pro nobis*, Januaryo, doznawaj obfitego pokrzepienia i módl się za nami”. — Pewna kobieta polecała siebie i męża modłom duszy: „*Vincentia in Christo petas pro Phoebe et pro virgineo eius*, Wincencyo, ty spoczywasz w Chrystusie; módl się za Febe i jej męża”. — A o co się opierały te wszystkie nadzieje pokoju i wiecznego życia

w Panu Bogu, do którego umarli już doszli i pozostałym drogę sposobią, o tem głosił napis grecki tej treści: „Krystyna, która wierzyła w Boga i Chrystusa”.

Wiele napisów było błędnie napisanych i ułożonych; niezręczna ręka kreśliła je w marmurze. Lecz wiara w Boga, objawiająca się we wszystkich, musiała być znaną wszystkim chrześcianom nie wyłączając biednych, a nie stanowić przywileju uczonych i wtajemniczonych, jak to bywało w szkołach filozofów.

Niektóre groby ozdobione były obrazami, które Sewerus Rufinowi tłómaczył, o ile tenże pojąć je był w stanie. I w nich widniała ta sama żywa nadzieja, to samo radosne przekonanie, jak w napisach. Na niektórych grobowcach odczytywał prefekt ku niemałemu zdziwieniu nazwiska osób, które znał w życiu, o których jednak nie przypuszczał, aby były chrześcianami. Wszystkie one należały do tych, które z powodu szlachetnego usposobienia szczególnie wysoko cenił. Niektóre z nich pochodziły z senatorskiego stanu i najstarszych szlacheckich rodzin Rzymu.

W tej wędrówce po katakumbach zbliżał się Rufinus z towarzyszem niejednokrotnie do kaplicy, w której chrześcianie przy grobie Sofronii byli zgromadzeni; jak pięknym i zachwycającym wydawał się Rufinowi ich śpiew, dochodzący gankami katakumb to głośniejszy, to ciszej do ich uszu! Jakąż czuł chęć, aby iść do nich i połączyć się z ich modłami przy grobie ukochanej żony swojej!

Po ukończeniu świętego obrządku poszedł jeszcze raz Rufinus do grobowca, aby złożyć

drogłej zmarłej ostatnie pożegnanie, zanim marmurowa płyta grób jej na zawsze zakryje.

Walerya wzniosła do Zbawiciela gorące modły za ojca swego. Modlitwy jej jakoby anioła niebieskiego towarzyszyły mu w wędrówkach po katakumbach. Gdy się Rufinus nad zwłokami żony pochylił i usta swe do jej rąk zimnych przyciskał, usłyszała córka z ust ojca słowo, które ją nappełniło jak największą błogością:

— Droga żono, oby twój Bóg stał się niezadługo i moim Bogiem!

Grabarze podnieśli płytę marmurową, położyli na grób i zamurowali dookoła wapnem. Nie było tyle czasu, aby na nagrobku wykuć napis; to wielce Rufina bolało, i podczas gdy grabarze swą pracę kończyli, on wziął kawał śpiczastego żelaza i wyrył na ścianie przyległego muru napis: „Sophronia dulcis semper vives Deo, Sofronio miła, będziesz żyła ciągle u Boga”.

Prefekt powtarzał przytem tylko słowa i zdania czytane przedtem często na grobowcach. Jednakowoż gdy je teraz sam pisał, mając je wyraźnie przed oczyma i zastosowując je do swej żony, natenczas słowa: „Semper vives Deo, zawsze będziesz żyła u Boga” opanowały go dziwną potęgą; były one wyznaniem jego własnego przekonania. Wiara ta jednak w jednego Boga i w wieczne życie po śmierci nappełniła serce jego światłem, pociechą i nigdy dotąd niedoznaną radością. Łzy popłynęły obficie po jego policzkach, i porwany innem nieznanem mu dotąd uczuciem napisał jeszcze raz, jakoby na potwierdzenie swego wyznania, słowa: *Sophronia vives* — tak, Sofronio, będziesz żyła.

I podczas gdy w czasach burzliwych i wojennych barbarzyńskie ręce prawie wszystkie nagrobki i napisy zburzyły, słowa, które Rufinus napisał, jeszcze dziś można czytać. Dowodzą one pociechy duszy, która w walce pomiędzy naturą a łaską Bożą, pomiędzy ciemnością pogańską a światłem wiary odniosła zwycięstwo.

Modlitwa Sofronii przed tronem Najwyższego została wysłuchaną.

Gdy grabarze swą pracę ukończyli, opuścili wierni kaplicę grobową z słowami na ustach: „Vale in pace, żyj w spokoju!” Następnie wyszli na powierzchnię ziemi.

Właśnie ponad Albańskimi górami wschodziło słońce i rozlało swój złocisty blask na horyzoncie, oświecając nagrobki przy apijskiej drodze.

Walerya pilnie uważała, jak ojciec jej rył ów napis na ścianie; z każdym napisanym wyrazem serce jej większą radością wzbierało a łzy błęgiego szczęścia po licach jej spływały. W drodze do domu udzielił biskup Milcyades Rufinowi pierwszych zasad nauki chrześcijańskiej a czas ten zupełnie wystarczył, aby go z pierwszemi głównemi prawdami naszej chrześcijańskiej religii zapoznać. Milcyades znalazł w Rufinie chętnego i światłego ucznia.

Gdy atoli przy rozstaniu biskup wyraził nadzieję, że niezadługo położy prefektowi znak krzyża św. na czole i przyjmie go uroczyście do liczby nowonawróconych, natenczas prefekta tak otwarte zerwanie z rzymską religią państwową jednak przeraziło. Toć to wystarczy, myślał sobie, gdy w skrytości serca mego będę czcił

Boga chrześcian. Gdyby nie moje urzędowe stanowisko i niekorzystne stosunki, chętniebym życzeniu biskupa zadość uczynił.

Milcyades spodziewał się po Waleryi, że ona się wiele do nawrócenia ojca przyczyni; jakkolwiek nie mógł się opędzić smutnemu przeczuciu, że do powolnego i skutecznego nawrócenia go na chrześcijaństwo może zabraknąć czasu.

Jak słusznemi były obawy świętego starca!

W pobliżu pałatynu pożegnała się Walerya z ojcem i wybrała z Ireną drogę przez emilijski most ku Zatybrzu. Chciały koniecznie odwiedzić chorą Rustykę; obawiały się bowiem, że wczorajsze chłodne nocne powietrze mogło jej być zaszkodzić.

Gdy Rufinus przybył do domu oznajmił mu służący, że ubiegłej nocy odbyła się w jego pomieszkaniu rewizya.

Usłyszawszy to prefekt, pobladł. Wiedział bowiem dobrze, co to miało znaczyć: Maksencysz postanowił go zgubić.

I naraz odezwał się w przedsionku hałas i szcęk broni. W chwilę potem wpadła do jego mieszkania gromada uzbrojonych pachołków, jakby czekając tylko na jego powrót.

Atoli i w Rufinie odezwała się teraz duma rzymskiego patrycyusza; odezwał się więc do pachołków:

— Wiem, po co przychodzicie; owszem pójdę za wami, jednakowoż nie ważcie się mnie wiązać. Ani senator Aradius Rufinus, ani prefekt rzymski wiązać się nie pozwoli, zanim nie stanie przed sądem.

— Właściwie otrzymałem rozkaz przyprowadzić cię związanego do mamertyńskiego więzienia — odpowiedział dowódca pachołków — jeżeli jednak chcesz iść z nami dobrowolnie, nie będziemy siły używali.

Gdy pochód z uwięzionym ulicami postępował, zgromadziło się mnóstwo ludzi, przypatrując się uprowadzeniu prefekta. Jedyne bojaźń przed tyranem wstrzymywała przypatrujących się od uwolnienia go z rąk oprawców. Na twarzach wszystkich był wyraz oburzenia na tak niesłychany gwałt.

W sali sądowej mamertyńskiego więzienia oczekiwał już na uwięzionego sędziego z swymi ławnikami, który miał prowadzić wstępne śledztwo. Także i Herakliusz znalazł się w sali sądowej pod pozorem, aby jako prefekt cesarskiej kancelaryi zdać orzeczenie co do pisma zabranych papierów. W rzeczywistości jednak chciał ory tylko śledzić przebieg procesu i już naprzód zastraszyć sędziów, aby zbyt łagodnego wyroku nie wydali.

Z złośliwą radością przypatrywał się więźniowi, którego otoczonego oprawcami wprowadzono na salę.

Po zwykłych zapytaniach nastąpiły przesłuchy co do jego dawniejszych stosunków do Konstantyna i tegoż kilku wodzów. Rufinus nie zapierał się wcale, że tak dawniej jak i teraz łączył ich z sobą stara przyjaźń. Następnie przedłożono mu z zabranych papierów kilka listów i porównywano pismo to z jego pismem. Treść tych listów była dla Rufina oczywiście bardzo obciążająca; o to postarał się już w kancelaryi

Herakliusz. Atoli i teraz w największem oburzeniu zaprotestował Rufinus przeciw listom, których nigdy nie otrzymał a które musiały być podrobione i mu podsunięte.

— Kto te listy napisał — rzekł, rzucając znaczące spojrzenie na Herakliusza — o tem będzie mógł powiedzieć prefekt kancelaryi cesarskiej; wie on też niezawodnie, w jaki sposób listy owe dostały się między moje papiery.

Te słowa Rufina zmieszały na chwilę tchórzliwego Greka, lecz na krótką chwilę tylko, poczem z zimną krwią prosił sędziego, aby słowa oskarżonego do protokołu zapisał. Przytem rzekł:

— Jako zaufany sługa boskiego Maksencyusza zajmuję zbyt wysokie stanowisko, ażeby mnie mogła trafić strzała zdrajcy stanu; ta wycieczka osobista oskarżonego wskazuje tem dobitniej, że dopuścił się niewątpliwie tego, o co go posądzają.

Zaraz też pretor, nie czekając nawet, co Rufinus na to powie, wydał wyrok, że na mocy ustnych zeznań jako też listów oskarżony natychmiast ma zostać uwięziony, zaś akta najwyższemu sądowi przesłane, albowiem tenże sąd rozstrzyga w sprawach zdrady stanu i obrazy majestatu cesarskiego, jakiej Rufinus się dopuścił.

Dozorca więzienia z pomocnikami zbliżył się do Rufina, aby go zabrać. Lecz oskarżony wyprostował się dumnie i rzekł:

— Czekajcie! Mam jeszcze coś do powiedzenia! Cesarz chce, abym umarł a jego wola jest księgą praw, podług której zostanie skazany. Komedyi z listami podrobionymi nie było do

tego potrzeba. Muszę umrzeć, ponieważ cnota mojej małżonki za wielką była dla niegodziwości tyrana i godny takiej niewiasty, idę śmiało na śmierć. Herakliusz jednak niech panu swojemu zanieś jako ostatecznie pozdrowienie dawnego towarzysza broni: Zbrodnie nie podpierają tronów! W zbrodniczej pysze depcesz wszelkie boskie i ludzkie prawo, lecz twoje nogi poślizgną się na tym gruncie!

— Pozwólcie mi dokończyć — zawołał Rufinus, gdy pretor i Herakliusz, rozgniewani za mężne słowa, rozkazali oprawcom, ażeby oskarżonego do więzienia odprowadzili. — Niewinna krew, jaką przelewasz, Maksencyuszu — mówił podniesionym głosem, rękę ku niebu wznosząc — jęki wdów i sierót, nędza wygnańców i z majątku odartych, bieda uciśnionego ludu, to wszystko woła o pomstę, tyranie, a przed tą zemstą nie zastawia cię twoi pretoryanie. Skończysz w hańbie i wstydzie razem z wszystkimi tobie zaprzedanymi duszami, które twoim zbrodniom służą. Bliska jest godzina zapłaty!

— Ha — krzyknął Herakliusz do oprawców — czyż możecie jeszcze dłużej znosić taką obrazę majestatu? Chwytajcie go i wtrąćcie do najgłębszego lochu zdrajcę! Precz, precz! Czyś zapisał wszystkie słowa w protokóle — rzekł do notaryusza — które ten nędznik wypowiedział? One same wystarczą, ażeby go na śmierć skazać.

Tymczasem oprawcy założyli okowy na ręce Rufinowi i gwałtownie pchając, odprowadzili go do więzienia.

Pełen złości udał się Herakliusz do domu. Zemście stało się zadość: owego męża, który go

tak ciężko obraził, wydał na śmierć. Lecz nie uczuwał z tego powodu zadowolenia, a wyrzeczona przez Rufina w tak uroczysty sposób groźba prześladowała go jak zmora. Napróżno starał się wmówić sobie, że to cesarz prefekta zgubić postanowił; napróżno przyspieszał kroku; grozą przejmujący cień towarzyszył mu ciągle i szeptał nieustannie do ucha: **Bliską jest godzina zapłaty!**

V.

Ofiara.

Wracając z katakumb do miasta, przyłączyła się Walerya do Ireny, która również spostrzegła, jak wielka zmiana dokonywała się w Rufinie. Pełne serdecznej radości, rozważały obie niewiasty, co czynić, aby wschodzącą roślinkę wiary zabezpieczyć przed pyłem publicznego życia i uciążliwymi troskami urzędu.

O tem rozmawiając, zbliżyły się do mostu Emili-skiego, gdzie uwagę ich zwrócił wielki statek handlowy, który właśnie u stóp Awentynu zarzucał kotwicę. Walerya przypomniała sobie, że ojciec z niecierpliwością oczekiwał przybycia z Egiptu okrętu ze zbożem.

Niezadługo przybyły obie niewiasty do części miasta, zwanej Zatybrzem, gdzie wtedy, jak i dzisiaj jeszcze przeważnie uboższa ludność mieszkała. Nie często zabłąkał się tu dotąd patrycyusz a jeszcze rzadziej bogata pani. Lecz Walerya i Irena były tu dobrze znane i z wielką miłością i szacunkiem witane przez biednych tej dzielnicy.

Grabarz Mincyusz zamieszkiwał z żoną Rustyką i ociemniałą matką ubogą, lecz bardzo czysto i schludnie utrzymane mieszkanie. Słońce zaglądało wesoło okienkiem, przed którym kwitnęły astry i czerwieniły się rajskie jabłka; kruk, którego Mincyusz mówić nauczył, powtarzał od czasu do czasu: „Ave Rustica! Dzień dobry, Rustyko!”

Rustyka siedziała przy warsztacie tkackim; obok w kołysce spoczywała dziecina. Niewidoma matka przędła, palcami prawej ręki z kądzieli nitkę tworząc i naplatając ją na wrzeciono, krążące wokół po podłodze; przędła z taką pewnością i zręcznością, że nikt nie byłby zmiarkował, iż prządka jest niewidomą.

Gdy Irena Rustykę łagodnie zganiała, że wykonuje pracę dla jej stanu zdrowia za nużącą, odpowiedziała młoda matka:

— Cztery całe dni. nie pracowałam wcale, muszę to teraz nagrodzić. Gdy się znużę, natenczas spojrzę na tego małego urwisa w kołysce i wtedy mi się zdaje, że siedzę przy żłóbku w Betlejemie, w którym także taki chłopczyk leżał, co był Bogiem: ta myśl sprawia, że praca mi lekką bywa.

Mówiąc to Rustyka, zaprzestała na chwilę pracy i wpatrzyła się z najczulszą radością matki w twarz uśpionej dzieciny.

— Położyłam mego pierworodnego — tak mówiła uszczęśliwiona Rustyka dalej — w duchu do stóp Jezusa w żłóbku i prosiłam Matkę Boską, ażeby czasem łaskawy wzrok na niego rzuciła: wzrok ten musi przeniknąć młode serduszko.

A Józef, tak wiernie boskiego Dzieciątka strzegący, wyciągnie także rękę nad moim małym.

To powiedziawszy, odkryła Rustyka koniec kołyski przy głowie dziecka i pokazała obu niewiastom z uśmiechem pełnym szczęścia obrazek przylepiony na ścianie kołyski, nad główką dziecka, przedstawiający stajenkę Betlejemską.

Wtem wszedł Mincysz. Gdy ujrzał Waleryę, zmięszał się i pobladł. Po chwili wziął obie niewiasty na stronę i rzekł:

— Zdaje mi się, szlachetna Waleryo, że ojciec twój życzy sobie, abyś niebawem do domu wróciła.

— Mój ojciec? — zawołało dziewczę, blednąc. — Przed pół godziną rozstaliśmy się z nim przy Palatynie; mów, co się z nim stało?

— Jeden z sług twoich spotkał mnie — odrzekł Mincysz — i pytał się, czy nie wiem, gdzie pani jego się znajduje. Z tego wnoszę, że ciebie szukają.

Ta wiadomość spowodowała obie niewiasty, że się wnet oddaliły. Mincysz spoglądał za nimi pełen smutku i rzekł sam do siebie:

— Biedna dziewczico, oby ci niebo udzieliło siły do noszenia krzyża, który ci na barki wkłada.

Mincysz, wracając z katakumb, przechodził przez forum czyli główny rynek i widział, jak Rufina do mamertyńskiego więzienia prowadzono i jak służba pełna trwogi szukała córki uwięzionego.

Któż opisze boleść Waleryi, gdy przybywszy do domu, o uwięzieniu ojca się dowiedziała! Przez chwilę była jak skamieniała i gdyby nie Irena, byłaby upadła na ziemię. Irena wzięła ją

jak matka w objęcia i utuliła. Wiedziano, co to znaczy być uwięzionym przez Maksencyusza: to pewna śmierć! Wczoraj Walerya straciła matkę, dzisiaj ojca: czyż mogło być dla niej większe nieszczęście?

A gdy Rufinus będzie musiał umrzeć, zanim zostanie chrześcianinem! Po długoletniem wzdryganiu się uczynił pierwszy krok ku bramom zbawienia; czyżby śmierć teraz miała zniszczyć most, zanim na niego wejdzie?

Ojca uratować, przynajmniej duszę jego uratować za każdą cenę, to było jedyną myślą, która obecnie przemożną siłą ducha Waleryi ogarnęła i prawie nadludzkiej mocy jej dodała.

Irena radziła spróbować, czyby się nie udało przekupić dozorców więzienia i w ten sposób dostać się do więźnia.

Zabrawszy dużo pieniędzy, udały się obie niewiasty przez forum do mamertyńskiego więzienia.

Lecz dozorca nie dał się przekupić, nie przyjął pieniędzy i nie wpuścił proszących do Rufina. Nakoniec rzekł:

— Zwróćcie się do prefekta kancelaryi cesarskiej Herakliusza. Tylko za jego pozwoleniem mogę was wpuścić do więzienia. Lecz lepiej byłoby — dodał z współczuciem — gdybyście do niego nie chodziły.

Gdy Irena usłyszała imię prefekta, westchnęła, bo od tego człowieka trudno się było czego dobrego spodziewać.

— Znasz prefekta kancelaryi, Herakliusza? — zapytała Walerya Irenę.

— Niestety aż nadto dobrze go znam — odpowiedziała Irena smutnie. — Nie jest to nikt inny, jak ten nieszczęsny, który w zaprzeszłym roku stanął na czele tych, co podczas prześladowania Dyoklecjana od wiary chrześcijańskiej odpadli, aby na biskupie Euzebiuszu wymódlą przyjęcie ich znowu między chrześcijan bez pokuty. Przypominasz sobie, że z bronią w ręku wdarli się do kościelnego zebrania i dom Boży krwią braci zbezczeszili.

— Lecz czyż cesarz nie wypędził go razem z ojcem świętym z Rzymu na wygnanie? — zapytała Walerya.

— Tak jest, lecz Maksencyuszowi przydać się mógł taki człowiek, przeto po pewnym czasie go ułaskawił, powołał do tajnej swojej kancelaryi i zamianował po kilku tygodniach prefektem. Jak dużo dobrego mógłby ten człowiek zdziałać za pomocą wielkich swoich zdolności! A teraz nadużywa ich, aby służyć złemu i prześladować Kościół Chrystusowy.

Jakkolwiek pobożne serce Waleryi czuło wstręt do odstępcy, nie pozostało jej nic innego, jak się do niego zwrócić. Skoro Herakliusz tak wielki wpływ na cesarza wywierał, natenczas jedno słowo jego wystarczy, aby ojca uratować; miała nadzieję, że wielka miłość do ojca uczyni ją tak wymowną, iż serce prefekta wzruszy się na jej prośbę. Ani ona, ani Irena nie wiedziały o nienawiści, jaką Herakliusz żywił dla prefekta; nie domyślały się też, że uwięzienie Rufina głównie jego było dziełem. Irena towarzyszyła Waleryi aż do mieszkania prefekta w skrzydle cesarskiego pałacu.

Gdy Walerya weszła do wnętrza, zapytała odźwiernego.

— Czy mogę mówić z szlachetnym Herakliuszem, prefektem kancelaryi cesarskiej?

Odźwierny spojrzał na nią z góry i odpowiedział po chwili:

— Pan mój zakazał wpuszczać kogokolwiek do siebie.

— Lecz ja muszę się z nim widzieć — odpowiedziała Walerya — idź mu oznajmić o tem.

Niewolnik wzdrygnął ramionami, nie odpowiedziawszy ani słowa i oparł się niedbale o oddzwia.

Wtedy wydobyła Walerya kilka złotych pieniędzy a ich dźwięk wywarł skutek nadzwyczajny.

— Czy chciałaś mówić z moim panem, szlachetna pani? — zapytał nagle odźwierny nader uprzejmie, odbierając zręcznie podane mu przez Waleryą pieniądze. — Zaprowadzę cię do jego syna, Sabina. Przekonaj się, czy go zdołasz nakłonić, ażeby szedł z tobą do ojca. Tam oto stoi w przedsionku z kilku towarzyszami.

Nieśmiało zbliżyła się Walerya do gromadki młodzieńców, którzy tam stali, śmiejąc się i żartując. Na zapytanie o syna prefekta, przedstawił jej się paradnie ubrany i olejkami pachnący młodzieniec, w którym Walerya natychmiast rozpoznała tego, co przeszłej nocy w zuchwały sposób pochód pogrzebowy niepokoił. Skłonił się nisko i zapytał, czegoby sobie pani życzyła.

Dziewica powiedziała mu, kim jest i z czem przychodzi.

— Tak — zawołał Sabinus — więc ową mężną niewiastą, która sobie mieczem piersi prze-

biła, jest twoją matką! Z podziwienia dla tej nowej Lukrecyi chętnie spełnię życzenie jej pięknej córy. Wprawdzie obecnie ojciec nikogo nie przyjmuje, lecz dla ciebie uczyni wyjątek.

Myśl o uratowaniu ojca ogarnęła Waleryę tak bardzo, że w słowach Sabina niczego nie słyszała, jak że z nią współczuje i prośbę jej spełni.

Niebawem udali się oboje do kancelaryi Herakliusza. Był to mężczyzna przeszło pięćdziesiąt lat liczący; sucha, koścista twarz z małemi, przenikliwemi oczkami i wąskimi wargami nie wzbudzała zaufania.

Sabinus przedstawił ojcu młodą dziewczę, a potem, cofnąwszy się w głąb, czekał z ciekawością, z czem do ojca jego przychodzi córka prefekta Rzymu, której piękność na pierwszy rzut oka go zachwyciła.

Walerya zaczęła mówić:

— Przebacz, szlachetny panie, że ośmielam się przedłożyć ci prośbę.

— Przeszkadzasz mi rzeczywiście w moich zatrudnieniach — odpowiedział opryskliwie Herakliusz, odwracając twarz od przybyłej.

Właśnie bowiem był on zajęty tem, kogo z patrycyuszów wpłatać w rzekomy spisek Rufina: któż mógł mu być mniej na rękę w tej chwili, jak córka tego męża, który go dzisiaj po raz trzeci tak bardzo obraził? Głos sumienia, przebudzony słowami Rufina w sądzie, już „szczęśliwie” w Herakliuszu zamilkł.

— Życie mego ojca, szlachetny Herakliuszu — mówiło dalej strwożone dziewczę — jest w twojej mocy; ty jeden możesz go uratować, jeśli będziesz chciał.

Potem zaczęła Walerya zapewniać w tak wzruszających słowach o niewinności ojca, prosiła tak serdecznie i szczerze o jego życie, że słowa jej, jak sądziła, mogły być kamień poruszyć. Nawet Sabinus, mniej zepsuty, niż lekkomyślny, nie mógł utaić współczucia, gdy Walerya na końcu do nóg prefekta się rzuciwszy, kolana jego objęła i całą siłą gorącej miłości serca swego błagała twardego człowieka o zmiłowanie.

Lecz prefekt udawał, jakby jej wcale nie widział, a gdy ciągle jej prośby mu się sprzykrzyły, rzekł zimno i bez litości:

— Wiedz, że łzy kobiece nie mają ciężaru na wadze sprawiedliwości. A teraz nie przeszkadzaj mi dłużej.

Wzdychając żałośnie powstała Walerya z kolan i wyszła z spuszczoną głową i złamanem sercem.

Sabinus poszedł za nią.

— Na Jowisza — rzekł za drzwiami — mój ojciec postąpił sobie z tobą niegodnie. Lecz jeżeli mu ofiarujesz tyle złotych pieniędzy, ile łez, natenczas chcę być hipopotamem (koniem rzeźnym), jeżeli ci przynajmniej ojca w więzieniu zobaczyć nie pozwoli.

— Mam przy sobie worek ze złotem — odpowiedziała Walerya. — Czy mogę cię prosić, abys mi przynajmniej tę łaskę u ojca wyprosił?

Sabinus namyślał się chwilę, potem pochwycił worek i chowając go, rzekł:

— Teraz ojciec mój nie jest w tem usposobieniu, abym mu mógł prośbę twoją przedłożyć; lecz ja sam zaprowadzę cię do więzienia i spróbuję, czy mi się nie uda wpuścić cię aż do wię-

źnia. Potem uspokoję ojca mego twoim podarunkiem, że się nie będzie gniewał o mój postępek.

Walerya podziękowała młodzieńcowi z radością; nie dała przy tem poznać po sobie, że nie dowierza, aby Sabinus pieniądze ojcu oddał.

W przedsionku szepnął syn prefekta kilka słów do towarzyszków, z czego ci się rozśmiali, potem udał się z Waleryą ulicami Palatynu ku wspaniałym schodom, prowadzącym na forum a przeszedłszy obok świątyni Julii, zbudowanej przez Cezara, skierował kroki ku więzieniu marmertyńskiemu u stóp Kapitolu.

Podczas gdy szli starał się Sabinus zabawić Waleryę rozmową bardzo grzeczną i pocieszać ją nadzieją, że sądy niezawodnie ojca jej uwolnią. Ażeby myśl jej od tej smutnej sprawy odwieść, opowiadał jej o swoich podróżach dalekich i pobycie w Egipcie. Dziwił się też wielce, że nigdy jej dotąd jeszcze nie widział na dworskich balach i w salonach arystokratycznych oraz uważał, iż to rzecz nieznośna, gdy tak piękna dama w samotności i zacisku przekwita.

Walerya zajęta jedynie myślą o ojcu, nie zważała na to, co towarzysz do niej mówił. Musiała się zgoła przymuszać, aby odpowiadać uprzejmie na zapytania tego, od którego zależało, czy się z ojcem zobaczyć będzie mogła.

Praepositus czyli główny dozorca więzienia nie chciał zrazu o niczem słyszeć, zastawiając się tem, że musi otrzymać piśmienny rozkaz, lecz udało się Sabinowi wyjednać dla Waleryi pozwolenie na półgodzinną rozmowę z ojcem.

Nadzwyczajna piękność Waleryi, jej smutek z powodu uwięzienia ojca, po tragicznej śmierci

matki, serdeczność, z jaką Sabinowi za wyświadczoną łaskę dziękowała, to wszystko wzbudziło niezwykle współczucie w Sabinie dla pięknej dziewczyny i gdy wracał ku domowi, zaprzętały głowę jego różne myśli.

Przeszłej wiosny ukończył on nauki w szkole w Aleksandryi w Egipcie i wrócił do Rzymu nie na to, jak ojciec się spodziewał, aby się poświęcić służbie rządowej, lecz aby w Rzymie, stolicy świata, użyć wszystkiego, czego w Aleksandryi zaledwie w części użyć mógł.

Ponieważ Sabinus nie chciał wstąpić do kancelaryi cesarskiej, przeto Herakliusz postarał mu się u cesarza o urząd pierwszego dozorczy przy nowych budowlach rządowych; jakkolwiek o budownictwie nie miał wyobrażenia, ojciec przypuszczał jednak, że z czasem zamiłowania nabierze. Lecz zawiódł się, bo niebawem zaczęły nadchodzić liczne skargi na syna a gdy ojciec z tego powodu zarzuty mu czynił, odpowiedział synalek, że woli pieczeń zajadać, niż być kucharzem. Natomiast znalazł syn bogatego urzędnika dworskiego między złotą młodzieżą w Rzymie wielu towarzyszków, z którymi przy kostkach i ucztach pijackich noce spędzał.

Z tych powodów stosunki między ojcem a synem nie były dobre i Sabinus pragnął wyrwać się z rodzicielskiego domu. Teraz zdawało mu się, że nadeszła stósowna pora: Walerya mogła stać się jego żoną. Czyżby dla Rufina ręka córki miała być za wysoką ceną, ażeby wobec śmierci życie, stanowisko i wszystkie swoje bogactwa zachować? A jemu, synowi dorobkiewicza, czyż zdarzy się kiedykolwiek tak świetne i znakomite

małżeństwo? Ojciec jego może więźnia uratować, a Sabinus liczył na pomoc matki, która potrafi Herakliusza skłonić do tego. Wprawdzie nie zapomniał o wielkiej nienawiści ojca swego do Rufina; lecz warto o tem zapomnieć, gdy można zostać teściem córki takiego Aradiusza Rufina. Zajście przy pogrzebie przeszłej nocy wcale mu na myśl nie przyszło.

Gdy Sabinus wszystko to rozważył, udał się szybkim krokiem do domu i zaraz wszedł do mieszkania matki.

Małżonka prefekta lubiła przepych; mieszkanie jej przeto urządzone było z królewskim zbytkiem. Kosztowne dywany pokrywały podłogę. Na stołach z drogiego drzewa, ciągnących się wzdłuż ścian, stały złote świeczniki obok posążków misternej roboty, szklanne naczynia, ozdobione obrazkami, szkatułki z kości słoniowej i złota, wazy achatawowe i wiele innych kosztownych rzeczy. Przez okno, przysłonięte bogatemi zasłonami, widać było werandę, gdzie wśród rzadkich kwiatów umieszczony był wodotrysk, którego wody spadały w srebrne naczynie. Jeżeli Herakliusz, bogactwa zbierając, ręce swoje zbrudził, wiele winy w tem miała jego żona, nierozumnie rozrzutna i w przepychu a zbytku się lubująca.

Sabina leżała na łożu okrytem purpurą i czytała niemoralną sztukę teatralną, gdy syn wszedł.

Żona Herakliusza nie była ani lepszą ani gorszą od innych kobiet w Rzymie. Dumna z swojego szlachectwa, sprawowała rządy w domu; jakkolwiek niewolnice jej nieraz cierpieć musiały z powodu humoru pani, to jednak były w Rzymie inne panie, obchodzące się ze służbą okru-

tniej i gorzej. Wysokie stanowisko, jakie sobie jej mąż zdobył, napełniało ją zadowoleniem a do zupełnego szczęścia nie potrzeba jej było nic więcej, jak żeby się syn jej ożenił z córką staro-rodu szlacheckiego i stanu senatorskiego.

Skoro tedy Sabinus zaczął jej o wszystkim opowiadać, uradowała się bardzo, a gdy skończył, rzekła:

— Ojciec musi więźnia uwolnić, moje serce. Nigdy już nie nadarzy ci się druga taka sposobność. Idźmy natychmiast do niego!

— Lecz czekaj! — zawołała, stając i rękę do czoła przykładając.

Po niedługiej chwili namysłu znalazła widocznie, czego szukała. Zawoławszy niewolnicę, poleciła jej udać się zaraz do mamertyńskiego więzienia i zaprosić Waleryę na rozmowę do niej. Potem położyła rękę na ramię synowi i poszła z nim do mieszkania męża.

— Napotkam u ojca twego — rzekła — na wielki opór. Mów ty naprzód; w stosownym momencie przyjdę ci w pomoc.

Herakliusz chodził od chwili, gdy Walerya wyszła, pełen niepokoju po izbie; serdeczne prośby nieszczęśliwego dziecka zaczęły mu pukać z wielką gwałtownością do sumienia.

— Co cesarz względem Rufina postanowił — mówił sam do siebie — tego się nie da zmienić!

Temi słowami starał się uspokoić sumienie swoje, a przerywając wątek tych myśli, zaczął szukać między senatorami, kogoby wmieszać do rzekomego spisku Rufina. W tej chwili weszła żona i syn. Herakliusz zdziwił się, ujrzawszy ich obojga i czekał, co mu powiedzą. Sabina,

nic nie rzekłszy, usiadła na stołku i bawiła się wachlarzem z najpiękniejszych strusich piór, podczas gdy syn tak się odezwał:

— Ojczy, skończyłem dwadzieścia dwa lata i czas już, ażebym się ożenił.

— Na Jowisza, to jest pierwsze porządne słowo, jakie od kilku miesięcy od ciebie słyszę.

— Znalazłem piękną, młodą i bogatą pannę, ze szlachetnego rodu i jedyną dziedziczkę bogatego wdowca.

— Bogatą, piękną i młodą, i taka panna chce zostać twoją żoną? — zawołał Herakliusz z niedowierzaniem.

— Szczęście przyczepiło do mojej wędki wabika, na który złota rybka z pewnością się złapi, jeżeli... jeżeli ty, ojczy, wody mi nie zamącisz!

— Nie pojmuję znaczenia twoich słów. Lecz jeśli fortuna twoje szczęście chce uprząść, ojciec twój nie będzie jej nici zrywał.

— Krótko i węzłowato tedy ci mówię, że córka prefekta Rufina oddałaby mi swoją rękę, gdybyś ty procesu przeciwko jej ojcu zaniechał.

Herakliusz wyłupił oczy na syna i przez chwilę nic nie mówił, ale wnet zawołał:

— Czyś razem z pieniędzmi i rozum przegrał w kostki? Z tego małżeństwa nigdy przynigdy nic być nie może. Nie, nie! Nie chcę za synową córki człowieka, który mnie tak ciężko obraził. A choćbym nawet chciał, czyż nie wiesz, że Rufinus jest oskarżony o spisek przeciwko cesarzowi i że już jest tak dobrze, jak skazany?

— Postaw za niego jakiego innego niewinnego człowieka na liście.

Herakliusz chodził niespokojnie po komnacie, nakoniec zapytał:

— Czy myślisz na prawdę, że ta dziewczyna za życie ojca pojmie za męża urwisza, z taką łajdacką twarzą jak twoja?

— Zarzekała się na wszystko — odpowiedział Sabinus — że niema ofiary, którejby nie spełniła, ażeby tylko ojca od śmierci uratować. Co się zaś tyczy mojej twarzy — dodał z złośliwym uśmiechem — cały Rzym twierdzi, że ona nadzwyczajnie jest podobna do twarzy mojego ojca.

Na te słowa posunął się Herakliusz ku synowi nadzwyczajnie oburzony, lecz w tej chwili też wtrąciła się do rozmowy Sabina.

Rzymianie zwykli byli nazywać swoje żony „swojami paniami”; w ustach Herakliusza nie były to jedynie grzeczne słowa. Gdy Sabina, dama wysokiego rodu, oddała rękę swoją takiemu dorobkiewiczowi, jak on, uczyniła to w tej myśli, iż rzeczywiście będzie panią a mąż tylko niewolnikiem, ustępującym jej we wszystkim.

— Mój kochany małżonku — odezwała się Sabina — chodzi o szczęście naszego syna i jeżeli owa młoda panienka zgodzi się na oddanie mu ręki, natenczas ojciec jej musi uzyskać wolność.

— Ależ, moja pani — zawołał prefekt — czy zapomniałaś, że ten sam człowiek skazał mnie na wygnanie, że niedawno dopiero ciężko mnie obraził? Przed godziną jeszcze doznałem od niego obrazy a teraz mielibyśmy sobie jako teściowie paść w objęcia?

— Małżeństwo dzieci pogodzi niezgodę ojców — odpowiedziała uspokajająco Sabina.

— Czyż nie ma w Rzymie setek młodych panieli — zaczął Herakliusz synowi przedkładać — młodych, pięknych i bogatych, któreby jedynemu synowi prefekta cesarskiej kancelarii chętnie rękę oddały? Dlaczego właśnie tę dziewczynę sobie w lekkomyślności swojej upatrzyłeś na złość i przekorę ojcu swemu? Lecz choćby syn mój lekceważył sobie obelgi, jakie dotknęły ojca jego, po małżonce mojej mógłbym się spodziewać...

Lecz Sabina nie pozwalając mu dokończyć rzekła:

— Czyż to nie będzie największym twoim tryumfem, mój kochany małżonku, że Rufinus z twojej ręki, z twojej łaski życie otrzyma? Czyż ci nic na tem nie zależy, abyś miał przychyłność prefekta Rzymu?

Herakliusz zastanowił się na te słowa. Gdyby oprócz wpływu, jaki wywiera na cesarzu, zdołał jeszcze pozyskać przyjaźń prefekta Rzymu, przyjaciela Konstantyna, natenczas nie byłoby potężniejszego męża od niego, wtedy też wojna go nie trwoży, albowiem czy Maksencjusz czy Konstantyn zwycięży, on nie zginie!

— Lecz cesarz — zawołał prefekt — cesarz nakazał, aby Rufinus umarł; śledztwo jest ukończone, вина udowodniona, zabranie majątku Rufina dla próżnej kasy cesarskiej konieczne i już wydałem odnośny rozkaz: nie, nie, to wszystko już nie może się odstać.

— Boskiemu Maksencjuszowi jest rzeczą obojętną — przerwała Sabina — czyje dobra zabrane zostaną. Wyrok w sprawie Rufina jeszcze nie

wydany, a więc jeszcze masz wolną rękę. Nie potrzeba nic więcej, jak abyś w aktach znalazł jakiś błąd formalny. Wtedy proces musi się zacząć od nowa a śledztwo nowe wykaże zupełną niewinność oskarżonego. Cesarzowi pogrozisz, że jeżeli Rufinowi znowu urzędu prefekta nie odda, lud rzymski się zbuntuje.

— Lecz śmierć Sofronii, listy, które... Narażę się na największe nieprzyjemności! Czy wiesz, że narażasz życie moje na niebezpieczeństwo?

Sabina nie zdążyła jeszcze na to odpowiedzieć, gdy wszedł niewolnik, oznajmując, że przybyła Walerya.

— Zdajcie na mnie rozmowę z nią — rzekła Sabina — wy obaj jesteście zbyt niezgrabni, aby takiego gołąbka złapać.

Pół godziny później wyszła Walerya z mieszkania Herakliusza z listem do dyrektora więzienia, zawierającym rozkaz, ażeby Aradiuszowi Rufinowi natychmiast najlepszą izbę swoją oddał na mieszkanie, ażeby się z nim jak najgrzeczniej obchodził a sędziów po południu na nowe posiedzenie zawezwał.

Gdy Walerya pałac opuściła, stanęła na chwilę i odetchnęła z całej piersi.

Ofiara została spełniona; tylko sam Bóg wiedział, jak ciężko jej było ją spełnić.

Walerya uczyniła znak krzyża na czole, spojrzała z ufnością ku niebu a potem udała się do więzienia mamertyńskiego.

Na pół zatarty obraz w katakumbach św. Piotra i Marcelina przedstawia Zuzannę w postaci baranka, jak na nią dwaj sędziowie w postaci wilków napadają. Możemyż mieć nadzieję,

że i dla Waleryi znajdzie się Daniel, który ją z paszczyki wilków wybawi i nikczemne plany Sabina i jego matki zepsuje?

Nie! Na dworze Maksencyusza w Rzymie nie było takiego Daniela.

Gdy Walerya ojca swojego z więzienia wywiedzie, wtedy on wprawdzie stanie się wolnym, lecz ona zakuje się w okowy, o których wie, że są bardzo ciężkie, lecz które z męstwem męczennicy jako ofiarę zbawienia duszy ojca chce nosić.

VI.

W więzieniu mamertyńskim.

Więzienie mamertyńskie, u stóp Kapitolu, po stronie od forum, było kaźnią dla zdrajców i buntowników przeciwko państwu. Składało się ono, o ile poznać można z tego, co z niego pozostało, z górnej kaźni, do której dzisiaj z ulicy po schodach się schodzi i dolnej, która jest znacznie mniejsza, w skale kapitolinśkiego pagórka wykuta, zaledwie tak wysoka, że dorosły człowiek stać w niej może i sześć stóp średnicy mająca. W płaskiej posowie z ogromnych kamieni kwadratowych znajduje się okrągły otwór, który w dawnych czasach jedyne wejście do tej jamy stanowił. Przez ten otwór spychano zbrodniarzy na dół, przez nią podawano im nędzne pożywienie, jeżeli na śmierć głodową nie byli skazani. Nigdy nie zajrzał nawet najslabszy promień słońca do tego straszego wilgotnego, zimnego grobu; nigdy nie zawiało tu dotąd świeże powietrze, aby rozproszyć ciężki i niezdolny zaduch. Według tradycyi ślęczał w tem

więzieniu książę Apostołów, św. Piotr; wodą ze źródła, które tu, jak mówi legenda, cudownie ze skały wytrysnęło, chrzcił dozorców więziennych; okowy, które tutaj nosił, i te, w które go Heród w Jerozolimie okuć kazał, znajdują się w kościele Sancti Petri ad vincula. Kościół wymienia z następujących wieków prześladowań jeszcze kilku męczenników, którzy tutaj w więzieniu mamertyńskim również ślęczeli.

Gdy Rufinus do tego strasznego więzienia wrzucony i kajdanami do słupa przykuty został, wiedział, że musi tu umrzeć opuszczony i zapomniany lub jeżeli stąd wyjdzie, to tylko na to, aby iść na śmierć. Żywcem pogrzebiony w tym ponurym grobie, otoczony ciągłym mrokiem i z mrokiem w duszy, zgrzytał Rufinus zębami z bólu i gniewu, wstrząsając łańcuchami. Lecz zimne, twarde głązy więzienne nie miały współczucia dla jego boleści a brzęk łańcuchów w głuchej ciszy więzienia zdawał mu się być szyderczym śmiechem złych duchów. Obawiał się, że mu się rozum pomiesza, tak dziko i bezwładnie krzyżowały się myśli jego ducha. Z jękiem przyłożył gorące czoło do wilgotnej ściany więzienia, potem upadł i oparłszy głowę na rękach, patrzył w nieprzeniknioną ciemność.

Powoli uspokajał się, myśli wracały do porządku a Rufinus zaczął myśleć o swojej przeszłości.

Jakże był szczęśliwy! Bogactwاً, dostojęństwa, zasną żonę, synów uprawniających do wielkich nadziei, szlachetną córkę, wszystko to przeznaczenie mu dało — ażeby mu to wszystko znowu jednym zamachem wydrzeć.

— Czyż być może — tak się sam siebie pytał, potrząsając kajdanami — ażeby istniała najwyższa istota, rządząca losami śmiertelników? Dlaczego pozwala, że cnota ulega a zbrodnia tryumfuje? Żyjąż na całym świecie dwie szlachetniejsze i Bogu swemu wierniejsze dusze, jak moja żona i córka? A Bóg nie obronił jednej przed napaścią cesarskiego rozpustnika, na drugą zaś, słabe dziewczę, pozwolił spuścić tak niezmierny ból! Z jaką żądzą wczytywało się strapione i chore serce moje w napisy w podziemnem mieście umarłych! Miałem zamiar zostać chrześcianinem, prawie nim już byłem; lecz w tej chwili, gdy pełen wiary i nadziei ręce moje wyciągnąłem do światła, zostałem wrzucony w tę jamę i poznałem, że to był błędny ogień, że wszystko było złudzeniem i głupiem oszukiwaniem samego siebie.

Wtem wzdrygnął się Rufinus; wszystkie nerwy naprężyły się, wstrzymał oddech.

Żupełnie wyraźnie słyszał głos swojej córki: Tata, tata!

W ten pieszczotliwy sposób odzywały się w starożytności jak i dzisiaj dzieci rzymskie do ojców a Walerya używała tego słowa wtedy, gdy chciała być szczególnie serdeczną.

Czyż to był duch jego córki, oznajmiający ojcu, że dziecko jego całym sercem jest przy nim?

Lecz teraz usłyszał Rufinus w górnej kaźni szelest i odgłos kroków, potem zaraz głos męski dozórcy więziennego, a tuż głos córki coraz bliżej. Prefekt zadrżał na całym ciele z wzruszenia; czyż podobna, aby córka jego znalazła drogę do niego?

Rzekomo z rozkazu prefekta kancelaryi cesarskiej polecił dyrektor więzienia dozórca sprowadzić Waleryę po schodach aż do otworu, wiodącego do dolnej kaźni; ona to, pełna niecierpliwości, już zdaleka wołała na ojca pieszczotliwie i słodko.

Gdy zeszli ze schodów, poprowadził dozórca Waleryę za rękę kilka kroków naprzód, a potem stanął i zawołał:

— Panie, przyprowadziłem ci córkę, która cię chce odwiedzić.

Walerya była bliską zemdlenia, gdy z głębi doszedł ją głos ojca i brzęk łańcuchów.

— Ukłęknij tutaj przy tym okrągłym otworze — odezwał się dozórca więzienny do Waleryi — a bądź baczna, abyś nie wpadła do lochu; tylko tu z góry możesz z ojcem rozmawiać. Za pół godziny przyjdę po ciebie, jeżeli tak długo zdołasz tu wytrzymać.

Walerya ukłękła na posadzce, macając po zimnych, wilgotnych kamieniach, które tworzyły brzeg otworu do jamy; potem pochyliła się, czy ojca nie zobaczy, lecz ciemność była tak wielka, iż niczego nie mogła rozpoznać.

Rufinus natomiast, którego oczy przywykły do ciemności, rozpoznał przy otworze przynajmniej cień jej postaci.

— Jakaż to pociecha dla mnie — zawołał — moja słodka dziecino, że cię jeszcze raz widzieć i mówić mogę, zanim umrę! Wyciągnij rękę ku dołowi, ażebym się mógł przekonać, że to ty rzeczywiście jesteś.

Walerya wyciągnęła rękę ku dołowi i wstrząsnęła się cała, gdy zimne, wilgotne ręce ojca dotknęły jej ciepłej ręki.

— Lecz powiedz mi — pytał prefekt — jakim sposobem zdołałaś tu dotąd się dostać i tak prędko po mojem uwięzieniu?

— Napróżno usiłowałam przekupić dyrektora więzienia — odpowiedziała Walerya. — Za jego wskazówką udałam się do prefekta kancelaryi cesarskiej, Herakliusza.

— Ten nędznik dopomógł cesarzowi za pomocą podrobionych listów mnie zgubić. Zarzuciłem mu to przed sądem i niezawodnie nie wysłuchał twojej prośby.

— Rzeczywiście już zniknęła wszelka nadzieja, gdy nagle dobrotliwy Pan Bóg w miłosierdziu swoim zesłał mi w synu tego samego Herakliusza przewodnika, który mnie do ciebie zaprowadził.

— Syn Herakliusza? Czy złe drzewo może mieć dobrą gałąź? Z pewnością syn okazał się wrażliwszy na twoje pieniądze, aniżeli dyrektor więzienia. Lecz czy tak, czy owak, jestem mu wdzięczny ze serca za to, że cię widzę jeszcze raz przed śmiercią. Gdyby nie troska o ciebie, moje dziecko, zstąpiłbym, z lekkim sercem porzucając strzępy mego szczęścia i moich marzeń, do przepaści zapomnienia i wiecznej nocy.

W ostatnich słowach Rufina mieściło się tyle ponurej rezygnacyi, że Walerya natychmiast ku wielkiemu smutkowi swemu poznała, jako łańcuch, którym łaska Boska przeszłej nocy jego łódź życiową do krzyża przywiązała, w burzy nieszczęścia pękła. Lecz z całą miłością córki i chrześcianki postanowiła święty węzeł wiary na nowo nawiązać i łódkę z wzburzonych bałwanów do pewnego portu prawdy i zbawienia do-

prowadzić. Ze słowami córki zaś połączyła się modlitwa małżonki przed tronem Bożym.

Choć z gorzkim uśmiechem i wewnętrzną niechęcią Rufinus słuchał Waleryi, ale słuchał; wszakże to głos jego ukochanego dziecka, które do niego mówiło. Zwolna zniknął uśmiech szyderstwa i niedowierzania z jego twarzy, niechęć zanikała; wzburzone fale uczucia w jego piersiach ukołysały się a z poza chmur czarnych zajaśniał znowu promień słoneczny i oświecił ciemnicę jego duszy. Uważniej, coraz uważniej słuchał Rufinus z głębi kaźni słodkich słów córki: brzmiały one jak słowa wyższej istoty, która się do niego odezwała. Jak pod żarem słonecznym wędniejąca roślina, zwolna do życia wraca, gdy niebo deszczem je zrosi, tak i dusza jego pociechy spragniona podnosiła się z upadku, orzeźwiona rosą łaski. Gdy zaś Walerya przypomniała mu list Sofronii i modlitwę jej za męża przed tronem Boga, wtedy zniknęła jego rozpacz i niewiara a Rufinus korząc się przed potęgą łaski, zawołał:

— Teraz znowu wierzę, kochane dziecko, tak, chcę wierzyć we wszystko, w co ty wierzysz, w co matka wierzyła; chętnie umrę, skoro będę mógł umrzeć jako chrześcianin.

Ponad wszystko ziemskie szczęście słodsze jest to szczęście, gdy się jaką drogą i zacząć duszę po długiej walce dla Boga i prawdy uratuje; pociechą zaś nad pociechami bywa, pójść po długim błędzeniu do Boga, z zimnej, ciemnej nocy wyjść na jasne, ciepłe słońce prawdy, z strasznej, opustoszałej pustyni niewiary do ogrodu Kościoła. W tem szczęściu i tej pociesze

zapomni serce o niedoli i bólu; kolce przestają wtedy ranić; każń staje się mniej straszną, śmierć mniej gorzką.

Walerya mogła mieć nadzieję, że za pomocą podarunków pieniężnych zdoła uzyskać częściej wstęp do więzienia nie tylko dla siebie, ale także dla kapłana, który ojcu chrztu św. udzieli. Gdy przeto głos dozórcy od schodów usłyszała, pożegnała się z ojcem z lżejszem sercem w nadziei, że w najbliższych dniach się z nim zobaczy.

Gdy Rufinus sam pozostał, rzucił się na kolana i dziękował Bogu z głębi serca. Stał się innym człowiekiem i innem okiem patrzył na wszelkie sprawy. Przyznał się sam przed sobą, że zapewne nigdy prawdy by nie był poznał, gdyby ciężka ręka nieszczęścia nie była ugięła jego dumy i nie przerwała węzłów ludzkich względów. Choć niesprawiedliwy wyrok sądowy zabierze mu mienie i życie, w ich miejsce znalazł w wierze Chrystusowej życie doczesne i wieczne. Przypomniawszy sobie znowu napisy w katakumbach i zdawało mu się, że teraz dopiero pojmuje ich właściwe znaczenie; wspomniawszy na Sofronię i pytał się sam siebie, jak takie długie lata mógł być pogrążony w nierozumnych uprzedzeniach i uporze, które stanowiły ścianę, odgradzającą go od najwyższego i najczystszeo szczęścia; wspomniawszy o Waleryi, rozrzewnił się i łzy spłynęły mu po licach, łzy radującego się ojca, że niebo takim klejnotem go obdarzyło. Odświeżał sobie w pamięci wszystko, co mu Walerya powiedziała; jakże prostą, jasną i prawdziwą była nauka, o której mu mówiła!

Po godzinie przyniósł mu dozórca bochenek chleba i dzban wina; to Walerya zdołała dozorców przekupić, ażeby Rufinowi to zanieśli. Ponieważ od wczoraj niczego nie miał w ustach, przeto wino orzeźwiło go nadzwyczajnie w wilgotnej norze.

Jeszcze nie skończył spożywać mizernej wierzery, gdy po raz drugi usłyszał, — lecz to niepodobna, bo jakimże sposobem zdołałaby Walerya wystarać się tak wnet znowu o drugą rozmowę! Tak, tak, słuch go myli. Cóż to bowiem zdało mu się, że słyszy? „Tata, tata, jesteś wolny!”

— Moje rozdrażnione nerwy są przyczyną, że niby coś słyszę — pomyślał prefekt.

Lecz w tej chwili zabrzmiał ponownie głos:

— Ojcze, jesteś wolny!

W tej chwili też pokazało się światło przy otworze. I poraz trzeci — a teraz nie było to już złudzeniem — usłyszał całkiem blisko głos córki:

— Ojcze, jesteś wolny; przychodzę po ciebie.

Z Waleryą przybył dyrektor więzienia z kilku dozorcami. Wnet spuszczone drabinę do lochu, a jeden z dozorców zeszedł po niej, aby zdjąć Rufinowi kajdany i na górę go wyprowadzić.

Prefekt był prawie na pół nieprzytomny. Za ledwie stanął u góry, gdy córka rzuciła mu się w objęcia, płacząc z radości i nie mogąc z wzruszenia słowa przemówić. Rufinowi zdało się to wszystko snem.

Nakoniec dyrektor więzienia wezwał ich, abszli, i sam krocząc naprzód, wskazywał im drogę.

Dopiero gdy ujrzeni światło dzienne, odzyskał Rufinus zupełną przytomność.

— Więc rzeczywiście jestem wolny — zawołał — a ty moje dziecko jesteś moją wybawicielką? Lecz powiedz mi, jakże ty tego zdołałaś dokonać?

— Później ci o tem powiem — odrzekła Walerya, teraz chodź, chodź.

— Czy rzuciłaś się do nóg cesarzowi i czy cesarz dał się ubłagać twemi prośbami?

— Cieszymy się, że znowu razem jesteśmy — odpowiedziało dziewczę wymijająco.

Rufinowi to podpadło i zwolnił kroku, córka zaś tem bardziej nagliła, aby iść naprzód, lecz ten pośpiech tem więcej dawał mu do myślenia.

Nakoniec zatrzymał się i zatrzymawszy Waleryę, odsunął się nieco na stronę i rzekł:

— Nie pójdę ani krok dalej, jeśli się nie dowiem, w jaki sposób ci się udało mnie uwolnić. Zaklinam cię na świętą pamięć matki, abys mi prawdę powiedziała.

Teraz Walerya nie mogła już milczeć. Wyznała przeto, że zgodziła się zostać żoną syna Herakliuszowego, i że tą ceną uwolnienie ojca okupiła.

Rufinus wzruszony tym dowodem miłości, nie mógł zrazu słowa przemówić; nakoniec rzekł:

— Nie, moje dziecko, jeżeli nie dla ciebie, to dla mnie ta cena jest za wysoką, wiele za wysoką. Czy chcesz, abym przez wszystkie lata, jakie mi jeszcze do życia pozostają, w każdej godzinie czuł wyrzut sumienia, że okupiłem to życie szczęściem mojego jedyne go dziecka? Niech ci Pan Bóg nagrodzi ofiarę, jaką dla mnie uczy-

nić byłaś gotowa: tylko nagroda w wieczności może być godną nagrodą takiej miłości dziecięcej; ja jednak sto razy wolę śmierć i wszelkie utrapienia ponieść, aniżeli bym miał sprzedać najszlachetniejszą z córek. Dyrektorze — rzekł, zwracając się do tegoż — nie opuszczę tego miejsca. Idź i powiedz Herakliuszowi, iż jesteśmy chrześcianami i choćby dlatego samego jego warunek odrzucam. Teraz zaś sam bądź świadkiem, jako córce mojej uroczyście przed Bogiem zakazuję, kiedykolwiek choć słowo o tem powiedzieć.

Walerya rzuciła się na piersi ojca i zaczęła płakać. W miłości do ojca nie pomyślała nawet o tem, że cała rzecz rozbić się może o to, iż ojciec ofiary nie przyjmie.

Dyrektor spoglądał zdziwiony to na Rufina, to na jego córkę, nie mogąc zrozumieć ich postępowania.

— Dobrze — powiedział po namyśle — jeżeli ci się tu tak podoba, to zostań, aż pošlę do Herakliusza wiadomość o twoim zamiarze.

— Pozwól mi zostać przy ojcu — zaczęła go Walerya prosić — chętnie podzielę jego więzienie i jego cierpienia i pozostanę przy nim aż do końca.

— O tem nie mogę rozstrzygnąć — odpowiedział dyrektor — lecz zanim nadejdzie odpowiedź, zamknę was oboje do celi, gdzie wam się nie będzie nudziło.

To powiedziawszy, rozkazał otworzyć drzwi do celi, gdzie stały narzędzia torturowe.

— Obejrzyjcie sobie te zabawki — zawołał ze wstrętnym uśmiechem — ja zaś oczekam dalszych rozkazów.

Zamek zgrzytnął i ojciec z córką znaleźli się znowu w więzieniu.

Rufinus był za czasów Dyoklecjana nieraz świadkiem publicznych tortur, jakie wyznawcy Chrystusa cierpieć musieli; mimo to zadrżał, zobaczywszy cały zbiór rozmaitych narzędzi torturowych.

Obok miecza i topora leżały bicz ze skóry z ołowianemi kulami na końcach; szcorpiony i różgi; żelazne kleszcze, haki, grzebienie do wyrywania kawałów ciała. Na żelazne różna i stołki, które tam stały, przywiązywano ofiary. Niedaleko od tych tortur widać było znanego z męczeństw rozlicznych konika, na którym za pomocą koła wrywano nieszczęśliwym wszelkie członki ze stawów. O niego opierały się straszne lamina czyli płyty metalowe, które do żaru rozpalone służyły do tego, aby rozpiętemu na koniku wypalać ciało. Tuż obok stało koło zębate, na którem rozpinano nieszczęśliwych; za każdym obroceniem wnikały zęby tego koła głębiej w ciało. Olbrzymie kotły brązowe były do rozgrzewania oleju, w który, gdy się zagotował, skażniców zwolna zanurzano.

Wiele z tych narzędzi było jeszcze zboczonych krwią, krwią męczenników, którzy w ostatnim prześladowaniu ponieśli męki i śmierć.

Na widok tych strasznych narzędzi barbarzyńskiego okrucieństwa uczuł Rufin dreszcze; zadrżał na myśl, że przyjdzie mu dać świadectwo prawdzie przy tak okropnej próbie. Oczy Waleryi natomiast błyszczały świętym ogniem; przycisnąwszy wargi do jednego z torturowych narzędzi, zwróciła się pełna zapału, jaki bohate-

rowie pierwszych czasów chrześcijańskich dla męczeństwa mieli i rzekła:

— Nie lękaj się, ojcze, tej broni szatana; krew Świętych poświęciła je i zamieniła w oznaki zwycięstwa, z którymi wyznawcy Chrystusa tryumfalnie do wiecznej chwały wchodzą. Nad męczennikami rozciągniętymi na torturach otwierają się obłoki, a lud niebieskiej Jerozolimy spogląda na tych rycerzy Chrystusowych; Chrystus Pan stoi przy ich boku z siłą niebieską a z tronu swego majestatu przyobiecuje Odwieczny królewską nagrodę. Jeżeli wojownik dumny jest na swoje rany, dlaczegożbyśmy mieli obawiać się ran? Skoro upadamy, wtedy stoimi prosto; skoro umieramy, wtedy żyjemy wiecznie; niech tortura rozedrze powłokę ziemską, Bóg ozdobi nas suknią nieśmiertelności.

Tak mówiła Walerya a ojciec słuchał jej tak aważnie, jak uczeń słucha nauczyciela lub dziecko matki. Do głębi wzruszony Rufin chciał przed córką uklęknąć, lecz Walerya uczyniwszy mu znak krzyża na czole, padła mu w objęcia. Oboje czuli się nadzwyczaj szczęśliwi wśród strasznych narzędzi torturowych. Z Nieba zaś spoglądało dwoje ócz świętych na męża i córkę; w promieniu słonecznym, świecącym od tronu Najwyższego do tej kaźni więziennej, unosiły się jasne postacie aniołków.

Jak Walerya w miłości dziecięcej nie pomyślała o tem, że ojciec nie pozwoli na jej ofiarę, tak znów Sabinus i matka jego za nadto byli niskimi charakterami, aby na chwilę wątpić, że prefekt obiema rękami uchwyci się sposobności, ratującej mu życie i mienie. Sadzili, że ożenek

córki z synem najwyższego urzędnika dworskiego będzie uważał za wielkie szczęście. Sabina była nadzwyczajnie szczęśliwa. Walerya podobała jej się bardzo, to też Sabina potrafiła przedstawić mężowi wszystkie korzyści z tego ożenku w tak jasnym świetle, że nakoniec przestał się opierać. Choć z ciężkiem sercem i z niejaką trwogą w sercu, dał on był Waleryi list, który Rufina ze strasznego do lżejszego więzienia przeprowadzić nakazał. Jak jednak przed cesarzem sprawę tę cofnąć i cesarza dla prefekta dobrze usposobić zdoła, tego Herakliusz w tej chwili jeszcze sam nie wiedział; lecz kiedyżby go w ciężkich położeniach opuściła chytrłość i przebiegłość? Obecnie było najpilniejszą rzeczą cofnąć rozkaz zabrania majątku Rufina. Sabinus musiał biedzącemprędzej do pałacu prefekta, chociaż byłby wolał odprowadzić Waleryę do więzienia mamertyńskiego.

Przybywszy do pałacu, przedłożył piśmienny rozkaz ojca urzędnikom, którzy już zaczęli wszystko opieczętowywać. Oczywiście, że zaniechali dalszej konfiskaty a Sabinus pospieszył do więzienia, układając przez drogę piękne słowa, jakimi się swojemu teściowi przedstawi.

Wtem spotkał go sługa dyrektora więzienia, który szedł do ojca jego i powiedział mu o oświadczeniu uwięzionych.

Sabinus nie chciał wierzyć uszom swoim: Prefekt Rufinus chrześcianinem? I dlatego nie chciał mu dać córki? Temu nie uwierzy, dopóki tego z jego własnych ust nie usłyszy. Wielce rozdrażniony biegł ku więzieniu, zapomniawszy całkiem o pięknych słowach powitania, jakie sobie układał.

Gdy wszedł do komory torturowej, w której Rufin z córką był zamknięty, zmieszał się zrazu, przypomniawszy sobie na widok prefekta zdarzenie przy pogrzebie przeszłej nocy. Na twarzy Waleryi widać było jeszcze święty zapał, z jakim co dopiero do ojca o chwale męczeństwa przemawiała a jak męczennik w arenie spogląda na lwa gotowego do skoku, tak ona utkwiała wzrok swój w Sabinie, czem tenże czuł się wielce zmieszany.

Lecz wnet nabrał odwagi i zwracając się do Rufina, rzekł:

— Przebacz mi, szlachetny Rufinie, że w tak szczególnych okolicznościach przed tobą stoję, aby cię prosić o rękę twojej córki. Rzecz jest dla mnie obojętną, że jesteście chrześcianami, nie żenię się z religią, lecz z dziewczyną. Córka twoja oświadczyła wobec moich rodziców, że zostanie moją żoną; skoro zaś jako podarek ślubny chcę ci wrócić wolność, wszelkie urzędy i cały majątek, natenczas sądzę, że jedynego syna najwyższego urzędnika cesarskiego dworu nie odepchniesz, lecz przyjmiesz za zięcia. Jeżelibym się jednak — dodał, wskazując na tortury — zawiódł w oczekiwaniu, natenczas wiedz, że nie tylko miłość, lecz także i zemsta jest słodką: los wasz w moich jest rękach.

Rufinus poznał natychmiast młodzieńca z przeszłej nocy a tak to wspomnienie, jak jego postać i jego słowa napęłniły go wstrętem. Teraz też dopiero poznał wielkość ofiary, jaką Walerya za niego ponieść chciała.

— Młodzieńcze — odpowiedział — ponad przepaścią, która nas dzieli, nie da się zbudować

mostu. Ty grozisz nam śmiercią; ja ci na to wśród tych narzędzi torturowych odpowiadam, że śmierci się nie obawiamy.

Sabinus uczuł się nadzwyczajnie zawstydzony, gdy usłyszał tak pewną i stanowczą odmowę. Zapalałszy strasznym gniewem, zaklął okropnie i zawołał:

— Kiedy tak, to oboje umrzecie jak psy!

Potem wyszedł i polecił dyrektorowi, ażeby wtrącił Rufina z córką do podziemnej jamy, z której co dopiero wyszli. Następnie pospieszył do ojca.

W drodze spotkali go towarzysze, którym Sabina w wielkiej radości nowinę o niezadługim ożenku syna była powiedziała. Zaczęli mu winszować i wpraszać się do niego na wieczorną ucztę. To wszystko zwiększyło jeszcze gniew Sabina.

— Niech was wielka choroba nawiedzi! — krzyknął. — Czy myślicie, że ja taką psią chrześciankę za żonę sobie wezmę? Na Jowisza! Niech oprawca ożeni się z tą dziewczką a dam mu głowę jej ojca na wiano.

Klnąc, wyrwał się przyjaciółom i podążył ku domowi.

Gdy Rufinus córkę za rękę wiodąc, coraz więcej do podziemnego więzienia się zbliżał, schodząc głębiej, coraz głębiej w mrok, zaczęło mu serce drżeć. Wiedział on dobrze, jak tam na dole jest strasznie; zdawało mu się, jakoby córkę swoją ukochaną żywo do grobu wprowadzał.

Walerya czuła, że ręka ojca zaczyna drżeć.

— Ojcze — rzekła — jakże czuję się szczęśliwą, że mogę być przy tobie! Jakże ci dziękuję,

że nie dałeś swego pozwolenia; każde słowo tego wstrętnego chłystka mówiło mi, że przykuta do niego, kiedyś dostanę się w pokusę, aby żałować mojej ofiary. Jakaż to prawda, co powiedziałeś, że złe drzewo nie może mieć dobrej gałęzi. Wiedz, że ojciec jego otrzymał chrzest, lecz odpadł od Kościoła i odtąd najzawziętym jego wrogiem jest. Teraz umrzemy a męczennicy, którzy to miejsce uświęcili, uczynią nas swoim przykładem i modlitwą niezadługo uczestnikami swej sławy.

To powiedziawszy weszła pierwsza w otwór, prowadzący do jamy i niebawem w niej zniknęła. Gdy i on na dół zeszedł, uściskali się i padłszy na kolana, posyłali z głębi serca modlitwy do nieba.

A jak Pan przez swego sługę Danielowi chleb do lwiej jamy posyłał, tak też i do nich zstąpił anioł Boży niebieską pociechą wzmacniając ich dusze.

— Ci chrześciance są dziwnymi ludźmi! — mruczał sobie dozorca więzienia, gdy z pochodnią w ręku, do góry po schodach wchodził. — Gdy jakiego innego więźnia do tej nory wrzucam, zachowuje się, jak szalony; chrześciance natomiast idą tak ochoczo, jakby w tych podziemiach ucztą ich czekała. Powiadają o nich, że są czarownikami, że gorąco zamieniają w mróz, a ciepło w zimno, i rzeczywiście musi w tem być coś prawdy. Lecz gdy trupy ich po kilku dniach hakami do góry wyciągamy, widzę, że oni z tych samych cierpień umarli, co inni.

Gdy Sabina z synem wyszła od Herakliusza, zaczął tenże chodzić niespokojnie po komnacie.

Jak miał rozwiązać zawikłany węzeł? Wszakżeż to on sam podburzył cesarza przeciwko Rufinowi, a teraz miałby znów Maksencyusza korzystnie dla niego usposobić? Wszakże przedłożył listy, na mocy których prefekt winnym zdrady stanu został uznany, a teraz miałby wykazać, że listy były sfałszowane. Cesarz liczył na dochód z zabranych dóbr Rufina; jakże miał zgłodniałemu wilkowi wydrzeć zdobycz z paszczyki, nie chcąc być przez niego rozdartym? — A potem czyż miał się spokrewnić z tym człowiekiem, którego nienawidził i prześladował, i o którym wiedział, że nim pogardza, że go zasądził i obraził? — Najtrudniejsza sprawa w tem, jak zmienić zdanie cesarza. „Moja żona — mówił sam do siebie — wpędza mnie do klatki lwa; jeżeli tej bestyi nie podrzucę jakiego smacznego kęsa, rzuci się na mnie”. Jeszcze nigdy nie znajdował się Herakliusz w tak trudnem położeniu. Koniecznie trzeba było cesarzowi pieniędzy dostarczyć, a równocześnie odzyskać dla Rufina cesarską łaskę. Lecz jak?

Czy teraz znowu inny spisek ma wymyślić, nową listę spiskowców spisać, których dobra zabrane by być mogły?

Nakoniec Herakliusz znalazł wyjście.

— Przedłożył cesarzowi zupełnie nową rzecz. Sofronia nie zadała sobie śmierci dlatego, ponieważ woli cesarskiej spełnić nie chciała, lecz ponieważ wykrył się spisek, do którego bez wiedzy i woli męża należała. Utrzymywała ona zakazany stosunek z głową spisku; cesarz i jej własny mąż mieli być zabici a ona sama chciała

zostać cesarzową. Lecz dowody, dowody! — wołał Herakliusz, bijąc się po głowie.

W tej chwili wpadła Sabina do komnaty z błyszczącymi z gniewu oczami, z zaczerwienieniem obliczem, za nią wszedł Sabinus.

— Oboje muszą umrzeć! — krzyknęła drżącym głosem — ha, taka hańba! Ten nędznik nie chce!

— Moja pani! — rzekł Herakliusz, który na widok małżonki z krzesła powstał -- uspokój się! O kimże to mówisz?...

— Pomyśl sobie: Rufinus nie chce synowi naszemu dać córkę za żonę! Nie, takiej obrazy nie zniosę!

To powiedziawszy usiadła Sabina na krześle i zaczęła sobie chłodzić twarz zarumienioną wachlarzem.

W istocie dumna ta niewiasta uczuła obrazę tem więcej, ponieważ skutkiem odmowy Rufina najpiękniejsze jej nadzieje spęłżyły na niczem. A przytem ten wstyd! Wszakżeż ona już rozpowiedziała, że syn jej żeni się z młodą, piękną panną z starego szlacheckiego rodu! Tymczasem teraz nic z tego. Z wzrastającą niecierpliwością oczekiwała Sabina, jak pod rękę z Waleryą iada moment wejdzie syn do komnaty. Gdy zaś Sabinus sam wszedł i wyrzekł: „Jej ojciec nie chce”, rozgniewała się do wściekłości. Nie słuchając, co syn opowiadał jeszcze, rzuciła się pędem do komnaty męża.

I Herakliusz uczuł się odmową Rufina nadzwyczaj obrażony.

— A więc nawet w obliczu śmierci — wołał gniewnie — nie chce się wyrzec pychy

i pogardy względem mnie! Kiedy tak, natenczas dowie się, co to znaczy, odrzucać dziewosłęby syna najpotężniejszego powiernika cesarskiego.

— Nie z pychy — odezwał się na to Sabinus — lecz dlatego, ponieważ tak Rufinus, jak jego córka są chrześcianami...

— Na bogów, oni są chrześcianami?! Gdzie olejek pachnący? — krzyknęła Sabina, skrzywiwszy twarz tak wstrętne, jakoby coś niezmiernie obrzydliwego jej się przedstawiło.

— Chrześcianie? Ha, ha, prefekt Rzymu chrześcianinem! — śmiał się Herakliusz. — Bardzo mi to na rękę, bo któż teraz będzie wątpił, że Rufin nie był w spisku z Konstantynem?

Lekkomyślny Sabinus pocieszył się najprędzej po klęsce, jaką poniosły jego nadzieje; przestał się gniewać na doznany zawód.

— Choć mi gołębek z garści wyleciał, to jednak na Bachusa tłusty kęsok zdołałem schwytać w chrześcianinie Rufinie a ojciec mój każe sobie cesarzowi za to dobrze zapłacić. Połowa zabranych dóbr wcale nie będzie za dużą zapłatą. Najlepsze zaś wino z Falernu nie jest dość dobre na święcenie szczęścia, że mnie bogowie przed żoną chrześcianką i teściem chrześcianinem zachowali. Lecz cóż się ma teraz stać z ojcem i córką? Kazałem ich wrzucić do podziemnej nory więzienia.

— Niech tam z głodu zginą! — dorzuciła Sabina, jeszcze z gniewu nie ochłonąwszy.

Lecz względ na dalsze plany spowodował Herakliusza, że tym słowom małżonki swojej nie przywtórzył.

— Stary, nie córka — tak rzekł — popsuł nam nasze plany. Niech ona tedy żyje jako żebraczka, o nim zaś wyda cesarz wyrok a ja nie wątpię, jak on wypadnie.

Żona i syn zgodzili się na to i Herakliusz wysłał czempredzej niewolnika do dyrektora więzienia mamertyńskiego z stosownymi rozkazami. Potem udał się do cesarza z nowiną, że Rufinus sam wyznał, iż jest chrześcianinem; przytem zaś przedłożył mu zarazem listę współspiskowców. Jednym z pierwszych na tej liście był Waleryusz Antoniusz, urzędnik dworski, mąż szlachetny, który nigdy się z tem nie taił, że jest chrześcianinem i dlatego łaski u Herakliusza nie miał.

Walerya tymczasem objaśniała ojcu zasadnicze prawdy wiary chrześciańskiej. Czasu nie było do stracenia; każdej chwili mógł nadejść rozkaz, wydający go na męczeńską śmierć.

Rufinus nie pragnął niczego więcej, jak aby usuniętą została ostatnia przeszkoda, oddzielająca go od Boga. Gdy Walerya na zapytanie, czy chrztu jedynie kapłan udzielić może, odpowiedziała, że w razie potrzeby każdy to uczynić jest uprawniony, kto ma wolę tenże Sakrament podług woli Kościoła św. udzielić, prosił jej jak najusilniej, aby mu dłużej dostąpienia tej łaski nie odmawiała.

Zrazu zastanowiła się dziewczica nad tą prośbą, lecz Rufinus prosił:

— Jeżeli mnie możesz ochrzcić, z czyjej ręki chętniej przyjmę ten najwyższy podarek boskiej dobroci, jak z twojej? Albo czy wątpisz, ażali dosyć odwagi posiadam, aby umrzeć za Jezusa Chrystusa? O moje dziecko, natenczas dodaj mi

siły do tego przez świętą kąpiel! Potem niech mnie wrzucą na tortury, wśród najokropniejszych boleści, dopóki isierka życia we mnie będzie, będę wołał: „Wierzę w Jezusa Chrystusa, syna Boga, który mnie umiłował i przez śmierć Swoją wieczne życie dla mnie uzyskał”.

Rufinus był do przyjęcia chrztu św. dostatecznie przygotowany; śmierć stała przede drzwiami; nie było nadziei, aby się jaki kapłan w tej chwili znalazł; Walerya poznała, że nietylko ma prawo, ale także obowiązek, udzielić ojcu św. Sakramentu.

Lecz skąd zaczerpnąć wody?

Wtem przypomniała sobie, że św. Piotr, chcąc ochrzcić swoich dozorców, ongi w cudowny sposób źródło w więzieniu mamertyńskim otworzył. Czy to źródło jeszcze tu płynie?

Zacząła szukać, macając rękami po posadzce i po niejakiem czasie rzeczywiście znalazła ku niewysłowionej radości swojej w zagłębieniu nieco wody.

Wtedy zaprowadziła ojca do źródła i w przepisany sposób, o ile to tu w więzieniu było możliwą rzeczą, zaczęła się pytać:

— Czego żądasz od Kościoła?

— Wiarę i żywota wiecznego — odpowiedział Rufinus.

— Wyrzekasz się szatana?

— Wyrzekam.

— I wszelkich spraw jego?

— Wyrzekam.

— Wierzysz w Boga wszechmogącego Ojca, Stworzyciela nieba i ziemi?

— Wierzę.

Walerya stawiawszy ojcu pytania o pojedynczych zdaniach apostołskiego wyznania wiary uczyniła mu na czole znak krzyża św. i odmówiła „Ojcze nasz”. Potem zapytała go się:

— Chcesz być ochrzczony?

— Chcę i pragnę tego z całego serca — odpowiedział Rufinus.

Wtedy poleciła Walerya ojcu uklęknąć przy źródle i pochylić się nad niem; nabrawszy potem w rękę wody, wylała ją na jego głowę, mówiąc:

— Chrzcę cię w imię Ojca i Syna i Ducha świętego.

Ręka dziewczicy drżała, głos jej się trząsł z świętego wzruszenia a w wodę spadały łzy, jakie jej z ocz wycisnęło najśłodsze, niewypowiedziane szczęście.

Rufinus pochwycił rękę córki, uścisnął ją i wbrew jej woli, przycisnął ją do ust, zwilżając łzami.

— O moje dziecko — zawołał — jakże się czuję szczęśliwym! Teraz mogę przedwiecznego Boga nazywać ojcem: „Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech!”

Walerya przejęta potężnem wrażeniem, popadła w zachwycenie; otrząsnąwszy z siebie ciężar ziemi, widziała duchem, jak rozkosze rajske przed nią się otwierają; podniósłszy ręce jak do modlitwy, zaczęła mówić:

— Widzisz czcigodnego starca z długą, białą brodą, pasterza wśród swojej trzody pod drzewami palmowemi? Jasno, jak słońce, lśni jego oblicze a szata jego bielsza od śniegu. Zastępy w jasnych szatach obstępowały go dokoła, jak książ-

żęta pana swego i władcę na tronie. A oto nadchodzi matka! W białej szacie, z palmową gałązką w ręku, wieńcem na czole, na piersiach ma ozdoby z błyszczących rubinów, dwaj aniołowie wiodą ją do starca. Upada przed nim na kolana, lecz on podnosi ją i składa na jej czole pocałunek, jak ojciec dziecku wracającemu do domu i podaje jej mleka w złotej czarze do picia.

Na kolana upadłszy, słuchał Rufinus słów córki. Nie wiedział, co się z nim dzieje; święty dreszcz przejmował go.

Po chwili Walerya mówiła dalej w zachwycie:

— Słodka matko, proś świętego pasterza, ażeby i nam dozwolił napić się z czary; tutaj w podziemiach tak jest zimno i okropnie a bez wzmocnienia ojciec mój nie wytrzyma. Czy wiesz, że on jest chrześcianinem, że go ochrzciłam? Ty dajesz znak ręką, abyśmy do ciebie przyszli. Ach, jak chętnie pośpieszyłabym do ciebie! Lecz któż nas przeprowadzi nad przepaścią, która nas od ciebie odgradza, któż obroni przed okropnym, czarnym smokiem z błyszczącymi oczami i wyciągniętymi pazurami?

W tej chwili odezwał się surowy głos dozórcy więzienia, który ojcu i córce z podziemi wyjść rozkazał. Głos ten zbudził Waleryę z zachwycenia; w przekonaniu, że powiodą ich na mękę, objęła ojca za szyję w miłości wielkiej, mówiąc z zapalem:

— Nadepnij, ojcze smokowi na głowę; w imię Jezusa nie może ci żadnej krzywdy uczynić.

Spieszmy, matka nas oczekuje! Walka jest krótką a szczęśliwość jest wieczna!

Gdy oboje po drabinie na górne piętro wyszli, oznajmił im dyrektor, że cesarz skazał ojca do robót ciężkich przy budowie cesarskiej bazyliki. Córka natomiast może iść, dokąd chce.

Walerya usłyszawszy to, upadła z jękiem na piersi ojcu. Gdyby go Pan Bóg był powołał do męczeństwa, byłoby to dla niej rzeczą pocieszającą i podniosłą; tymczasem teraz miała go widzieć w haniebnjej pracy niewolniczej, jak go prześladować i na śmierć trapić będą.

Rufinus czuł hańbę takiej kary, która jego, potomka starego rodu senatorskiego, najwyższego urzędnika Rzymu, dotknęła; wiedział też dobrze, jak okrutnie znęcać się nad nim będą dozórscy bez serca. Lecz to wszystko mniej mu sprawiało kłopotu; przedewszystkiem troszczył się teraz o to, co się stanie z jego dzieckiem, które się w tej chwili z nim rozstawało i szło w świat bez opieki.

— Tam u góry mieszka teraz twój ojciec, moja słodka córko — rzekł, składając na jej czole ostatni pocałunek na pożegnanie — twój ojciec i mój ojciec: jego najświętszej woli się poddając, idę tą drogą, którą mi jego ręka ponad przepaścią do matki twojej wskazuje.

Nielitościwie oderwali oprawcy ojca od córki, związali mu stryczkiem ręce na plecach i odprawdzili do roboty. Walerya szła za nim aż do bramy budowli; spojrzeli raz jeszcze na siebie a potem drzwi szkoły cierpienia zamknęły się za skazanym.

Gdy Walerya do domu rodzicielskiego wrócić chciała, odpędzili ją stamtąd słudzy rządowi, wysłani przez Herakliusza, miotając na nią obelgi. Zniosła to spokojnie i bez skargi.

— Lisy mają swoje nory, — myślała sobie, podnosząc wzrok ku niebu — ptaki swoje gniazda; lecz Syn człowieczy nie miał, gdzieby głowę Swoją złożył. Czyż mam narzekać, gdy przygotowuje mi posłanie u stóp Swojego krzyża? Owca nie opiera się, gdy ją ręka pasterza strzyże; choćby ją związał i na śmierć wydał, milczy; albowiem jest jego własnością.

Święta miłość podobna jest wodzie źródła w lesie; obie tem się stają jaśniejsze i czystsze, im dalej bieg ich przez kamienie i skały przechodzi i przez ciemne pieczary przeciskać się musi.

Tylko jednego skarbu zrzekła się Walerya z ciężkiem sercem, napróżno on surowych ludzi bez serca błagając; gdyby jej przynajmniej puszkę z skrwawioną szatą matki byli wydali! Ileż pociechy i siły byłaby jej dodała ta święta pamiątka!

Z westchnieniem, lecz poddając się woli Bożej, zwróciła Walerya swoje kroki od domu rodzicielskiego, pozostawiwszy w nim najśłodsze wspomnienia szczęśliwych lat dziecięcych.

— Jak ogród zniszczony burzą — mówiła do siebie — jestem przed Panem; wszystkie kwiaty złamane i zniszczone; tylko jeden winograd, odarty z liścia, ocalał wśród zniszczenia, owinąwszy się o drzewo krzyża, lecz niema nadziei, że słońce wiosenne dla niego zejdzie.

Z rękami na piersiach skrzyżowanemi, podniosła Walerya smutny i łzawy wzrok ku niebu a z jej ust wzniosła się modlitwa świętego poddania się woli Bożej.

— Panie, wola Twoja niech się stanie!

VII.

Dobrzy przyjaciele.

Prefekta Rzymu, pierwszego urzędnika miasta, potomka jednego z najstarszych szlacheckich rodów, który w oczach całego ludu za jednego z najszlachetniejszych i najwięcej prawych urzędników uchodził, skazać do robót niewolniczych, razem ze zbrodniarzami — to było w oczach wszystkich Rzymian gwałtem tyrana, który wszystkie jego czyny dotychczasowe przewyższał. Starzy patrycyusze i senatorowie byli oburzeni do głębi z powodu hańby, wyrządzonej ich stanowi i gdyby Herakliusz był miał szpiegów, którzyby mogli byli posłyszeć, co o tem w ścisłych kołach szlacheckich rodzin mówiono, byłby mógł w swoją listę spiskowców sporą liczbę nazwisk zapisać. Coraz chętniej spoglądali wszyscy na Konstantyna, jako jedyne obrońcę i wybawiciela z tyranii, z dniem każdym nieznośniejszej; poganie i chrześciane, szlachta i lud, wszyscy życzyli sobie gorąco, aby czemprędzej stanął u bram Rzymu i okrutnemu a krwawemu panowaniu koniec położył.

Dziwnym sposobem nikt z wysokiej szlachty, ani nawet z krewnych, nie pomyślał o tem, ażeby Waleryi, biednej i opuszczonej sierocie, przytułek ofiarować. Kościół św. był jedynym,

który z macierzyńską miłością sierotą się zajął; biskup Milcyades, skoro tylko o uwięzieniu Rufina i zabranii dóbr jego się dowiedział, wysłał natychmiast dyakona Sewera, aby Waleryę odszukał i w chrześcijańskiej rodzinie ją umieścił. Któż z chrześcian nie przyjąłby jej chętnie do swojego domu?

Lecz Walerya, pełna gorącej miłości do ojca, nie byłaby nigdzie znalazła spokoju, zanimby nie wyczerpała sposobów uratowania go od śmierci. Jakkolwiek bowiem Kościół św. męczeństwo za rzecz nadzwyczaj wzniosłą uważał, jednakże obowiązkiem świętym być sądził, aby nie zaniedbano żadnego pozwolonego środka, któryby życie od śmierci z rąk prześladowców uratować był w stanie. Cyprian, mówiący z najwyższym zachwytem o męczeństwie i nazywający błogosławionymi tych, którzy do krwawego wyznania swojej wiary zostali powołani, ten sam Cyprian starał się życie swoje za pomocą ucieczki uratować, aż go oczywista wola Boża przed sądem i torturą stawiała. Pierwsi chrześcijanie umierali za wiarę z nadzwyczajną odwagą i stałością, lecz nie zaniedbywali niczego, ażeby zamachy nieprzyjaciół pokrzyżować.

Walerya wspominała sobie jednego przyjaciela ojca po drugim, lecz o którymbyś pomyślała, zawsze po namyśle zwątpiła, czyby u niego pomoc znaleźć mogła. Jeden nie miał wpływu u cesarza, drugi nie był dość odważny, inni, jak Symachus, z nienawiści do chrześcijaństwa byliby jej wszelkiego poparcia odmówili.

Biedna Walerya przekonała się po raz pierwszy w życiu, że szczęśliwemu każdy rękę ściska, a nieszczęśliwemu nikt ani palca nie poda.

W potrzebie i cierpieniu najprędzej jeszcze u tego znajdziesz współczucie i pomoc, kto sam w utrapieniu pozostaje.

Gdy Walerya napróżno między przyjaciółmi i znajomymi szukała, ktoby się za nią u cesarza wstawić mógł, przypomniała sobie cesarzową. Cały Rzym wiedział, jak niegodnie cesarz z małżonką swoją się obchodził. Ta pani z pewnością się ulituje nad bólem Waleryi i może jej się uda, wyprosić u cesarza łaskę dla Rufina.

Choć z niewielką nadzieją zwróciła Walerya kroki swoje ku pałacowi cesarskiemu.

Nieszczęśliwa monarchini zamieszkiwała najskromniejszą część pałacu; tylko przy publicznych uroczystościach mogła i musiała pokazywać się przy boku cesarza, który w ten sposób usiłował okłamywać ludzi, jakoby bardzo szczęśliwie żył z małżonką swoją.

Skoro tylko cesarzowa się dowiedziała, że córka prefekta miasta i Sofronii o posłuchanie prosi, nakazała ją zaraz wpuścić. W urodzajnych ogrodach szczęścia nie często udaje się kwiat miłosierdzia; dobrym dla niego gruntem jest skaliste, zachwaszczone pole własnego nieszczęścia.

Na kobiercu bogatym leżała cesarzowa a dwie niewolnice jej usługiwały. Maksercyusz nie pozwolił jej mieć więcej służby. Była to wysoka, blada kobieta; z młodej jeszcze twarzy stał smutek i kłopot piękność i urok; cesarzowa malowała sobie twarz, chcąc jej nadać pozory młodości i świeżości.

Od śmierci jedyne go syna Romulusa, abierała się cesarzowa przez długi czas tylko

w czarne szaty. Potem otrząsnęła się ze smutnych myśli i zaczęła znajdować uciechę w strojach, perłach i klejnotach. Wszakżeż jeszcze była młodą i miała prawo do uciech życia! Dwie niewolnice zaś, biała Syra i czarna Numidika nie ustawały prorokować i ze znaków przepowiadać jej przyszłości w różowych kolorach. Lecz te przepowiednie nie chciały się sprawdzać; samotność zaczęła gnębić duszę cesarzowej; biedna kobieta, nie mając żadnych wyższych celów, popadła w melancholię, graniczącą z rozpaczą.

Teraz właśnie znajdowała się cesarzowa w takim stanie. Jak nieprzytomna spoglądała gdzieś w dal, nie zwracając uwagi na swoje otoczenie, ani nie patrząc w zwierciadło, które niewolnica przed nią trzymała, aby mogła zobaczyć, jak jej Numidika dzisiaj włosy uczesała. Dopiero teraz dowiedziała się, jak niepomysłnie przedstawiało się położenie polityczne i jak bliską jest godzina, w której los cesarza ma się rozstrzygnąć. Dotąd ukrywano to wszystko przed nią, lecz jakieś nieostrożne słówko naprowadziło cesarzową na domysł, który na skutek jej prośb zamienił się w pewnik. Nagle czarne nieszczęście w całej swojej wielkości stanęło przed oczami jej ducha. Przy tem zauważono groźne znaki, co u Rzymian wielką znajdowało wiarę: oto wczoraj po południu, gdy słońce jasno świeciło, gromady nocnych sów opuściło nory i gniazda, jakie miały w obszernych budynkach Palatynu i odleciały daleko; czyż mógł być gorszy znak, że nieszczęście zagraża?

Gdy Walerya weszła, oddaliła cesarzowa niewolnice, aby sama wysłuchać mogła prośby przy-

byłej. Usłyszawszy, o co chodzi, odpowiedziała z gorzkim uśmiechem:

— Moje dziecko, gdybym męża mego o życie twojego ojca prosiła, natenczas domyślałby się w nim współzawodnika. Jestem biedną kobietą bez znaczenia. Moje ręce w okowach, a choć te okowy są złote, niewola przez to nie lżejsza. Przy całym mojem bogactwie zazdroszczę ostatniej żebraczce jej ubóstwa; w porównaniu ze mną jest ona szczęśliwą. W purpurze i złocie noszę koronę, którą szyderstwo nieprzyjaznego przeznaczenia mój smutek uwieńczyło.

Ponury smutek, przebijający z tych słów nieszczęśliwej cesarzowej, wzruszył serce Waleryi i zapominając o swoim własnem nieszczęściu, rzekła:

— Dostojna pani, wszechmocna ręka, utrzymująca robaka w pyłe, czuwa także nad życiem ludzi, a gdy Bóg zsyła nam doświadczenia, to też zarazem podaje nam łaskę nadziei dla oparcia.

— Co poeci o ojcu bogów i ludzi głoszą — odpowiedziała na to cesarzowa — jest pięknem złudzeniem. To lalka dla dzieci szczęścia. Naucz się znosić hardym umysłem nienawiść losu, to najlepsza rada, jaką ci dać mogę. Gdy ciężar życia stanie się za wielkim, wtedy go się odrzuca.

To powiedziawszy cesarzowa, pożegnała Waleryę, podając jej rękę do pocałowania.

Walerya wyszła z sercem przepelnionem uczuciem miłosierdzia, zmieszanem z grozą. Widzieć kogoś w najcięższym cierpieniu bez pociechy, — bez nadziei, — z samobójstwem jako ostatnim

środkiem, — czyż mogło być położenie nieszczęśliwsze?

Walerya zwróciła rzewny wzrok ku niebu: jakże jasnym i łatwym zdawał się w tej chwili jej własny los!

Gdy wyszła z pałacu, zastała u bramy dyakona Sewera i Irenę, którzy szukając Waleryi, tutaj się spotkali.

— Choć w domach bogatych współwyznawców — odezwała się Irena — więcej byś miała wygody, ośmielam się jednak ofiarować ci moje własne skromne mieszkanie. Składa się ono wprawdzie tylko z kilku izdebek wynajętych w pewnym domu na Awentynie...

— Gdzieżbym — przerwała jej Walerya — mogła chętniej chcieć pożywać łaskawy chleb chrześcijańskiej miłości bliźniego, jak u stołu i z ręki tej, którą serdecznie proszę, ażeby mi odtąd matką być chciała?

— Nie będę tedy mówił — odezwał się na to dyakon — jak serdecznie by cię, szlachetna Waleryo, w wielu rodzinach do domu przyjęto.

Herakliusz tymczasem przedłożył cesarzowi długą listę spiskowców. Uczynił to zaraz po obiedzie, ponieważ wiedział, że wtedy cesarz w najlepszym bywa humorze. Jemu samemu zależało najwięcej na skazaniu Rufina, który odmawiając córki synowi jego, jak najciężej go obraził. Oznajmił tedy cesarzowi przedewszystkiem, że Rufinus sam wyznał, jako jest chrześcianinem; potem przedłożył mu protokół sędziego śledczego, zawierający obraźliwe zdania Rufina względem osoby cesarskiej.

— Smoczy ród Nazareńczyków wyrasta nam nad głowę: trzeba go grzmotnąć maczugą! — zawołał Maksencyusz, uderzając pięścią w stół. — Prefekt miasta chrześcianinem, Rzym przepelniony chrześcianami i Konstantyn na drodze do Rzymu! Taki pies, jak ten Rufin, ośmiela się mnie obrażać. Ha, oduczę go tego szczekania. Wydadź zaraz rozkaz, ażeby tego nikczemnika i zdrajcę posłano do robót przy budowie bazyliki. Do wieczora powinienes mi przedłożyć długi spis tych wszystkich, których uwięzisz! Sięgnij głęboko między rycerzy i senatorów, albowiem czy są chrześcianami czy nie, spiskowcami są wszyscy! Jeżeli niektórym pysznym kogutom nie ukrećę głów, a innych porządnie nie oskubię, gotowo mi to ptactwo wlecieć na głowę!

W ciągu popołudnia zabrali oprawcy Herakliusza ze wszystkich części miasta rzekomych uczestników w spisku prefekta Rufina i wtrącili do tuliańskiego więzienia. Między uwięzionymi znajdowało się wielu chrześcian, przeważnie z kwitnących rodzin szlacheckich. Pierwszym z nich był Waleryusz Antoninus, urzędnik cesarskiego dworu.

Gdy wieczorem acta diurna czyli gazeta ogłosiła wiadomość o Rufinie i jego spisku, nikt nie wierzył, aby Rufin rzeczywiście był chrześcianinem. Przecież przy ostatnich wielkich uroczystościach widziano go, jak w świątyni Jowisza na Kapitolu składał ofiary! Prawość i zacność prefekta była tak ogólnie znaną, że nikt nie przypuszczał, ażeby mógł spisek przeciwko cesarzowi utworzyć. Nadto przyjaciele Sabina rozgłosili, co im matka jego o zaręczynach syna powiedziała

a także i o tem, jak Sabinus się gniewał, gdy mu życzenia składali; to wszystko, gdy znajomi z uwięzieniem Rufina połączyli, wyniknęło dla nich, iż to Herakliusz z zemsty zgubił prefekta.

W tej samej gazecie ogłoszono też rozporządzenie cesarskie, mocą którego Aradiusz Rufinus urzędu prefekta pozbawiony, a w jego miejsce Anniusz Anulinus głową miasta zamianowany został.

Wieczorem gromada motłochu, najęta przez Herakliusza, włóczyła się po ulicach Rzymu, wykrzykując: „Christianos ad leones!” (rzućcie chrześcian lwom!).

Symachus zgrzytał zębami z gniewu nad tym nowym gwałtem tyrana. Winę, jakiej się względem żony Rufina dopuścił, starał się Maksencyusz zatrzeć, usuwając i Rufina samego z drogi. Uczynił to, obwiniając Rufina o dwie podłe zbrodnie: zdradę stanu i — co w oczach Symachusa jeszcze gorszą rzeczą było — o przystąpienie do sekty chrześcian. To go szczególnie gniewało; wszakżeż on wiedział, jak mocno Rufinus stał przy religii rzymskiego państwa.

Od młodych lat był Symachus zaprzyjaźniony z Rufinem. Dlatego uważał sobie za obowiązek udać się do cesarza, ażeby próbować, czy przyjacielowi życia uratować nie zdoła. Jeszcze tego samego wieczoru prosił o posłuchanie.

Maksencyusz zdziwiony niemało, że potężny senator, który dotąd od dworu tak dumnie stroił, do niego się zbliża, przyjął go nadzwyczaj grzecznie.

— Myślę, że na gniew twój się nie narażę — zaczął Symachus — skoro się poważę twojej

boskości zwrócić uwagę na błąd w pewnem oskarżeniu, które, gdyby prawdziwem było, zaiste upoważniałoby do skazania oskarżonego.

— Zapewnie, szlachetny Symachu — odpowiedział cesarz — masz na myśli Rufina, który stracił urząd i do robót ciężkich skazany został. Zaszczyt ci przynosi, że jako rzecznik przyjaciela w jego obronie stajesz. Lecz nie wątpię o tem ani na chwilę, że senator Symachus spisek z wrogami państwa i zdradę bogów, które Rzym wielkim uczyniły, porówno ze mną uzna za zbrodnie, zasługujące na karę śmierci.

— Nie jest prawdą, iż Rufinus należy do chrześcian.

— Ciekawym, jakie dasz na to dowody.

— Znam go od młodości jako wiernego czciela bogów, który wielkość Rzymu jedynie i wyłącznie w utrzymaniu starej religii państwowej upatruje.

— Ale jeśli dzisiaj bogów tych przeklina i otwarcie zwolennikiem tej przeklętej i zakazanej sekty chrześcijańskiej być się mieni, czy i wtedy nie uznasz, że i ową drugą zbrodnię popełnić był w stanie?

— Przebacz mi śmiałą prośbę: czy mógłbym to wyznanie usłyszeć z jego własnych ust?

— Pies ten już teraz niezawodnie będzie przy robotach około nowej bazyliki; pozwalam na to, o co prosisz, abyś się sam i innych Rzymian przekonał, z jakiego gnoju oczyściłem stajnię Augiaszową miasta Rzymu.

— A gdyby Rufinus oświadczył, że jest gotów złożyć bogom ofiary?

Maksencyusz zmarszczył czoło, lecz zadał sobie gwałt i odpowiedział:

— Natenczas daję ci cesarskie słowo, że daruję mu życie. Idź tedy do niego; dodam ci do boku centuryona z mojej przybocznej straży, aby cię wpuścili do skazanego.

Na znak cesarza wszedł centuryon Marcyalis, człowiek ogromny, przewyższający cesarza o półtorej głowy. Na błyszczącej od złota zbroi miał zawieszoną lwią skórę, jako płaszcz; rozwarta paszcza lwia tworzyła ozdobę na hełmie, w ręku dzierżył ogromną maczugę.

— Tego chłopaczka dodaję ci za towarzysza — rzekł cesarz z uśmiechem — patrz, jakie cacko trzyma on w swojej dłoni. Ten klucz otwiera wszystkie drzwi.

Symachus pożegnawszy się z Maksencyuszem, udał się w towarzystwie Marcyala do nowej bazyliki.

Pewność, z jaką cesarz o przystąpieniu Rufina do chrześcian mówił, nie pozostała bez wrażenia na Symachu. Lecz choćby nawet tak było, czyż przyjaciel jego teraz, gdy Bóg chrześcian żony jego od zasadzek cesarskiego lubieżnika nie zdołał zachować, nie mógł się przekonać o złudzeniach owej sekty? Dziwna i niezrozumiała to była sprawa, że mimo to miał zostać chrześcianinem.

Po długiem szukaniu znalazł nakoniec Symachus Rufina, skutego jak inni więźniowie w łańcuchy, odzianego podartą odzieżą i jeszcze przy ciężkiej pracy, pomimo że był już późny wieczór. Nędzny widok nieszczęśliwego wzruszył senatora

do głębi duszy. Przystąpiwszy do niego, odezwał się w te słowa:

— Padłeś ofiarą nikczemnego oszczerstwa, szlachetny Rufinie; lecz oto ja przychodzę, przynosząc ci wolność. Nie jest i nie może być prawdą, że zostałeś chrześcianinem; powiedz mi przeto, w której świątyni mam zamówić ofiarę dla nieśmiertelnych bogów a jesteś wolny. Maksencyusz dał mi na to cesarskie słowo.

— Dziękuję ci z całego serca — odrzekł Rufinus — że wstawileś się za mną u cesarza, lecz jeszcze więcej dziękuję memu Bogu, że mnie na koniec wyzwolił z błędu i pozwolił mi poznać w Jezusie Chrystusie jedyną prawdę.

— Czyż podobna? — zawołał Symachus zawiadziony w swoich nadziejach. — Nie, nie! Okropne nieszczęście, nagła i krwawa strata wiernej twojej małżonki zaćmiły ci rozum. Otrząśnij się z tych myśli! Rozważ, czy ukrzyżowany przestępca, który ani siebie, ani twojej małżonki od śmierci zachować nie zdołał, może być Bogiem?

— Nieszczęście moje — odpowiedział spokojnie Rufinus — rozproszyło za pomocą światła Boskiej łaski ciemności, które mnie otaczały. Z radością chcę ponieść najcięższe męki i najokropniejszą śmierć za moją wiarę chrześcijańską. Niech ci Bóg wynagrodzi twoją dobrą wolę względem mnie w ten sposób, żebyś i ty zdołał dojść do poznania prawdy.

Na to Symachus nie odrzekł ani słowa, lecz odwrócił się i odszedł.

Olbrzymi centuryon tymczasem, świadek całej rozmowy, uczuł się słowami Rufina głęboko

wzruszony. Gdy senator się nieco oddalił, zapytał się Rufina:

— Powiedz mi, gdzie mogę lepiej poznać nauki twojej wiary?

To pytanie nappełniło Rufina nieopisaną pociechą. Męczeństwo było po wszystkie czasy rozsądnikiem chrześcijaństwa.

— Idź drogą apijską — odrzekł — aż mniej więcej do drugiego kamienia milowego; tam pytaj się o biskupa Milcyadesa; ten nauczy cię wszystkiego, o czem wiedzieć pragniesz. Powiedz mu, że z radością cierpię dla Chrystusa i poleć córkę moją jego ojcowskiej opiece.

Rozmowę tę przerwał dozorca, krzyknawszy na Rufina, ażeby się znowu wziął do roboty.

Centuryon patrzył chwilę za więźniem i rzekł sam do siebie:

— Czyż podobna, aby się kto wyrzekał godności rzymskiego senatora, wysokiego urzędu prefekta Rzymu, bogactwa i wielkich rozkoszy życia, i pozwolił sobie znieważać jako złoczyńcę a nakoniec rzucić się dzikim zwierzętom na pożarcie, gdyby nie był przekonany o prawdziwości wiary chrześcijańskiej i gdyby nie miał nadludzkiej siły do zniesienia takich ofiar? Muszę odwiedzić jutro biskupa Milcyadesa.

Miedzy chrześcianami rozszerzyły aresztowania i oskarżenia o spisek trwogę; czyż nie należało się spodziewać, że wrócą czasy Dyoklecyan'skich prześladowań? Nie wszyscy chrześcianie niestety byli przejęci taką wielkodusznością i podniosłemi ideami o męczeństwie, jak Walerya, która na widok tortur w zachwyt popadła. Za prześladowania Dyoklecyana odpadło nie mało chrze-

ścian od wiary Chrystusowej, a jeśli już przez to samo matczyne serce Kościoła bardzo zranili, ranę tę jeszcze pogłębili, żądając po ukończeniu prześladowania, ażeby ich do gminy chrześcijańskiej przyjęto bez pokuty; byli tacy, którzy to zgola gwałtem wymusić chcieli. Nie wstydzili się nawet uznać Herakliusza swoim przywódcą, który nie podczas męczeństwa, lecz podczas spokoju Chrystusa się zaparł.

Biskup Milcyades i jego duchowieństwo uważało sobie za obowiązek święty, wspierać uwięzionych braci, w wierze ich umacniać i stać im na pomocy tak za pomocą Sakramentów, jak i przez różne dowody miłości i przywiązania. Archidyakonowi Sylwestrowi udało się przekupić dozorców, którzy jeszcze tego wieczora do tuliańskiego więzienia go wpuścili. Ku wielkiej pociesze serca swego przekonał się tamże, że wszyscy uwięzieni byli pełni męstwa i stałości, i że raczej mękę i śmierć ponieść, aniżeli Boga się zaprzeć są gotowi.

Po kilku godzinach nadszedł ku ogólnemu zdziwieniu rozkaz cesarza, na mocy którego z więzienia wypuszczeni zostali wszyscy, którzy byli szlacheckiego pochodzenia.

Nikt nie mógł pojąć przyczyny tego rozkazu. Liczba uwięzionych, którzy w więzieniu pozostać musieli, była bardzo znaczna a w ciągu następnego dnia wtrącono jeszcze wielu innych chrześcian do więzienia.

VIII.

Więźniowie.

Z powodu pośpiechu, z jakim Herakliusz listę rzekomych spiskowców układał, dostały się do niej nazwiska, które przy spokojnej rozwadze niezawodnie byłby sobie na inną sposobność zachował. To się tyczyło przede wszystkim Walerjusza Antoniusza, ochmistrza dworu cesarskiego, którego uczciwość i szlachetność niejednokrotnie już jego nieuczciwe plany pokrzyżowała. Tak Herakliusz, jak i sam cesarz wiedzieli, że Waleryusz jest chrześcianinem, lecz mimo to zażywał on zupełnego zaufania swojego władcy. Aresztowanie tego dostojnika miało mieć dla Herakliusza następstwa nieprzyjemne.

Matka Antoniusza, Surula, była jedną z tych czcigodnych matron rzymskich, których światem jest ciche koło rodzinne i które wśród wnucząt wesołych przeżywają miły wieczór swojego żywota. Uwieszenie syna, porwanego przez oprawców płaczącej małżonce i tulącym się do niego dzieciom, zburzyło nagle szczęście Suruli. Jakkolwiek jako matka chrześcijańska byłaby w sobie znalazła siłę, aby przeżyć mękę syna dla Chrystusa, zarzutu jednak wiarołomstwa względem pana i udziału w spisku nie mogła przenieść, ani pozwolić, aby taka hańba przyłgnęła do jego pamięci i zawisła na jego dzieciach.

Wziąwszy tedy za rękę dziesięcioletniego wnuka Jazona, śliczne chłopię, udała się do pałacu cesarskiego i prosiła o posłuchanie.

— O władco! — zawołała, padając przed Maksencyuszem na kolana — jeżeli syn mój na

niełaskę twoją zasłużył, nie wypełniając sumiennie swoich obowiązków, natenczas korzę się w posłuszeństwie przed twoim majestatem. Lecz...

— Niełaskę! — przerwał jej Maksencyusz, podnosząc z kolan staruszkę — syn twój posiada moją przychylność, ponieważ go znam jako wierne go i dobrego sługę.

— Dziękuję twojemu majestatowi za to świadectwo — odpowiedziała matrona — i ośmielam się powołać na nie w celu obrony przed oskarżeniem, z powodu którego syn mój już jest w więzieniu i w okowach.

— Na Jowisza! — zawołał cesarz — któż poważył się podnieść rękę na jednego z moich najbliższych urzędników dworskich? I jakąż to zbrodnię mu zarzucają?

— Gdyby chociaż cień podejrzenia na syna mego padał o mniejsze przestępstwo — mówiła Surula dalej — sługa twoja nie poważyłaby się stanąć tu przed tobą. Lecz, cesarzu i panie, nikczemnie go oczernia, kto twierdzi, iż syn mój spiskował przeciwko tronowi i życiu swojego monarchy. Nie, to jest oszczerstwem!

Gdy Surula to powiedziała, przypomniał sobie cesarz, że na liście Herakliuszowej było też nazwisko Antoniusza; marszcząc czoło, rzekł:

— Syn twój jest chrześcianinem a skutkiem tego sam się naraził na oskarżenie; jedna żaba skrzeczy tak samo, jak druga.

— Jakże mam mojemu panu i cesarzowi udowodnić — odpowiedziała z westchnieniem matrona — że niesłusznie nas chrześcian podejrzewa? Lecz spojrzij oto na tego chłopczyka! To mój wnuk; może go sobie przypomnisz, bo ba-

wił on się nieraz z twoim niezapomnianym synkiem, dopóki niezbadane wyroki nieba nie wydarły ci tego słodkiego skarbu. Na niewinną głowę tego chłopca, na świętą pamięć twojego Romulusa przysięgam ci, że syn mój jest niewinny i nie popełnił zbrodni, którą mu zarzucają.

Maksencyusz spoglądał na chłopca, który z trwogą wielkie czarne oczy swoje wlepił w cesarza a im dłużej cesarz patrzył na delikatną twarzyczkę, rumiane policzki i krucze włosy chłopięcia, tem więcej łagodniał surowy wyraz jego twarzy. Do podniesienia uroku chłopca przyczyniała się praetexta czyli szata z białej wełny i złota bulla czyli kapsułka na szyi, jaką dzieci szlacheckich rodzin nosiły.

Maksencyusz uwielbiał swojego jedyne go syna a gdy tenże umarł, czcił go jak boga. Na uczczenie jego pamięci zbudował cyrk przy drodze apijskiej; nowa bazylika na forum miała się zwać bazyliką Romulusa; w pałacu cesarskim pełno było rzeźb i obrazów zmarłego dziecka. A teraz stoi przed nim chłopczyk, który razem z synem jego wzrastał i się chował. Jego Romulus byłby teraz tak piękny i miły, gdyby złowrogie przeznaczenie nie było mu wydarło słodkiego dziecka.

Twarde serce cesarza zmiękło a łza zabłysła mu w oczach.

W tej chwili padła staruszka po raz drugi na kolana a z nią i chłopczyk, który wyciągnął rączki do cesarza i srebrnym głosikiem zawołał:

— Oddaj mi mojego tatę, a będę się gorąco za ciebie modlił.

Cesarz nie mógł opanować wzruszenia. To jakby jego własny syn klęczał przed nim i prosił.

— Słodki chłopczyku — rzekł — ojciec twój wróci. Oto pierścień — mówił dalej, zwracając się do Suruli — on otworzy mu więzienie. A teraz idźcie, idźcie; nie potrzebujecie mi dziękować.

To powiedziawszy, wyszedł do drugiej komnaty i głęboko wzruszony chodził długi czas w zamyśleniu. Nakoniec stanął przed posągiem marmurowym syna swego, patrzył nań długo, a z oczu spadały mu łzy na policzki.

— O dlaczego okrutny los — zawołał, przykładając rękę do czoła — wydarł mi tego chłopca? On byłby złagodził moje dzikie usposobienie; przez niego byłbym się stał ojcowskim władcą. W owej godzinie, w której go straciłem, zawisły nad moim duchem owe mroki, których nie rozjaśnia gwiazdy, lecz tylko błyskawice.

W tej chwili oznajmił sługa, że Herakliusz prosi o posłuchanie, aby cesarzowi przedłożyć listę spiskowców, którzy już do więzienia wtrąceni zostali.

Uśmiech słodki znikł z twarzy Herakliusza, gdy Maksencyusz z zasępionym wzrokiem ku niemu przystąpił i ostro zawołał:

— Któż ci pozwolił, nędzniku, sługę domu mego bez mojego pozwolenia wrzucić do więzienia. Na wszystkie bogi! Jak z prochu cię podniosłem, tak mogę cię jak robaka zadenąć! Daj mi listę!

Cesarz rzucił okiem na długi spis i jego czoło zachmurzało się coraz bardziej.

— Dwóch Waleryuszów, dwóch Korneliuszów, pięciu Anicyuszów, ten przekłety Grek — krzyknął — dziesiątkuje mi szlachtę rzymską. A gdzież kapłani i dyakoni chrześcijańscy, których schwytać przyrzekłeś? Miarkuję już, że lis zmienił swoje włosy, lecz nie skórę. Precz! Natychmiast wypuścisz na wolność wszystkich ze szlachty, a jeżeli do jutrzejszego wieczoru nie dostawisz mi do więzienia przynajmniej archidyakona, który ma kasę, i pół tuzina innych przełożonych chrześcian, natenczas pokażę przyjaciółom twoim, jak się cesarz obchodzi z parszywym psem.

Herakliusz wyszedł, nie odrzekłszy ani słowa.

— Czyż mi tego dziś rano sam nie nakazał? — zawołał Herakliusz, wyszedłszy do przedsionku. — Lecz ja wiem, Symachus, ten nędznik, był u niego i postraszył go z powodu uwięzienia szlachty a teraz cała odpowiedzialność za wszystko ma spaść na mnie.

— Zaledwie po długiem staraniu znalazłem drogę, po której idąc dobrze moją przyszłość zabezpieczam, gdy zawistny los zmusza mnie do kładzenia kamieni, dalszą drogę mi zagradzających. Odnowienie prześladowań chrześcijańskich zrywa mi most do Konstantyna, a jednak muszę uczynić podług woli cesarza, nie chcąc, aby jego wściekłość na mnie samego się wylała. Gdyby mi się udało pochwycić choć jednego kapłana lub też jednego z siedmiu dyakonów biskupa, cesarz zadowoliłby się tem na chwilę. Tak, tak, na Milcyadesa miałbym broń skuteczną w rękach, gdybym zdołał kapłanów jego uwięzić.

Herakliusz wiedział wprawdzie o tem, gdzie rozmaici kapłani chrześcijańscy mieszkają, lecz nie

mógł wątpić, iż skutkiem prześladowań chrześcijanie zarządzili wszelkie środki ostrożności, aby swoich kapłanów i dyakonów zastawić przed niebezpieczeństwem.

Najprędzej jeszcze mógłby pochwycić jakiego znaczniejszego z pomiędzy chrześcijan przy wejściach do katakumb, mianowicie przy drodze apijskiej. Wysłał przeto nazajutrz rychło rano kilku oprawców, którzy zaczaiwszy się przy grobowcu Korneliuszów, gdzie wejście do katakumb Kaliksta się znajdowało, po długim czekaniu pochwycili starca, wyznającego, że jest chrześcijaninem i dyakonem.

„Lecz gdyśmy go chcieli zabrać”, tak opowiadał przywódca oprawców Herakliuszowi, „rzucił się centuryon cesarskiej gwardyi przybocznej, zwanej dziećmi Herkulesa, człowiek ogromny, i porwawszy mnie i Trankwilina za ramię, podniósł w górę, każdego jedną ręką, i uderzał nas plecami o siebie tak silnie, że mi wszystkie żebra trzeszczały; straciłem przytomność i upadłem na ziemię. Potem zabrał się do innych towarzyszy naszych i gdyby go uwieziony dyakon nie był wstrzymał, byłby ich ten potwór jeszcze gorzej pobił, aniżeli nas. W ten sposób uwolnił starego i odprowadził go aż do miasta.”

Herakliusz ganił swoich ludzi, którzy mu na próżno guzy i sińce na ciele od silnych rąk żołnierza pokazywali, strofując ich, że są tchórzami; w istocie jednak cała ta sprawa była przebiegiem Grekowi bardzo a bardzo na rękę. Znał on cesarza i wiedział, że skoro przed cesarzem o nadzwyczajnej sile żołnierza opowiedzą, cesarz wpadnie w dobry humor.

— Skoro was zawołają przed cesarza — zalecił im przeto — natenczas przedstawicie jaskrawo, co was spotkało; inaczej na Jowisza nie ręczę, czy nie straciecie głów.

Gdy wieczorem nie bez pewnej trwogi do pałacu cesarskiego się udawał, kazał się owym oprawcom ustawić w przedsionku. Wszedłszy zaś do cesarza, natychmiast wytoczył przed niego skargę na owego żołnierza gwardyi przybocznej, który aresztowaniu dyakona Sewera przeszkodził.

Maksencyusz nie pogniewał się o to wcale na swojego centuryona, owszem cieszył się, słuchając, co ten olbrzym dokazywał. Nie dość na tem, co mu Herakliusz mówił, zawezwał jeszcze oprawców, ażeby z ich ust o wszystkich szczegółach się dowiedzieć.

— Muszę także przesłuchać oskarżonego — zawołał, wysłuchawszy wszystkiego — aby sprawiedliwy wyrok wydać.

Po niejakej chwili wszedł Marcyalis, pozdrowił cesarza po wojskowemu i stanął, jak dąb, przed cesarzem, spoglądającym na niego z zadowoleniem wielkiem.

Herakliusz musiał powtórzyć oskarżenie. Podczas tego Marcyalis spoglądał na niego z uśmiechem a nakoniec z wielkim spokojem tak odpowiedział:

— Gdy te chłopcy owego starca dobrowolnie puścić nie chcieli, odsunąłem ich nieco na bok. Lecz ani rąk ani nóg im nie połamalem.

— Ależ ci tu mówią — odezwał się cesarz — żeś dwóch z pomiędzy nich tak o siebie uderzył, iż dopiero po pół godziny przytomność odzyskali!

Owi dwaj oprawcy potwierdzili to, spoglądając nieszczęśliwem okiem na cesarza.

— W takim razie — odpowiedział żołnierz ze spokojem — widocznie uchwyciłem ich nieco silniej, niżeli zamierzałem. Tego nie można zupełnie akuratnie odmierzyć.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się cesarz — oporządziłeś tych dwóch tak mocno, że inni uciekli.

— I dobrze, że się tak stało — dodał żołnierz. — Inaczej bowiem byłbym niezawodnie stracił zimną krew a wtedy nie ręczę, czybym te żaby wszystkie nie był poprzierzucał za najbliższy mur ogrodowy.

Potrzeba było tylko spojrzeć na olbrzyma, ażeby uwierzyć, iżby mu to wielkiej pracy nie było sprawiło.

— Będę cię jednak musiał ukarać — rzekł cesarz — ponieważ przeszkodziłeś urzędnikom w wykonaniu obowiązku.

— Komu ja towarzyszę, ten jest pod moją opieką — odrzekł Marcylias — a kto jest pod opieką jednego z przybocznej straży cesarskiej, ten też pozostaje pod opieką cesarza.

— Na maczugę Herkulesa! — zawołał Maksencyusz — masz słusność a tamte kpy niech ci będą wdzięczni za to, żeś im wszystkim karków nie poukręcał.

Na tem się skończyło a cesarz spoglądając z przyjemnością za oddalającym się centuryonem, rzekł:

— Na Jowisza! Stu takich olbrzymów nie zleknie się całej legii Konstantyna.

Całe to zdarzenie wprowało cesarza w dobry humor. Herakliusz, który to przewidywał, przed-

łożył mu zaraz program nadchodzących uroczystości, drukowany złotem literami na papierze koloru purpurowego. Maksencyusz zatopił się tak w czytaniu tego programu, że całkiem zapomniał o groźbie z wczorajszego wieczoru.

Od dnia, w którym pod bazylikę kamień węgielny podłożono, pedził Maksencyusz budowę z febrycznym pośpiechem, jakby na przekorę tajemniczemu przeczuciu, które mu mówiło, że nie zdoła budowy ukończyć. Rzeczywiście bazylika nie miała nosić imienia ani cesarza, ani syna jego; znienawidzony Konstantyn wykończył ją a potomność zna ją pod nazwą bazyliki Konstantyna. Tymczasem jednak od najrychlejszego ranka do późnej nocy setki niewolników i więźniów znosiły cegły i marmury, przygotowywały wapno, stawiały rusztowania przy budowie a nielitościwie świszczał bicz dozorców, uderzający nagie plecy robotników, gdy ci pod ciężarem twardej pracy prawie upadali. Niemal codzień przychodził cesarz, aby swoją obecnością zagrzewać mistrzów.

Chrześcianie starali się złagodzić los swoich braci, do tych robót skazanych, i nie szczędzili w tym celu ani ofiar ani zachodów. My dzisiaj nawet domyśleć się nie możemy, jak wiele ofiarności żądano wówczas od wiernych i z jaką ochotą i poświęceniem w szlachetnem współzawodnictwie chrześcianie ofiary te ponosili.

Lecz chociaż się udało przebiegłością i przekupstwem to temu, to owemu więźniowi ulgę i pociechę przynieść, Rufinus nigdy niczego nie doznał; surowy rozkaz Herakliusza otoczył go nieprzebytą zaporą. Trzech więźniów przygotowywało się dopiero do chrztu świętego; pewien

kapłan zdołał w tajemnicy do nich się zbliżyć, ich ochrzcić a nawet Komunii św. im udzielić; jakże chętnie byłby Rufinus przyjął ten pokarm niebieski, lecz niestety było to rzeczą niemożliwą.

Jedyna pociecha, jaką córka sprawić mu mogła, w tem się mieściła, że dzień w dzień stawała godzinami na wysokich wschodach do Palatynu, naprzeciwko budowli, i stamtąd ojcu przesyłała znaki, świadczące o jej miłości i wskazując na niebo, męstwo jego wzmocnić usiłowała. Lecz dla niej samej były to chwile niewypowiedzianej boleści. Jakże jej serce się krwawiło, gdy była niemym i bezsilnym świadkiem poniewierania, jakiego ojciec jej doznawał; gdy widziała, jak obciążali go robotą! Jakże drżała na całym ciele, gdy laska lub bicz dozorczy krwawe pręgi na plecach ojca wyciskał, skoro mu się zdawało, że więzień nie dość szybko pracę wykonuje.

Ani księdzu, ani dyakonowi, ani nawet cesarskiemu centuryonowi nie udało się przynieść niestety pomocy biednemu Rufinowi; natomiast nadeszła ulga, choć tylko na krótki czas, ze strony, z której jej nikt nie oczekiwał — od Sabina, syna prefekta cesarskiego.

Spostrzegł on był, że Walerya codziennie na wschody Palatyńskie przybywa i znakami z ojcem się porozumiewa; ponieważ serce jego jeszcze całkiem nie było zepsute, ruszyła go taka miłość do ojca tem więcej, że to jego ojciec był sprawcą nieszczęścia Rufinowego i nielitościwie zemście swojej go poświęcił.

Będąc przełożonym nad dozorcami przy cesarskich budowlach, rozkazał Sabinus, aby się z

Rufinem łagodniej obchodzono. Dopuszczał, że Walerya codzień, choć tylko na moment, z ojcem rozmawiać mogła, pocieszyć go dziecięcą swoją miłością i podać mu niejedno dla wzmożenia. Łzy dziękczynne, wylane przed Sabinem przez Waleryę, poruszyły mu serce; niespostrzeżony szedł za dziewczcą, dowiedział się, że w biednej izdebce na strychu mieszkała i gdy następnego wieczoru miał przy kostkach szczęście, posłał jej rano przez zaufanego niewolnika część wygranych pieniędzy.

W nieobecności Waleryi przyjęła Irena wyśtafca.

Od Sabina? Pieniądze? Jakże ten nędznik mógł się na to odważyć!

— Powiedz twemu panu — odpowiedziała — że Walerya żadnego podarunku od niego nie przyjmie. Czyż nie dosyć na tem, że ojciec jej jak podły zbrodniarz do najcięższej roboty niewolniczej i na śmierć został skazany, a ona sama została żebraczką? A teraz syn tego, który to sprawił, chciałby zbrodniczego czynu ojca jeszcze większą nikczemnością dopełnić. Jak dla ręki Sabina niedościgłe są gwiazdy, tak niedościgłą dłoń jest i dziewczica. Precz, precz z temi grzesznemi pieniędzmi, splamionemi krwią i łzami!

Sabinus obraził się, że podarunku jego nie przyjęto; w jego mniemaniu, ofiarując Waleryi ten podarunek, uczynił on był coś wielkodusznego.

Któż była ta niewiasta, opiekująca się Waleryą, która się odważyła w tak ubliżający sposób odrzucić jego dar? Nie wiele potrzebował py-

tać, aby się dowiedzieć, że to była wdowa po Kastulusie, matka Kandyda, chorążego w wojsku Konstantyna.

Natychmiast doniósł Herakliusz cesarzowi, iż odkryto matkę owego centuryona Konstantynowego, co niesie przekłętą sztandar, pod którym Konstantyn zwycięstwo po zwycięstwie odnosi. Na rozkaz cesarski zawleczono Irenę natychmiast do więzienia, oznajmiając zarazem, że przy otwarciu cyrku umrze razem z innymi chrześcianami, na śmierć skazanymi. Rocznicą wstąpienia na tron cesarza była już za dwa dni; Irena tedy znajdowała się tuż przed męczeństwem.

W złości odwołał Sabinus wszelkie ulgi dla Rufina i owszem polecił dozorcóm, ażeby się z nim jak najokrutniej obchodzili i bicza nie żałowali. Skutkiem tego, że towarzysze wyśmiewali się z nieudanego ożenku jego, gniew na Rufina zwiększył się w Sabinie a rozognił się dopiero, gdy o słowach Ireny się dowiedział.

Nieszczęśliwe znaki, które wystraszyły cesarzową, nie pozostały bez wpływu na cesarza; Maksencyuszowe nadzieje w zwycięstwo osłabły.

Gdyby tak przepowiednie wieszczów okazały się mylne! Gdyby liczne legiony jego pod murami Rzymu pobite zostały! Gdyby Konstantyn krok w krok postępując za zwycięskim wojskiem wziął go żywcem do niewoli, zmusił go do postępowania w pochodzie tryumfalnym lub wydał zemście rozgniewanego ludu a w końcu w marmertyńskim więzieniu udusić kazał!

Myśl, że to wszystko jest możliwe, napęłnia cesarza trwogą i przerażeniem. Jeszcze może uciec i schronić się do Afryki; droga apijska

wiodąca na południe, była wolna. Lecz ze wstrętem wielkiego oporu odrzucił cesarz tę myśl; było mu przeznaczone zostać w Rzymie.

Ażeby w spokoju coś stanowczego postanowić, odważył się na czyn okropny, straszny, za pomocą którego jednak podług zapewnienia czarnoksiężników i magów można było zmusić tajemnicze duchy, aby odchyliły zasłonę przyszłości; w największej tajemnicy dał rozkaz, ażeby w najbliższej nocy postarano się o to, co do tego było potrzebne.

IX.

U r a t o w a n y .

Los chrześcian, skazanych na męczeństwo, można było nazwać stosunkowo lekkim, skoro po wydaniu wyroku niebawem następowało jego wykonanie. Inaczej rzecz się miała, gdy nieszczęśliwi skazańcy długo w strasznych więzieniach lub przy ciężkiej pracy niewolniczej na śmierć czekać musieli. Wtedy ułomna natura ludzka często się w nich odzywała, a każdy dzień i każda godzina były chwilami próby ich wierności i stałości w wierze. Cóż bowiem znaczyły wszystkie męki torturowe w porównaniu z tem więzieniem całe tygodnie trwającym, w lochach pełnych zaduchu i wilgoci, do których nigdy promień słońca nie doszedł — gdzie godziny tak wolno płynęły, jakby były przykute — w beznadziejnej samotności, przygnębiającej srode umysł, napełniający ludzi rozpaczą. Nie mniej okropnym był los tych wyznawców chrześcijańskich, którzy do robót publicznych skazani

zostali. Lud taki, jak rzymski, przywykły od najmłodszych lat w krwawych walkach cyrkowych gladyatorów widzieć nadzwyczajną przyjemność, obyty z najbrutalniejszym postępowaniem względem niewolników, nie mógł mieć ani litości ani miłosierdzia dla biednych więźniów. Najmniej zaś można się było spodziewać serca ze strony dozorców, pod których władzą biedni skazańcy w najcięższych robotach od rychłego rana do ciemnej nocy pracować musieli. Gdy dzisiaj na ruiny wspaniałych budowli z czasów starego Rzymu spoglądamy, nie przychodzą nam na myśl owe jęki i łzy, ani strumienie krwi, przelane przy nich, nie pamiętamy o tem, jak liczne zastępy chrześcijańskich wyznawców cierpiały tutaj niewypowiedziane męczarnie za wiarę.

Dla Rufina stała się ta próba jeszcze cięższa z powodu wskazówek danych co do niego dozorcóm przez Sabina. Silny mąż wychudł w krótkim czasie, jak szkielet; czuł, że koniec się zbliża: jakżeby chętnie umarł, gdyby mu troska o córkę śmierci tak ciężką nie czyniła!

Walerya była podobną roślinie, wyrwanej z ziemi i rzuconej na żar słońca. Ożywiło ją i krzepiło jedynie jeszcze matczyne współczucie Ireny. Ta szlachetna matrona przypominała jej wzniosłe idee, które chrześcijaństwo jak kwiaty rajskie nad królewską drogą krzyża zasadziło: to znowu wzbudzała w niej nadzieję, że Konstantyn przybędzie na czas i uwolni więźniów.

Gdy Irena o tem mówiła, głos jej nabierał wielkiej pewności, która się też i Waleryi mimowoli udzielała. Serce Ireny myślało przymtem o synu, o Kandydzie i o błogosławionej godzi-

nie, w której po kilkuletniem niewidzeniu znowu go ujrzy.

Było to po południu przedostatniego dnia przed uroczystościami cesarskiej rocznicy, gdy Walerya na wschody Palatyńskie wstąpiwszy, na próżno wyglądała ojca.

Czyby zachorował? Może już umarł pod biczami nielitościwych dozorców? A jeżeli jest chory, jeżeli leży bez opieki, bez pożywienia, bez nakrycia i żadna dusza nad nim się nie zmiłuje! Te myśli raniły serce Waleryi. Po dwugodzinnem daremnem czekaniu, zeszła ze schodów, z płaczem i jękiem, nie dbając o ludzi, którzy z ciekawością oczy na płaczącą zwracali.

Wtem spotkała Rustykę, ową młodą matkę z Zatybrza.

Pod pozorem, że zbiera drzazgi, odpadające od drzewa przy budowli, umiała ta dzielna niewiasta dostać się kilkakrotnie za płót, otaczający budowlę i przynieść pomoc chrześcianom; nieraz już wygonił ją biczem dozorca, za co go gadatliwa Zatybrzanka głośno zbesztala. Teraz, gdy jej Walerya z płaczem o losie ojca opowiedziała, zaczęła Rustyka myśleć, w jaki sposób by najlepiej chorego znaleźć i do niego się dostać można. Wiedziała ona dobrze, jak bardzo właśnie na Rufina uważano: cóż począć? Jedna myśl po drugiej przesuwala jej się po głowie, podczas gdy Walerya patrzyła na nią oczekując od niej rady i pomocy. Wtem twarz Rustyki rozpromieniała, oczy jej zabłysły i z uśmiechem zawołała:

— Tak, tak się uda! To będzie awantura, lecz trzeba odczekać ciemności. Lecz jeśli się

uda, już o północy zobaczysz... Ale nie mogę tracić czasu — przerwała sobie Rustyka i dodała: — Muszę się rozmówić z moim mężem, który jest mądry. Ach, jaki on sprytny! Bądź zdrowa, szlachetna Waleryo i nie trać nadziei!

Walerya spojrzała na nią z wdzięcznością i podała jej ostatni pieniądz, jaki posiadała, z prośbą, aby za niego dla ojca coś pokrzepiającego kupiła.

W Rzymie przy ówczesnym wielkim ruchu a ciasnych ulicach wolno było wozom z ciężarami jeździć tylko nocą; także furmani, odwożący materiały budowlane do bazyliki, musieli robotę swoją częściowo w nocy wykonywać. Na tem oparła Rustyka swój plan. Mąż jej znał z pewnością niejednego z furmanów wożących piasek, bo doły, z których go brali, położone były w pobliżu katakumb; dlaczegóżby ten lub ów z nich nie miał zdać swojej nocnej roboty na kogo innego, mianowicie też gdyby mimo to otrzymał zapłatę.

Rustyka pospieszyła do domu i zastała męża swego Mincjusza przy rzeźbieniu płyty marmurowej do grobowca. Gdy mu plan swój opowiedziała, Mincyusz pochwalił go i nie tracąc czasu, poszedł na drogę apijską, aby w tamtejszych dołach piaskowych znaleźć potrzebnego pomocnika. Rustyka tymczasem znowu się umiała dostać do budowli pod pozorem, że zbiera drzazgi.

Tam po długiem szukaniu udało jej się wreszcie odkryć Rufina, leżącego w odległym kącie podwórza przy budowli i trzęsącego się w febrze; towarzysze niedoli zanieśli go tamdotąd.

Gdy następnej nocy długi rząd wozów z piaskiem na miejsce odgrozione przy bazylice wjeżdżał, na jednym z nich siedziała Rustyka trzymając, jak woźnica, lejce i bicz w rękę, otulona w gruby płaszcz z czerwoną czapką na głowie, jaką furmani rzymscy nosić byli zwykli; dzban dobrego wina stał tuż przy jej boku.

— Oho! — zawołał na jej widok stróż stojący przy bramie z pochodnią — co widzę? Amazonka na furze z piaskiem! Gdzie woźnica?

— A bo ja wiem, gdzie jest — odpowiedziała Rustyka. — Gdy mu się poszczęści i dostanie dużo na piwo, to potem całą noc chrapie, jak niedźwiedź.

— W zastępstwie męża — mówił stróż — ty kierujesz tym rumakiem. — I tu się zaśmiał, bo koń był bardzo zmizerowany. — Lecz na boginię koni Eponę! — zakrzyknął, świecąc Rustyce pochodnią w twarz — choć ci w tej czerwonej czapce tak bardzo do twarzy, ja cię jednak poznaję. Nie wieszysz ty co dla więźniów?

— Patrzcie go! — zawołała Rustyka, podnosząc w górę dzbanek z winem — temu bibule wyschło w lampce, więc bierze się do mego dzbanka z olejem. Ho, ho, nie znasz chyba Zatybrzanek! Idź i zanieś twój nos czerwony do mennicy, będziesz mógł za to kupić dzban wina.

Wśród śmiechu innych furmanów uderzyła Rustyka biczem swego konia i zanim stróż cośkolwiek mógł odpowiedzieć, pojechała dalej.

Skoro przybyła na miejsce, gdzie piasek zładowywano, uprosiła towarzyszków, ażeby to uczynili, a sama zabrawszy płonącą lampę na łańcuszku pod wozem wiszącą, poszła szukać prefekta.

Błądząc po obszernym placu, zbliżyła się do wielkiego namiotu, gdzie pod strażą żołnierza gromada niewolników w wielkiej ciasnocie nocowała; lampka ją zdradziła i żołnierz zawołał; lecz Rustyka w tej chwili schowała się za kupę kamieni i uszła szczęśliwie niebezpieczeństwa. Krótco potem zbliżyła się do miejsca, gdzie leżał Rufinus i uknęła przy nim.

Prefekt zachorował wczoraj tak bardzo, że mimo oporu Sabina przy robocie pozostać nie mógł. Dozorcy powiedzieli Sabinowi, że więzień ten ma zginąć podczas igrzysk niedalekich i to go zadowoliło; jego zemsta nie chciała się wyrzec przyjemności, jaką mu sprawi widok krwi rozdzieranej przez lwa lub ścinanej przez kąt ofiary. Rufinus leżał na twardej ziemi, przykryty lekką matą ze słomy, drżący w febrze i czekający śmierci. Ach, gdybyż przed śmiercią mógł choć raz jeszcze zobaczyć swoje dziecko!

Wtem blask światelka uderzył oczy chorego; otworzywszy je szerzej, ujrzał Rustykę.

— Córka twoja pozdrawia cię tysiąckrotnie i przysyła ci ten napój — rzekła cicho, i potem z troskliwością matki podniósłszy nieco chorego, przytknęła mu dzbanek do spieczonych warg.

Wyśmienite wino z Falernu wlało nowe życie w kości zeszywniałe więźnia.

— Nie mamy czasu do stracenia — mówiła Rustyka dalej — skup wszystkie siły i chodź za mną; wszystko jest przygotowane do ucieczki.

To powiedziawszy pomogła mu powstać, włożyła mu czerwoną czapkę na głowę, otuliła go furmańskim płaszczem a potem zgasiwszy świa-

tło, pociągnęła go z sobą aż do miejsca, gdzie piasek składano.

Nie było potrzeba wielu słów, aby furmanów innych z planem ucieczki zapoznać i pomoc ich uzyskać, wszyscy okazali się życzliwymi mężowi, który tak powszechnej u ludu zażywał czci.

Ponieważ kilka wozów już było próżnych, przeto poleciła Rustyka prefektowi, aby na jeden z nich wsiadł i z innymi za bramę wyjechał. Córka jego znajduje się w domu Ireny na Awentynie; gdy wozy tamdotąd dojadą, może wóz swój powierzyć innym.

Rufinus postępował, jak mu poleciła, ale wszystko snem mu się zdało; nie mógł sobie zdać sprawy, czy to rzeczywistość, czy ułuda.

Bez przeszkody przejechał on z innymi bramę. Gdy zaś minąwszy koloseum zbliżyli się do miejsca, gdzie droga zwracała się ku Awentynowi, dopomogli mu inni furmani zesiąść z wozu.

— Okazywałeś nam prostakom zawsze wiele serca — tak mówili — i starałeś się, żeby w mieście chleba nie brakło; twoja małżonka zaś nie wstydziła się odwiedzać najbiedniejszych zaułków miasta; dlatego wszyscy chętnie ci dopomogliśmy do ucieczki.

Tu uściśnęli mu serdecznie ręce i pożegnali się z nim. Dopiero gdy Rufinus sam pozostał i wszystko rozważył, przeświadczył się wreszcie, że nie marzy, lecz, że istotnie znajduje się na wolności.

Rustyka tymczasem zobaczywszy, że prefekt niepoznany za bramę wyjechał, rozradowała się z całego serca. Nie dbając o to, że pozbyła się

stroju i woza, przysiadła się do furmana na ostatnim wozie, pełna ufności, że językiem i śmiałością, jaka dotąd cechuje kobiety z Zatybrza, zdoła się z badania stróża wykręcić cało.

Stróż zaś ów patrzył bacznie na furmanów przejeżdżających, bo go zbierała chętka pożartować z śmiałą niewiastą. Lecz wóz za wozem przejeżdżał, a Rustyki nie było i nadjechała na ostatnim.

— Nakoniec się pokazujesz, zatybrzańska czarownico — odezwał się na jej widok. — Lecz jakże się to dostałaś na ostatni wóz? Kto jechał na twoim wozie?

— Czy gęsi lub żołnierze nie potrafią chodzić jeden za drugim? — odpowiedziała żartobliwie Rustyka; — a mój koń miałby być do tego za głupi?

— Ależ ja uważałem na wozy i na każdym widziałem woźnicę.

— Moje wino poszło ci widocznie do głowy — drwiła sobie Rustyka; — jestem przekonana, że teraz uważałbyś senatora za furmana.

— Niech cię kaci wezmą z twojem winem i twoimi senatorami! — zawołał stróż gniewliwie za odjeżdżającą kobietą.

Ta jednakże obejrzawszy się, rzekła:

— Z jaką pogardą mówisz o senatorach! A przecież niedawno jeszcze byłeś odźwiernym pewnego senatora.

— Odźwiernym u senatora! — mruknął dozorca; lecz Rustyka już zniknęła w ciemnościach nocy, nie mógł jej się przeto pytać o wyjaśnienie słów.

Rufinus osłabiony szedł a raczej włókł się długo do domu, w którym Irena mieszkała. Nie łatwo też było zbudzić odźwiernego. Gdy tenże nakoniec nieco drzwi odchylił i człowieka w czerwonej czapce zobaczył, zaraz znów drzwi przytknął i przez szczelinę zapytał, kim jest i po co przychodzi. Rufinus nie chcąc córki swej narazić na wielkie wzruszenie, jakiego by doznała, gdyby się nagle o uwolnieniu jego dowiedziała, powiedział, że jest posłańcem, który ma ważną wiadomość dla Ireny.

— Matrona Irena — odpowiedział na to odźwierny — została po południu wzięta przez cesarskich oprawców z domu i zawiedziona do więzienia.

— A moja córka? — zawołał z trwogą Rufinus.

— Co ja tam wiem o twojej córce! — odrzekł mrukliwie odźwierny i przytrzasnął drzwi, gniewny na późnego przybysza, że mu w odpoczynku przeszkodził.

Rufinus zaczął się domyślać, że Herakliusz ze zemsty teraz także córkę jego wraz z Ireną do więzienia wrzucić rozkazał. Wydawało mu się to całkiem prawdopodobne. Czyż mógł wątpić, że je obie jutro na śmierć skazą, skoro się ucieczka jego wykryje?

Jak on sobie to wyobrażał błogosławioną radość, gdy się z córką zobaczą! Jakże serce jego płonęło z pragnienia, aby córkę uścisnąć! Jeszcze chwila, a skończą się doświadczenia i wszelki smutek. Bóg, który go tak cudownym sposobem uratował, z pewnością już też przygotował drogę, po której bieżąc, ujdzie mocy nie-

przyjaciół. A teraz ten nagły a straszny zawód! Czyżby na to tylko odzyskał wolność, ażeby być świadkiem krwawej śmierci swojego dziecka? Ach, o ileż chętniej byłby wolał sam umrzeć!

Długą chwilę stał w myślał pogrążony, nakoniec postanowił powrócić do bazyliki i oddać się w ręce stróżów. Życzył sobie jak najspieszszej śmierci.

Niewypowiedziana gorzkość nappełniła mu serce a noc ponura zaległa mu w duszy. W tej chwili przystąpiła do niego pokusa i zaczęła mu szeptać do ucha:

— Widzisz, że wszystko jest tylko przypadkiem! Los ślepy igra ze szczęściem ludzi. A ty głupcze wierzyłeś, że Bóg chrześcian rządzi światem!...

Była to pierwsza pokusa od czasu, jak Rufinus chrzest św. przyjął. Wszystkie cierpienia i poniewierania dni ubiegłych zniósł z stałością, bez skargi, w przeświadczeniu, że jako chrześcianin cierpi dla swojego Boga; nekany chorobą dziękował Bogu, że dni doświadczenia skrócić i niebawem z Sofronią w wiecznej szczęśliwości połączyć go zamierza. Lecz ta zmiana między najśłodsza nadzieją a strasznym zawodem, której cielesnie mocno zmizerowany Rufin zgoła nie przypuszczał, wstrząsnęła jego całą duszą.

Pokusie jednak nie uległ, jak wówczas w więzieniu mamertyńskim. Dziś był synem Kościoła, wyznawcą zahartowanym przez cierpienia, ponieśione dla wiary i jako taki posiadał za łaską Bożą dosyć siły, ażeby pokusę przezwyciężyć.

Podnosząc załzawione oko ku niebu okrytemu gwiazdami, rzekł:

— Nie wódź nas na pokuszenie!

I jak przez Boga posłana, nadeszła w tej chwili Rustyka. Wielce szczęśliwa, że jej się udało prefekta uratować, spieszyła się bardzo, aby też być uczestniczką radością, gdy ojciec z córką się zobaczą. Wiadomość, że Irena i Walerya uwięzione zostały, przejęła ją boleścią, lecz dzielna niewiasta nie pozwoliła się nią przygnębić.

Kto wie, czy Waleryą też uwięziono? Owszem, zdaje się rzeczą prawdopodobną, iż to nie nastąpiło, bo sądząc z pory, w której się Rustyka z nią spotkała, przypuścić można, że Waleryi nie było w domu, gdy oprawcy po Irenę przybyli. Ta myśl dodała jej odwagi. Nakłoniła przeto Rufina, aby przenocował w jej domu, a nazajutrz rychło rano zacznie szukać córki.

Rufinus, ubezwładniony niemal boleścią, pozwolił się Rustyce prowadzić. Oboje przeszli przez most na Tybrze i wolno kroczyli ciasnymi uliczkami zatybrzańskimi. Rufinus od czasu do czasu musiał usiąść na kamieniach, aby wypocząć i siły do dalszej drogi zebrać. Rustyka krzepiła go winem. Lecz choć ten trunek podnosił siły jego ciała, duch jego był ciągle pogrążony w znękanii, z którego nie zdołały go podnieść słowa pociechy Rustyki.

— Gdybym był umarł — wzdychał Rufinus — zanim tego straszego zawodu doznałem. Byłem przygotowany na śmierć; zdany na wolę Boską, czekałem na koniec mego żywota. A teraz mam żyć, gdy córka moja musi umrzeć; być wolnym, gdy ona w więzieniu! Biedna, biedna dziecino moja. Rustyko, przepowiadaj mi „Ojciec nasz”, bo mój duch w ciemnościach. Módl się...

mów, mianowicie trzecią prośbę! Tak: twoja wola niech się stanie, twoja wola niech się stanie!...

Niemal o tym samym czasie — północ już była blisko — wchodził pewien człowiek po schodach do pałacu cesarskiego. Był odziany szerokim płaszczem, pod którym widocznie niósł jakiś przedmiot. Pomimo późnej godziny wszystkie warty pałacowe przepuściły go bez przeszkody i bez pytania aż do komnaty cesarskiej.

Maksencyusz oczekiwał go już długo z niecierpliwością.

Obok cesarza stał dziwnie odziany człowiek o wschodnim typie twarzy, z czapką złotem przetykaną na czarnych kędzierzawych włosach, spadających mu aż na plecy.

— Przynosisz, co potrzebne? — zapytał Maksencyusz żywo.

— Jeszcze mleka nie ssąło — odpowiedział przybysz i z pod płaszcza wydobyl nowo narodzone dziecko płci męskiej i położył je na stole.

Cesarz uśmiechnął się, spojrzawszy na dziecko a potem zwrócił się do maga ze Wschodu ze słowami:

— Zabierzmy się tedy do ofiary.

W godzinę później ten sam człowiek w szerokim płaszczu opuścił pałac cesarski i szybkim krokiem udał się ku Tybrowi.

Maksencyusz zaś położył się spokojnie spać, pozbywsw się troski. Z wnętrzości zabitego okrutnie chłopca przepowiedział mu mag, że odniesie wspaniały tryumf nad Konstantynem.

Nazajutrz rano znaleziono na odległej uliczce, niedaleko brzegu Tybru, ciało mężczyzny, za-

kłutego nożami, a obok niego trupa zamordowanej dziewczyny nowonarodzonej. Tajemnicza ta zbrodnia podwójna wzburzyła całą część miasta. Pretor wezwał ludzi w sąsiedztwie mieszkających przed siebie i dowiedział się, że w nocy słyszeli wrzawę bójki i słowa niezrozumiałe dla nich: „Moje dziecko zabić... całą nagrodę dostać.” Niektórzy twierdzili, że wśród wrzawy wymieniano nazwisko cesarza. Pretor usłyszawszy to, zaprzestał dochodzeń dalszych.

X.

Przed bramami.

Tymczasem podług rozkazu cesarza Herakliusz polecił w kancelaryi przygotować dużo plakatów z programem uroczystości nadchodzących. Rozlepiono je przy wschodach pałacowych, na słupach świątyń i łuków tryumfalnych i na rogach ulic. Jeszcze wprawdzie tydzień czasu było do uroczystości, lecz już cały Rzym, bogaci i biedni, wielcy i mali, zaczęli się niemi zajmować. Przed każdym plakatem stawali ludzie gromadami; jeden czytał głośno, inni słuchali. Gdzie się tylko przyszło, w łaźniach, na rynku, u kupców, wszędzie słyszeć było można rozmowy o walce gladiatorów, o igrzyskach zwierząt, wyścigach i teatrze. Każdy wspominał miana sławnych aktorów i siłaczy; zakładano się o wielkie sumy, kto w cyrku zwycięży. Chociaż coraz pewniejsze nadchodziły wieści, że Konstantyn w pospiesznych marszach do Rzymu się zbliża, nikt nie dbał o to. Nawet gdy Rufus pobite legie do bram Rzymu przywiódłszy, tutaj zajmował stano-

wiska, do stanowczej bitwy się gotując, Rzymianie myśleli, mówili i marzyli o nadchodzących uroczystościach.

Całe miasto naśladowało w istocie tylko lekomyślność cesarza. Maksencjusz bowiem, przepowiedniami wróżbitów i kapłanów upewniony w nadziei zwycięstwa, odrzucił plan wodza, ażeby między miastem a Tybrem czekać na przeciwnika i szeroką a wartką rzekę uczynić niejako naturalną obroną. Natomiast rozkazał rozbić obóz i oszańcować go po tamtej stronie rzeki i tylko na usilne nastawanie wodzów pozwolił powyżej mostu milwyjskiego zbudować most z łodzi. Na Palatynie, w pałacach cesarskich, ucztę następowały po ucztach; Maksencjusz biesiadował z oficerami i w tem największą przyjemność upatrywał, gdy gości swoich jak najbardziej upić potrafił. Od czasu do czasu widziano go otoczonego liczną świtą, jak ulicami miasta do obozu wyjeżdżał, aby brać udział w igrzyskach wojskowych. Nigdy przytem nie zapomniał zarzucić sobie skóry lwiej na ramiona. Gdy nadeszła wieść, iż Konstantyn za dzień lub dwa stanie u bram Rzymu, a okręty jego już dopłynęły do Centumcellae (dzisiejszej Civitavecchii), ceearz zmieszał się nieco i na chwilę strwożył. Lecz wspomniawszy na wyrocznię mianowicie z wnętrzości zamordowanego dziecka daną, porzucił czarne myśli i był pewnym zwycięstwa.

Cóż dziwnego, że przeważna część Rzymian naśladowała cesarza, żyjąc bez troski o jutro! Od dawna już przywykli do tego, że wojsko rozstrzygało o ich losie. Przytem tysiące obywateli było takich, którzy w razie politycznej zmia-

ny niczego nie mogli stracić; czy zwycięży Maksencyusz, czy Konstantyn, zawsze będą mieli w najbliższym czasie wspaniałe uroczystości i otrzymają podarunki, od tryumfu nieodłączne.

Nikt jednak nie oburzał się na Maksencyusza więcej od Symacha, chociaż nikt tak w klęskę Konstantyna nie wierzył, jak on. Bogowie pozwolili dawniej, że Hannibal aż pod bramy Rzymu przybył, że Brennus miasto zdobył, lecz potem stanęli w obronie Rzymu i zniszczyli potęgę nieprzyjaciela; tak też stanie się teraz. Symachus wierzył w to tak mocno, jak w samych bogów. Lecz Rzym dał ostatnią kroplę krwi w walce przeciwko Hannibalowi i Brennusowi; co natomiast uczynił Maksencyusz, aby ołtarze i ogniska bronić przeciwko wrogowi bogów? Gdybyż przynajmniej, zamiast nadzieję swoją na czaro-dziejstwach i innych grzesznych zabobonach zakładać, złożył był ofiary bogini Zwycięstwa i innym bogom! Symachus zaczął od czasu rozmowy z Laktancyuszem wierzyć, iż bogowie używają Konstantyna za narzędzie do uwolnienia Rzymu od tyrana, ażeby następnie przez innego, wierniejszego bogom męża zniszczyć i zwyciężyć. Któżby to mógł być między senatorami? Napróżno rozpatrywał się Symachus, u tego znajdował tę, u innego owaką przeszkodę. Czyżby on sam nie mógł być upatrzony przez bogów? Co do starożytności rodu mało senatorów mierzyć się z nim może; w bogactwie wszystkich przenosi; co zaś do zalet duszy i serca, zaiste Symachus potrafiłby kierować państwem mądrze i energicznie. Cóż dziwnego zatem, że myśli o cesarskiej koronie od siebie nie

odsunął? Skoroby go bogowie do tego powołali, jak on to zewnętrznych i wewnętrznych nieprzyjaciół Rzymu zniszczy, jak nowym blaskiem ozdobi świątynie bogów, jak podniesie naród rzymski do dawniejszej zacności! Jak drugi Trajan będzie żył tylko dla szczęścia swojego narodu!

Temi myślami zajęty spotkał dnia jednego na rynku starego swojego nauczyciela Laktancyusza i wskazując na złotem błyszczącą świątynię Jowisza i zamek na Kapitolu, zawołał:

— Możeszli sobie wyobrazić, ażeby z tej świątyni i z tego zamku kiedyś ani śladu nie pozostało, albo, co gorsza, że zamiast Jowisza będą tam czcili ukrzyżowanego boga chrześcian, zaś na gruzach zamku barbarzyńcy z północy rozepną swoje namioty? Tak samo jest rzeczą niemożliwą, aby Konstantyn stał się panem Rzymu! Może dojść aż do bram miasta, lecz wtedy nastąpi zwrot!

Gdy Laktancyusz pierwszy raz z Symachem się spotkał, nie powiedział mu, że jest chrześcianinem. Teraz jednak postanowił na pytanie jasno i otwarcie odpowiedzieć. Rzekł przeto:

— Pozwól, że i ja ci zadam pytanie, szlachetny Symachu: A gdy Konstantyn Rzym zdobędzie, czy uznasz wtedy za rzecz możliwą, że Bóg chrześcian zrzuci twoich bogów z tronów a na gruzach ich świątyń wniesie dla siebie ołtarze? Ja nie tylko to za możliwe uważam, lecz jestem zupełnie przekonany, że się tak stanie.

— Widzę — odpowiedział z uśmiechem senator — że poetyczny żar twojej wyobraźni nie ochłodził na stare lata.

— Nie, nie, szlachetny Symachu — odrzekł Laktancyusz — nie żartuję ani nie marzę; jak prawda zwycięża nieprawdę, tak Chrystus zwycięży wszystkich twoich fałszywych bożków.

— Ha, jak mam pojmować twoje słowa?

— Zbadałem nauki wszystkich mędrców świata — rzekł na to z powagą Laktancyusz — a czego oni mnie nauczili, było tylko mdłym światelkiem, tłacem w latarce. Wtem poznałem naukę chrześcijańską i oto zeszło mi słońce prawdy a to słońce zwycięży mroki nocy, zalegające dziś jeszcze cały świat, nie wyłączając Rzymu.

— Nie zazdroszczę ci słońca owego żyda, którego obłęd ludzi na wschodzie bogiem uczynił — odpowiedział z gorzką ironią senator — ja nad ukrzyżowanego zbrodniarza przekładam nieśmiertelne bogi, które Rzym wielkim uczyniły.

— Większym będzie pod panowaniem krzyża — odrzekł Laktancyusz. — Władając nie ciałami, lecz duchami i sercami wyleje Rzym światło prawdy na cały okrąg ziemski a narody wszystkich języków złączy w jednym królestwie Bożem.

— Rzym u stóp ukrzyżowanego z Nazaretu! — zawołał Symachus. — Żałuję, że mąż, którego ducha nigdyś podziwiałem, mógł się tak zbłąkać w swych myślach. Ponieważ zaś — dodał — nienawidzę wszystkiego, co nosi miano chrześcijańskie, przeto odtąd nie będziesz mnie nagabywał twoją obecnością.

To powiedziawszy odwrócił się od chrześcijanina i udał się w stronę Kapitolu.

Do głębi duszy zasmucona i jedynie myślą o chorym ojcu zajęta, zwróciła się Walerya po spotkaniu z Rustyką ku domowi. W ciężkiem

nieszczęściu serce ludzkie mniej się skłania ku nadziei, aniżeli ku trwodze, że się stanie coś najgorszego i najsmutniejszego. Dlatego zdawało jej się, że ojciec już umarł albo też, że lada moment ducha wyzionie. Uważała, że sobie życzyć należy, ażeby Rustyka przyniosła jej wiadomość o śmierci, w takim razie bowiem skończyłyby się jego cierpienia.

Doszedłszy przeto aż do miejsca, gdzie droga zwracała się ku Awentynowi, gdzie Irena mieszkała, stanęła i chwilę rozważała, potem rzekła sama do siebie:

— Jutro będę miała męczennika do pogrzebania; pójdę przygotować mu grób przy grobie matki.

Zaraz też udała się ulicą, wiodącą ku bramie apijskiej i ku katakumbom. W drodze spotkała człowieka, który w jednym domu z nią na Awentynie mieszkał. Skorzystała z tej sposobności, ażeby Irenie posłać wiadomość, że poszła przygotować grób ojcu; ma być spokojną i nie trwożyć się, gdy Walerya do wieczora nie wróci. Nie domyślała się biedna, że właśnie w tej chwili cesarscy oprawcy matczyną jej opiekunkę z domu do więzienia brali.

Jakkolwiek więzienie, do którego Irenę wtrącono, było okropne, biedna niewiasta nie wiele na to zważała. Serce jej napelnione było niezmiernym żalem. Tak wiele już przecierpiała, lecz ostatnie doświadczenia, które tak niespodzianie niebo jej zesłało, zdawały jej się najcięższe. Ileż to razy towarzysząc w pobożnym podziwieniu męczennikom na miejsce męki lub grzebiąc ich ciała, pragnęła w świętej tęsknocie, aby dla Chry-

stusa również umrzeć mogła. A teraz, gdy niebo podawało jej palmę męczeństwa, ręka jej drżała, czy ją podjąć.

— Miłosierny Boże — jęczała Irena — pozwól mi jeszcze raz zobaczyć mojego syna, potem umrę chętnie. Czyż uratowałeś go z tylu niebezpieczeństw tylko na to, aby wszystkich swoich najdroższych, nawet matkę, w grobie zastał, gdy wróci?... Niech się dzieje wola Twoja, o Panie! Korzę się przed Tobą i podaję głowę pod nóż ofiarny; ostatniem westchnieniem mojem będzie modlitwa za moje jedyne, drogie dziecko, za mojego Kandyda. A gdy on wśród wrzawy tryumfu zawoła na swoją matkę, aby tę dobrą mateczkę, która go tak kochała, wziąć w ramiona i gdy mu wtedy zamiast mnie, tylko krwawą moją przez łwa podartą szatę pokażą, mówiąc: „Oto suknia twojej matki”, wtedy, mój Boże, pozwól mi być blisko niego, abym duszę jego pocieszyła i ból jego złagodziła. Bądź zdrow, mój synu, życie mego życia. Bóg chce, abyśmy się dopiero w niebie ujrzeli; wychwalać razem ze mną najświętszą jego wolę! Błogosławieństwo twojej starej matki towarzyszy ci, mój synu, przez całe życie, a gdy raz Pan do Siebie cię powoła, o, wtedy mateczka twoja będzie cię oczekiwała u bram niebieskich.

Irena myślała także o Waleryi i to pomnażało jeszcze jej smutek. Z dnia na dzień stawało jej się to dziewczę droższem z jej wielką boleścią i stałością, to dziecko męczenniczki i wyznawcy, które w najboleśniejsem męczeństwie matkę i ojca niebu na ofiarę złożyło. W codziennem pożyciu wytworzyła się między nimi najczulsza

przyjaźń. Walerya znalazła w Irenie matkę, a Irena nazywała Waleryę córką. Niepostrzeżenie też powstało w duszy Ireny słodkie życzenie, a im lepiej Waleryę poznawała, tem bliżej stawiała ją w myśli przy synu swoim; to by było niejako dopełnieniem szczęścia, jakiego sobie dla syna życzyła. Tymczasem teraz nie mogła Waleryi nawet pożegnać. Biedne dziewczę traciło równocześnie z ojcem także przyjaciółkę, zastępującą jej matkę.

Całą noc spędziła Irena na modlitwie i dopiero nad ranem uspokoiła się i poddała wyrokowi Boskim; ofiarą była spełniona: Bóg jedynie wiedział z jak zakrwawionem sercem. W niewypowiedzianie gorących modłach ofiarowała Irena siebie i swoje męczeństwo za syna, prosząc niebo o błogosławieństwo dla niego.

Walerya tymczasem poł godziny drogą apijską idąc, doszła do cmentarza Kaliksta i niepostrzeżona weszła do podziemi tajnem wejściem, którem po zasypaniu głównego wejścia przez żołnierzy, jedynie wejść można było.

Od młodości zapoznana z podziemnymi gangami miasta umarłych, znalazła niebawem grabarzy, zajętych przygotowywaniem wspólnego grobu dla tych, którzy nazajutrz w cyrku zginąć mieli. Po latach względnego pokoju, były to pierwsze ofiary, których miało dostarczyć przesładowanie do katakumb; któż mógł przewidzieć, ile ofiar poświęci okrucieństwo tyrańca?

Na prośbę Waleryi udało się kilku robotników z nią, aby przy grobie Sofronii wykucć grób dla Rufina.

odważniejsi kroczyli naprzód z dymiącemi pochodniami, sypiąc kawałeczki papieru na ziemię.

Po pewnym czasie skoro przez sklepione pieczary piaskowe przeszli, zobaczyli regularnie i podług pewnego planu założone ulice, których ściany były prostopadłe a w nich od dołu do posadzki płyty grobowe z białego marmuru lub czerwonej cegły. Wnet poznali, że teraz dopiero doszli do właściwego cmentarza chrześcijańskiego.

Im dalej się posuwali, tem większy strach ogarniał Sabina. Trzymając się szaty tego, który przed nim postępował, nie śmiał spoglądać ani na prawo, ani na lewo. Lecz właśnie dlatego, że widział to, co go przestraszało, tylko jak przez mgłę, wyobrażnia jego tem bardziej się podniecała. W gankach ciemnych, otwierających jakoby paszcze po obu stronach, widział żarzące się oczy i powiewne postacie; to duchy zmarłych, poruszające się w powietrzu blisko grobów, gdzie ciała ich spoczywają. Przy niektórych grobach spadły płyty a w jamach było można widzieć szkielety ludzkie. Sabinus zamknął oczy, lecz ponieważ kości już widział, stały mu ciągle przed oczami duszy. Coraz silniej przeklinał w sercu chwilę, w której się zgodził na to straszliwe miejsce przybyć. Naraz przyszło mu na myśl, że duchy zmarłych chrześcijan mogłyby się łatwo mścić na nim, jako na synu człowieka, który będąc chrześcijaninem, stał się odstępcą. Mimowoli dotknął się karku swego, jakby badając, czy jeszcze na nim głowa jest.

Lecz i towarzysze jego zaczęli coraz bardziej odwagę tracić. Nie z samej ciekawości stawali od czasu do czasu, aby przeczytać jaki na-

pis lub poprawić pochodni, których dym szczypiący napełniał podziemne ganki.

Od czasu do czasu spostrzegano na ścianach grobowców dziwne malowidła. Tu widziano potwora morskiego, któremu rzucano z okrętu człowieka w paszczę; naprzeciwnie ten sam potwór wydawał połkniętego na ląd. Była to historia Jonasza, lecz poganie nie rozumiejąc jej, pytali się, czy te malowidła miały przedstawiać Ariona? Tam znów widziano męża, stojącego z wyciągniętymi rękami pomiędzy lwami; a na innem miejscu stał mąż między siedmiu koszami, napełnionymi chlebami. Poganie domyślali się, że pierwszy był niezawodnie gladyatorem, drugi zaś piekarzem. W rzeczywistości przedstawiały dwa te malowidła Daniela w jaskini lwów i cudowne pomnożenie chleba dla rzeszy przez Pana Jezusa. Na innem malowidle można było widzieć męża, który z gołym mieczem stał nad związanym chłopcem. Była to ofiara Abrahama, lecz poganie w obrazie tym upatrywali potwierdzenie pogłoski, głoszącej, że chrześcijanie jadają ciało zamordowanych dzieci.

Lecz tymczasem znowu odwaga zaczęła wracać uczestnikom tej wyprawy. Umarli nie wstawali jakoś z grobów; niewidzialna ręka koścista nie skręciła nikomu karku; przytem ulice katakumb stawały się coraz szersze i nie było potrzeby, aby jeden szedł za drugim, lecz mogli iść wygodnie jeden obok drugiego. Zaczęli sobie tedy znowu rozmawiać z cicha.

Wtem ci, którzy szli na czele pochodu, cofnęli się gwałtownie wstecz: w drzwiach jednego z grobowców stał duch, oświecony światłem po-

chodni, ostro się rysujący na tle wielkiej ciemności, która była za nim. Jakby do ziemi przyrośli stanęli wszyscy, wlepiając w zjawisko oczy pełne grozy i trwogi.

Był to duch dziewczicy. Zasłona spadająca z głowy, otulała blade, bardzo poważne, lecz i po śmierci jeszcze piękne oblicze. Wielkie czarne oczy spoglądały zrazu pytająco na przybyszów; potem jednak zabłysnął w nich ponury gniew i zaciemnił jasną twarz dziewczicy: milcząc podniosła rękę i wskazała rozkazująco, aby sobie poszli ci, którzy spokój umarłych przerywać przybyli.

Rozkazu tego posłuchano zaraz i chętnie: każdy uchodził, jak mógł najprędzej, popychając idących przed sobą. Każdy chciał być pierwszy u wyjścia a ostatni czuli, iż duch jest tuż za nimi. Wszyscy odetchnęli dopiero wtedy lżej, gdy przybyli do pieczar piaskowych; przynajmniej byli pewni, że nikt z umarłych nie wyciągnął ręki ku nim ani nie ścisnął ich za gardło. Lecz nawet i wtedy, gdy za śladem kawałeczków papieru, aż do wyjścia i na drogę apijską się dostali, jeszcze nie poważyli się głośno rozmawiać, a tem mniej się śmiać.

Walerya była owym duchem, który zuchwalej gromadzie dalszą drogę zagrodził. Gdy grabarze grób dla jej ojca ukończyli, pozostała jeszcze sama w grobowcu i pochyłona nad płytą, pod którą zwłoki matki spoczywały, modliła się, prosząc Boga o dodanie jej siły, aby mogła przetrwać bolesne chwile, jakie jej niebo zsyłało.

Niedługo jeszcze się modliła, gdy wtem usłyszała szelest. Myślała, że to grabarze kują niedaleko grób. Wtedy przyszło jej na myśl, aby

na grobie ojca kazać umieścić ten sam napis, który ojciec swego czasu na grobowcu małżonki wyrył. Nie tracąc czasu, postanowiła zaraz to grabarzom polecić. Właśnie zamierzała wyjść z komory grobowej, gdy nagle gromadę przybyszów przed sobą zobaczyła. W pierwszej chwili stanęła jak wryta i nie była zdolna słowa powiedzieć. Wnet jednak poznawszy Sabina, oburzyła się na zuchwałość, która nawet ciszy grobów uszanować nie umie i wymownym ruchem ręki wypędziła przybyszów z poświęconego miejsca.

Gdy Sabinus z towarzyszami do miasta powrócił, usłyszał, że pod wieczór legiony Konstantyna stanęły w pobliżu Rzymu.

Noc spuszczała się na ziemię, gdy Walerya w drogę ku domowi się udała. Krocząc pustą ulicą, myślała ciągle o ojcu. Czy Rustyce się udało znaleźć go? Czy jeszcze był przy życiu? Ach, gdyby go Walerya choć raz jeden mogła zobaczyć, do niego przemówić i błogosławieństwo ojcowskie otrzymać. Spojrzała w niebo. Miło, jak posłaniec niebieski, spoglądała na nią gwiazda wieczorna i jak matka dzieci swoje do snu przy piersi swojej tuli, tak w duszy Waleryi spuściła miła cisza wieczorna spokój, ciszę i poddanie się wyrokowi Bożemu.

Któż przeto zdoła opisać boleść Walezyi, gdy przybywszy do mieszkania Ireny na Awentynie, od współmieszkańców o uwięzieniu swojej drugiej matki się dowiedziała.

— Mój Boże — westchnęła, płacząc rzewnie — mój Boże, czy już wszelakie nieszczęście musi spaść na mnie? I ostatnia kropla miodu, która

mi kielich życiowy osłodzić miała, zamieniła się w przykrą żółć.

Od śmierci Sofronii Walerya często przypominała sobie ostatnią rozmowę z matką; przyrównując samą siebie do winogrodu, znajdowała w tem siłę do przebycia bolesnych doświadczeń. I teraz przyszło jej na myśl owo podobieństwo, lecz to wspomnienie nie zdołało jej pocieszyć.

— Ach, Panie — narzekała — za ostro tnie nóż wątlą latorośl; przywiązana za mocno do krzyża, musi się złamać! Dlaczegoż nie było mnie w domu, abym razem z matką mogła była iść do więzienia i na śmierć! Zaledwie jeden grób się zamknął, już drugi przygotowany; któżby się był mógł spodzierać, że jeszcze trzeci kopać będę musiała!

Wtem przypomniały jej się słowa Psalmisty i razem z nim rzekła: Twoje strzały trafiły mnie; ciężko spoczywa na mnie twoja prawica; Panie, wszystko moje cierpienie jest przed tobą a moje westchnienia nie pozostały dla ciebie tajnemi; nie opuść mnie, o Panie, Boże mój i nie odwracaj się odemnie!

Te święte słowa spuściły nieco ukojenia do zranionego serca Waleryi; zwolna znów odzyskała spokój i rozwagę.

Przedewszystkiem pilno jej było dowiedzieć się, co się z ojcem stało; zabrała się przeto i mimo nocnej pory udała się do mieszkania Rustyki.

Znając dobrze drogę, spieszyła wąskimi, ci chemi uliczkami Zatybrza, które wówczas jeszcze więcej malowniczo wyglądały, aniżeli dzisiaj. Tu widać było na pół rozwalony łuk mostu, tam

ruiny świątyni. Z wysokości pobliskiego wzgórza Janikułskiego wychylały się cyprysy ku niebu; księżyc rzucał blade światło na ponure, zapadłe mury. Lecz młoda dziewczica, zajęta całkiem myślą o ojcu, nie uczuwała grozy na samotnej wędrownicy nocnej.

Walerya zastała w domu tylko grabarza Mincjusza i jego ociemniałą matkę; Rustyka jeszcze nie powróciła a staruszka napróżno się starała uspokoić i uśpić małego synka, który wyrывał się do piersi matczynej. Licha lampka oświetlała skąpo skromne mieszkanie i rzucała światło na wąskie, długie płyty marmurowe, przeznaczone do zamykania grobów. Ogień, płonący na kominku, rozszerzał przyjemne ciepło w izbie; na żelaznym trójnogu gotowała się woda w kociołku.

Mincyusz opowiedział Waleryi, jaki plan żona jego ułożyła, ażeby prefektowi nie tylko w cierpieniach ulżyć, ale nawet z mocy nieprzyjaciół go wybawić.

— Ojciec wolny? Ach, Boże, czyż to podobna? Czy mogę mieć nadzieję?

Mincyusz powtórzył jej jeszcze raz cały plan z wszelkimi szczegółami.

— Ach, jakieby to było szczęście — zawołała Walerya — pielegnować ojca w ciszy chaty zatybrzańskej! Prawie za wielkie szczęście po cierpieniach ostatnich tygodni!

Potem opanowało ją wielkie wzruszenie; za każdym szmerem z ulicy porywała się ku drzwiom, aby zobaczyć, czy Rustyka wraca i czy ojca prowadzi. Nakoniec staruszka zwróciła jej uwagę, że z powodu osłabienia Rufinus nie po-

winien być wystawiony na wzruszenie, jakieby go z pewnością ogarnęło, gdyby nagle córkę zobaczył. Walerya zadała sobie przeto gwałt i obie zastanawiały się, jakby wszystko urządzić, gdy śmiały plan Rustyki za pomocą Boską się uda.

Lecz godzina po godzinie upływała, już minęła północ a Rustyki nie było. W izbie zapanała cisza: mały synek usnął, starą babkę także sen znużył, Mincyusz i Walerya siedzieli, pogrążeni w myślach, pełni oczekiwania.

Nakoniec dały się słyszeć na ulicy kroki; Walerya skoczyła ku drzwiom i na pierwszy rzut oka poznała mimo przebrania swego ojca. Byłaby najchętniej zakrzyknęła z radości, lecz przewzięła się, przycisnęła obie ręce na usta i tylko niewypowiedziane wdzięczny wzrok, jaki posłała ku niebu, był znakiem radości i szczęścia jej serca. Podczas gdy Mincyusz i Rustyka zmęczonemu na śmierć Rufinowi na schody wejść pomagali, świeciła Walerya z góry lampką, ręką twarz sobie zastawiając; potem podała lampkę staruszce a sama cofnęła się w głąb izby.

Grabarz i żona jego położyli prefekta na prędko przygotowane łoże; Rustyka zmięszała wina z ciepłą wodą i podała choremu, trzęsącemu się z zimna. Walerya niespostrzeżona przyglądała się temu wszystkiemu a łzy litości spływały jej po policzkach. Jakże trudno jej było nie dać się poznać!

— Uratowałaś mi życie, dobra niewiasto — odezwał się prefekt — lecz cóż mi po niem, skoro moje dziecko, moje wszystko, w ręce tyrana się dostało i na śmierć ma być wydane?

— O nie, szlachetny panie — zawołała niewidoma matka — twoja córka była tu co dopiero; Mincyusz pójdzie zaraz po nią.

— Ona tu była? — zawołał Rufinus — a więc nie została uwięziona razem z Ireną? Ach, spieszcie się i przyprowadźcie mi ją czemprędzej. Tak, teraz mi dobrze; wszystkie cierpienia, wszystka nędza zostaną zapomniane, skoro zobaczę słodkie moje dziecko.

— Myśmy córkę twoją tu w pobliżu, u pewnej rodziny chrześcijańskiej umieścili — odezwał się Mincyusz — lecz czy widok jej przy wielkiej twojej słabości nie mógłby ci zaszkodzić?

— Czyż może zaszkodzić łaknącej i usychającej roślinie, gdy niebo nakoniec orzeźwiający deszcz na nią spuści? Lecz podnieście mnie, zanim córka moja przyjdzie, aby się nie przeleżała z powodu mojego stanu.

— Tato, oto jestem! — zawołała Walerya, nie mogąc dłużej wytrzymać i zaczęła mu ręce całować.

Rufinus pociągnął dziecko swoje ku sobie i wziął ją w ramiona; oboje trzymali się długo w objęciach, szczęśliwi nad wyraz, że znowu są razem.

O tym samym czasie przewracał się Maksencyusz na cesarskiem łożu, trapiiony niespokojnymi snami. Śniło mu się, że jest w cyrku; wszystkie miejsca zajęte przez widzów, oczekujących początku widowiska. Właśnie miał cesarz dać znak, gdy postać olbrzymia i wielkiej powagi stanęła przed nim i rozkazała mu z majestatem Boga, wziąć na plecy obelisk, w środku areny stojący. Maksencyusz musiał być posłuszny. Ogromny

ciężar przygniatał go wielce; wzdychając, dysząc, cały w pocie włókł się apijską drogą do miasta. Co chwila miał upaść, lecz groźny wzrok olbrzyma zmuszał go do dalszej drogi. Nakoniec stanęli w stadyonie czyli szrankach wyścigowych Domicyana. Tam na tronie siedziała dziewczica z palmową gałązką w ręku; u jej stóp spoczywał śnieżnobiały baranek. Przed nią miał Maksencyusz postawić obelisk, lecz to było rzeczą niezmiernie trudną. Gdy mu się to nakoniec po wielkich mozolach udało, nadleciał biały gołąb z gałązką oliwną w dzióbie i usiadł na szczycie obelisku. Wtem obudził się cesarz.

— Na Jowisza — mruknął, głęboko oddychając i pot z czoła ścierając — to był okropny i ciężki sen! Ten okrutnik, który mnie do niewolniczej roboty zmusił, kto on? A kimże jest dziewczica, przed którą obelisk wznieść musiałem? Muszę jutro zapytać się chaldejskich wróżbitów, co sen ten ma znaczyć.

Wróżbici, nazajutrz rychło rano zapytani, nie umieli snu wyjaśnić. Jakżeż też mogli się domyślić, że półtora tysiąca lat później papież Innocenty X obelisk Maksencyusza z gruzów cyrku odkopawszy, postawić każe przed kościołem św. Agnieszki a na szczycie umieści swój herb, gołąbka z gałązką oliwną?

XI.

W przeddzień bitwy.

Rufus, naczelny wódz cesarski, starał się według polecenia, które dał mu Maksencyusz, powstrzymać jak najdłużej pochód Konstantyna na

Rzym, aby zyskać na czasie, aż nadciągną legiony z południowych prowincyi. Obawiał się stoczenia otwartej bitwy, ponieważ wojsko jego znacznie upadło na duchu. Jednakże ustępować musiał i po słabej już tylko obronie wawozów apenińskich musiał cofnąć się drogą flaminijską do Rzymu, zostawiając Florencyą nieprzyjacielowi, który szedł za nim ciągle w trop i ścigał go wytrwale.

Konstantyn zaś nie zostawiał swoim żołnierzom ani chwili spoczynku, ależ ich samych napędzała jakby nadludzka siła i wytrwałość, im bardziej zbliżali się do celu swych nadziei i życzeń. Ich odwagę podniecała radość i uwielbienie, z którymi przyjmowała ich ludność miast i wsi jako wybawicieli z pod nieznosnego jarzma tyrana. Maksencjusz kazał bowiem z bezwzględą surowością pościągać do Rzymu wszystką ludność zdatną do broni jako też wszystkie zapasy bydła i zboża z okolicy.

W ten sposób udało się Konstantyna przedniej straży dotrzeć na 2 dni przed uroczystem świętem swego przeciwnika aż do wili „pod kurami” po nieustrudzonych marszach. Wila ta leżała o 1½ mili od bram miasta. Tu postanowił Konstantyn zatrzymać się, odczekać nadejścia wojsk wszystkich a rankiem następnego dnia, 28 października, właśnie w rocznicę wstąpienia na tron Maksencjusza, stoczyć walną bitwę, która miała rozstrzygnąć o panowaniu.

Wila „pod kurami” należała niegdyś do Liwii, małżonki Augusta cesarza, a nazwę pod kurami (ad gallinas) otrzymała od podania, według którego biała kura, którą był właśnie porwał o-

rzeł, spuściła na łono cesarzowej gałązkę wawrzynową.

Gordyan, pogański kapłan, sprawujący ofiary, nie zaniedbał zwrócić Konstantynowi uwagi na znaczenie tej okoliczności, mówiąc, że jest to przepowiednią bliskiego zwycięstwa.

Kandydus, który wraz z cesarzem przybył do wili, pragnął gorąco kochanej matce posłać jakąśkolwiek wiadomość o sobie. Ale jakżeby to przeprowadzić, kiedy cały obszar z tamtej strony Tybru obsadzony był wojskami nieprzyjacielskimi? Pozostawała jedna tylko możliwość, a mianowicie wysłać jakiegoś wieśniaka okolicznego z listem do matki do Watykanu do kaplicy Anakleta, ówczesnego kościoła św. Piotra, gdzie chrześcijanie schodzili się i spotykali. Tamto można było list oddać, tam też mógł się najpewniej dowiedzieć, jak się powodzi matce jego, matronie Irenie, wdowie po Kastulu. Późnym wieczorem wrócił posłaniec z odpowiedzią, że matka zdrowa a że list co prędzej wręczonym jej będzie. Wieść bowiem o jej pojmaniu i wrzuceniu do więzienia nie doszła jeszcze do Watykanu. Tak to niebo zachowało szlachetnego młodziana od ciężkiego smutku; jego dziecięce serce radowało się na myśl o szczęściu matki, gdy otrzyma list jego, a odblask najwyższej radości widniał w jego obliczu na myśl o chwili, w której będzie mógł objąć ją i uściskać.

Ach, gdyby on mógł przeczuć, gdzie ona się wówczas znajdowała i ile cierpiała!

Tymczasem Kandydus siedział szczęśliw w jednej z komnat wili, którą mu na noc przeznaczono i wodził z otwartego okna rozmarzonymi

oczyma od doliny Tybru oświetlonej łagodnym blaskiem gwiazd do dalekich gór sabińskich, a wspomnienie i nadzieja, dwie rozkoszne siostry, przedstawiały żywej wyobraźni młodziana obrazy pełne powabu.

Wtem zapukał ktoś do drzwi i do komnaty weszli trybun Artemiusz z senatorem Anicyuszem Paulinem.

Od czasu, gdy ukazał się ów znak niebieski z imieniem Chrystusa, czuli ci dwaj mężowie wielki pociąg do chrześcijaństwa; w tym pociągu umacniało ich dziwne powodzenie, które potwierdzało obietnicę niebieską w sposób tak podpadający. Odtąd częściej mówili z Kandydem o nauce Chrystusa, najprzód każdy z osobna, później już razem, a im bliżej z tą nauką się zapoznawali, tem bardziej znikła mgła przesądów przed słonecznem światłem wschodzącej dla nich prawdy.

W ten sposób powstał między trzema tymi mężami związek przyjaźni ugruntowanej na najszlachetniejszych zasadach. Bez poprzedniej umowy znaleźli się i dzisiaj trybun z senatorem w mieszkaniu Kandyda, wiedzeni tylko żądzą wyjawienia mu wobec zbliżającej się stanowczej chwili bitwy, że zwycięstwo cesarza Konstantyna będzie zarazem zwycięstwem Chrystusa nad ich sercami.

— Niewysłowny czuję pociąg do Rzymu — dodał Paulinus z westchnieniem — mimo to drzę na myśl o losie moich dzieci. Wczoraj wieczorem zaraz po naszym przybyciu wyprawilem bocznemi drogami wiernego sługę do miasta, aby przyniósł mi wieści o nich, lecz nie wrócił on jeszcze do tej chwili. Codziennie błagam gorąco

Boga, aby mi pozwolił odnaleść moje dziatki zdrowo i cało. Ślubowałem mu, że mają wraz ze mną zostać chrześcianami, a ja dokładać będę wszelkich starań, aby z wewnętrznego przekonania i z całego serca były chrześcianami.

— Zaufaj Bogu, a odnajdziesz dziatki twoje — odparł żywo i z ciepłem Kandydus. — Nasz Bóg to nie bałwan pogański z kamienia lub kruszc, który ma wprowadzić uszy, lecz nie słyszy, a którego biedni i strapieni napróżno obejmują za kolana.

Młodzian ten poznawszy szlachetne serca o-wych dwóch mężów, modlił się od kilku już tygodni gorąco o ich nawrócenie; ich dzisiejsze oświadczenie nappełniło go najwyższą radością. Pobożne zaś serce jego upatrywało w ciężkich doświadczeniach, które dotknęły senatora Anicyusza, wyraźne rozporządzenie Opatrzności chcącej tak jego, jak dzieci jego przeprowadzić przez morze cierpień do przystani zbawienia. Radość jego byłaby jeszcze większą, gdyby był mógł wejrzeć w przyszłość. Artemiusz bowiem, który za panowania synów Konstantyna doszedł do najwyższych godności, miał przyczynić chwały Kościołowi, ponosząc chwalebne męczeństwo za rządów Juliana Odstępcy, który ściąć go kazał. Do rodziny Anicyanów zaś należał pierwszy konsul chrześcijański w państwie rzymskim, a w dalszym ciągu istnienia wydała ta rodzina, więcej niż inne, świetny poczet dzieci wsławionych w kościele i świętych. I tak pomiędzy innymi pochodzili z tej rodziny św. Benedykt, założyciel zakonu, św. Grzegorz Wielki i papież Feliks III. W Rzymie nosiła cała ulica nazwę Anicyańskiej

ulicy. Groby tej rodziny znajdowały się w bazylice św. Pawła.

Z wili „pod kurami” widać było w dali ognie strażnicze wojsk nieprzyjacielskich, ciągnące się wzdłuż Zybru i na pagórkach prowadzących do miasta; w ciszy nocnej zaś słychać było nawet hałaśliwe krzyki żołdactwa Maksencyusza, które dzikimi pijatykami przygotowywało się na walną i stanowczą bitwę.

Z oczyma zwróconemi w tę stronę siedział w odległym i ciemnym zakątku wili kapłan pogański Mitrasa Gordyan, pogrążony w chmurnem zamyśleniu. Za każdym zwycięstwem Konstantyna umacniało się w żołnierzach przekonanie, że Bóg chrześcian jest ich wodzem i przewodnikiem. Zdawało się, że cesarz czeka tylko na zdobycie Rzymu, aby otwarcie stanąć po stronie Ukrzyżowanego. A nawet tak poważni mężowie jak Artemiusz odwrócili się już od bogów.

Nadzieja, którą Gordyan pokładał w Rufusie, dowódcy wojsk Maksencyusza, haniebnie zawiodła, a jakby na złość wszystkie wróżby z wnętrzości zabitych zwierząt wypadały na korzyść i pomyślność Konstantyna.

— Zdaje mi się, że dożyję jeszcze tej hańby, iż świątynie i ołtarze stać będą w opuszczeniu, a na miejscu, gdzie dawniej stały obalone posągi bogów nieśmiertelnych, postawi zwycięsko nogę ów Nazarejczyk! — cedził zgrzytając zębami Gordyan. — Albo czyż już nadchodzi zapowiedziany przez Sybilę pożar wszechświata, mający według odwiecznego przeznaczenia pochłonać w olbrzymich płomieniach niebo i ziemię, Chrystusa i bogów pospołu?

— Straszne przeznaczenie — mruczał dalej, zaciskając pięści i uderzając w wielkim gniewie łaską o ziemię — straszne to przeznaczenie składać hołd Konstantynowi, pochlebiać mu i przepowiadać zwycięstwo po zwycięstwie! Ha! że też to ja właśnie muszę być owym prorokiem, który oznajmia zwycięstwo i tryumf Ukrzyżowanego nad moimi bogami!

Dopiero brzask poranny, siejący promienie światła na daleki krajobraz i tonie Tybru, spłószył Gordyana z samotnego zakątka tak właśnie jak nadchodzący dzień płoszy nocnego puszszyka i każe mu szukać kryjówki.

Następnego rana mówiono w całym Rzymie tylko o przybyciu Konstantyna pod bramy miasta. Przed pięciuset laty napeliła wieść „Hannibal pod naszymi bramami” wszystkich mieszkańców zgrozą i przerażeniem; dzisiaj przyjęli Rzymianie podobną wieść o Konstantynie z cichą radością, z życzeniami i modłami o zwycięstwo dla niego, jako też z niezachwianą nadzieją lepszych czasów po zrzuceniu i wyparciu tyrana z tronu.

Herakliusz rozważał bardzo skrupulatnie następstwa dla jego własnej osoby w razie, gdyby wojna wzięła niepomyślny obrót. Nikt też dokładnie nie badał każdego choćby najmniejszego poruszenia wojsk nieprzyjacielskich ku Rzymowi. Myśl o przyszłości nie pozwalała mu spać przez kilka nocy ostatnich. Istotnie, nie było w całym Rzymie człowieka, na którymby ciążyły większe troski, jak ów wszechmocny prefekt cesarskiej kancelaryi, któremu tylu zazdrościło tego stanowiska. Wiedział on wprawdzie, że Rufus poczy-

il przygotowania na wypadek porażki, aby cesarzowi umożliwić cofnięcie się na południe i wykonać plan wojenny Maksencyusza mimo wszelkich przeszkód; atoli Herakliusz nie miał ochoty wystawiać się na tak trudną ucieczkę wraz z jej różnorodnemi przygodami.

— A cóż się stanie, jeśli Rufus polegnie, a cesarza zabiją? Gałąź, na której siedziałem dotychczas — mówił do siebie — poczyną próchnieć; trzeba więc sobie wyszukać innej jeszcze gałęzi, aby można się jej bezpiecznie uczepić, gdyby burza urwała pierwszą.

A któż mógł być trwalszą gałęzią jak Konstantyn, mimo to Herakliusz uczynił wszystko, aby gałąź ta była dla niego niedosięgniętą.

Aby dopiąć urzędu, który piastował, używał wszelakich środków, jakie mu się nastręczały, aby się przy nim utrzymać, wysługiwał się chciwemu i okrutnemu tyranowi, na jego majątku spoczywała skrzepla krew niewinnie straconych. Zrzucony z urzędu prefekt miasta Rufinus był dawniej towarzyszem broni Konstantyna. Herakliusz z trwogą myślał o tem, czy Konstantyn nie dowiedział się już o podsuniętych mu sfałszowanych listach. Jakże ten Konstantyn, ów przyjaciel chrześcian, mógł myśleć o odstępstwie Herakliusza od Kościoła i wystąpieniu jego przeciw papieżom Marcelemu i Euzebiuszowi?

Sumienie długi czas uśpione poczynąło się budzić, lecz było to przebudzenie żmii, które trwogą śmiertelną pierś mu ścisnęło.

Niegdyś przyszła mu do głowy myśl, aby potajemnie wysłać wszystkie skarby i kosztowności do Neapolu do jednego z tamtejszych przyjaciół

a na przypadek, gdyby Maksencyusz miał przegrać, najprzód uciec do Neapolu, a stamtąd do swojej ojczyzny Grecyi. Atoli prędko po sobie następujące wypadki polityczne nie pozwoliły na wykonanie zamysłu, a oprócz tego powstrzymywała go obawa, że cesarz dowie się o tem przez swoich szpiegów.

Teraz jedynym ratunkiem dla Herakliusza był Kościół, którego ojcowskie serce tak ciężko sam był zranił. Gdyby się z Kościołem pojednał i był znów przyjętym do wspólności z wiernymi, mógł się spodziewać tego, że znajdzie łaskę u Konstantyna. Ale czyż był sposób uwolnić się od klątwy, nie poddawszy się długoletniej surowej pokucie? Zdawało mu się, że znalazł ten sposób w wniosku, który był właśnie Maksencyuszowi przedłożył.

Podobnie jak przed pięćdziesięciu laty cesarz Gordyan po krwawem prześladowaniu Waleryana zwrócił chrześcianom wszystkie kościoły i cmentarze, tak i teraz musiał on skłonić koniecznie Maksencyusza do podpisania takiegoż ułaskawienia dla chrześcian.

Gdy nadeszła godzina przyjęć porannych, udał się Herakliusz do tyrana i powitał go następującemi słowy:

— Otóż Konstantyn rozłożył się w wili „pod kurami”. Jakże to pomyślny znak „pod kurami”?

— Na Herkulesa — zawołał Maksencyusz, śmiejąc się — nie pomyślałem jeszcze o tym znaku. Ha! „pod kurami”. Ale poczekajno, jak jastrząb rzuci się między płochliwe kury a zacznie dziobać, to aż pierze polecą. Jutro musi Rufus nieprzyjaciela zniszczyć; będzie to najwięk-

szem uświetnieniem mej uroczystości. Szkoda, że nie mogę równocześnie znajdować się w dwóch miejscach.

— Przyszedłem właśnie — odrzekł Herakliusz — jako przełożony kancelaryi po rozkazy dzienne, jak mam przez kuryerów wysyłać regularne wiadomości z miejsca bitwy do cyrku. Jeśli wyznaczysz mi pewną liczbę najlepszych koni z cesarskich stajen, to porozstawiam w odległości kwadransa drogi jeźdźców; każdy doniesie wiadomość najbliższemu, tak, że ty bawiąc w ulicy apijskiej, będziesz się znajdował niejako na placu bitwy.

— Na maczugę Herkulesa! toż w ten sposób będzie Rufus mógł posłać do cyrku ciepłą jeszcze głowę Konstantyna, to mi się podoba!

— Chodzi głównie o to, aby donoszenie wieści działa się punktualnie i dokładnie, a odpowiedzialność tylko ja jeden odważam się przyjąć na się. Oprócz tego powinien zaraz po skończonej bitwie osobny posłaniec pospieszny zanieść wieść o zwycięstwie do Neapolu a stamtąd do Afryki.

— A inni posłowie osobni do Galii (Francji), Brytanii (Anglii) i Hiszpanii, aby mię tam natychmiast obwołano cesarzem.

— Każę już teraz wygotować opisy zwycięstwa.

— Bardzo dobrze! Swoją drogą musisz już obejść się bez zabawy w cyrku. Ale nie smuć się! Oddam ci za to w zarząd prowincję Galię, tam możesz sobie wynagrodzić obecne zrzczenie się przyjemności.

— Cieszyłem się wprowadzić już od kilku miesięcy na tę uroczystość; lecz wierny sługa powinien dla swego pana wyrzec się zabaw i przyjemności.

Przez to osiągnął Herakliusz tyle, że mógł każdej chwili otrzymywać najpewniejsze wiadomości o przebiegu bitwy i mógł w domu czekać na jej wynik; jak słusznie przewidywał, Konstantyn obrał właśnie rocznicę wstąpienia na tron Maksencyusza do stoczenia stanowczej bitwy i zmierzenia się z przeciwnikiem. Teraz przedłożył cesarzowi edykt do podpisu, według którego miały być chrześcianom zwrócone cmentarze i kościoły, powtarzając cesarzowi obietnicę, że w każdym razie będzie miał wszystkich chrześcian w klatce, jeśli nie w dzień Cecylii, to niezawodnie przed końcem roku, a mianowicie gdy będą obchodzili święto narodzenia swego Boga.

— Czy sądzisz napewno, że te szczury chrześciańskie pójdą na to sadło? — zapytał Maksencyusz.

— Odjęcie im cmentarzy i kościołów — odrzekł Herakliusz — jest dla nich boleśniejszym od najkrwawszych męczarni. Zobaczysz, z jaką żądzą polecą oni w zasadzkę na tę ponętę.

Maksencyusz podpisał.

— Czy twoja boskość — odważył się prosić dworzanin — nie zechce uwięzić swej wspańiałości a skazanym na śmierć chrześcianom w chwili, gdy ich na śmierć do cyrku prowadzić będą...

Cesarz ściągnął groźnie brwi i spojrzał na Herakliusza takim wzrokiem, że temu ostatnie słowa na ustach zamarły.

— Ty chytry grecki lisie — badał go Maksencjusz — cóż to znowu za tajemne plany masz w głowie, że stałeś się przychylnie usposobionym dla chrześcian? Na maczugę Herkulesa, zgniotę i zmiażdżę łeb każdej żmii, któraby chciała owinać się o moje nogi. Dziękuj bogom, że już podpisałem. Gdybyś był prosił o łaskę dla dawniejszego prefekta miasta — mówił dalej cesarz z wzrastającą niechęcią — to co innego! Gdyż co prawda, on był wiernym urzędnikiem. Ale to właśnie jest nieszczęściem dla mocarzy, że lada marny bąk, wlaższy koniowi w ucho, przez zjadliwe ukłucia wprowadza go w wściekłość. Wiesz ty o tem, że wczoraj przybył do Rzymu wielki trójwiosłowiec z Egiptu ze zbożem? A ty oskarżyłeś go przedemną, że on miasta nie zaopatrzył jak się należy w zapasy? A bodajże i był chrześcianinem; na bogi, renegat, odstępcą, który wiary się swej wyrzekł, jest sto razy gorszym. Wynoś się stąd! Aleć powiadam, spamiętaj to sobie, jeśli kiedykolwiek przekonam się, że za słowika miałem ropuchę, nikczemną, zjadliwą ropuchę, to cały Rzym będzie świadkiem, jak cesarz takiej gadziny z ogrodu się pozbywa.

Herakliusz nie śmiał odrzec ani słowa; w milczeniu się uklonił i wyszedł od władcy.

— Jaki ja byłem głupi — rzekł do siebie z głęboką niechęcią — że chciałem ujmować się za uwięzionymi chrześcianami! A jednak edykt cesarski miałby w oczach biskupa Milcyadesa ciałko większą wartość, gdybym mu mógł być równocześnie donieść o ułaskawieniu wszystkich skazanych na śmierć. Bądź co bądź, edykt zwracający niby chrześcianom ich kościoły i cmenta-

rze, był w oczach jego klejnotem nieobliczonej wartości, a Herakliusz nie wątpił ani na chwilę, że za tę cenę kupi sobie od Papieża bezwarunkowe i natychmiastowe przyjęcie do wspólnictwa kościelnego. W ten sposób najcięższy kamień stojący mu na przeszkodzie w odzyskaniu łaski Konstantyna, byłby stanowczo usunięty. — Gdy zwrócę Kościołowi jego cmentarze, kościoły i pobożne zakłady — mówił sam do siebie Herakliusz — to wyrządzą mi takie dobrodziejstwo, które naprawi wszystko, co mi zarzucają, a co przedewszystkiem było z winy papieża Euzebiusza, który zachowywał się względem mnie z przesadzoną surowością. Jeśli mi teraz biskup Milcyades pomoże w ominięciu wszelkich niebezpieczeństw, w takim razie okażę Kościołowi nadzwyczajną gorliwość w jego wzmocnieniu i więcej mu się przez to przysłużę, niż przez kilkuletnią surową pokutę.

Były to dobre postanowienia, ale latorośle bez owocu, nieplodne, nie ogrzane słonecznem ciepłem łaski Bożej, lecz owiane gorącym wiatrem trwogi chwilowej.

Herakliusz przez swoich szpiegów dowiedział się o miejscu pobytu biskupa Milcyadesa. Była to chatka w Suburze. Ponieważ jednak chrześcianie z nadzwyczajną ostrożnością pilnowali mieszkania papieskiego, więc Herakliusz tylko z wielkimi trudnościami tamdotąd się dostał.

Gdy po upływie pół godziny wyszedł z chaty, zdradzała wykrzywiona twarz złość i wściekłość, pożerające wewnątrz obłudnika.

Ku nadzwyczajnemu zdziwieniu Herakliusza Milcyades odrzucił jego układy i obiecał mu tyl-

ko częściowe odpuszczenie kar kościelnych, zarazem jednak przypomniawszy mu z świętą powagą karzące sądy Boże, którym jeszcze żaden prześladowca Kościoła nie uszedł.

Peten niechęci, że tak przykro się przeliczył, do żywego dotknięty groźbami Papieża, zmierzał Herakliusz ku Forum, rozważając w zgryzionem sercu nad innym środkiem, jakby ubłagać Konstantyna.

— Będę przeglądał sprawozdania senatu i spisę nieprzyjazne wyrażenia wrogich Konstantynowi senatorów. Może też znajdę w archiwum...

Nagle rozjaśniła się twarz jego:

— Mam już — zawołał — listy kapłana Gordyana do naczelnego dowódcy Rufusa! Czyż mogę się lepiej jeszcze przysłużyć Konstantynowi?

W domu przyjął go syn jego Sabinus niespodziewanem zapytaniem:

— A czy wiadomo ojcu, że były prefekt miasta Rufinus uciekł, czy też został uprowadzony z więzienia?

— Tyś chyba się dzisiaj upił — odparł gniewnie Herakliusz — mówże dokładnie!

— Albo choroba Rufina była tylko prostem zmyśleniem — tłumaczył Sabinus — a w takim razie on uciekł; albo też umarł i chrześcijanie ciało jego zabrali. W każdym razie niema go już w więzieniu. Zdaje mi się, że mówię dokładnie.

Wiadomość ta wywarła na Herakliusza nader nieprzyjemne wrażenie i zastanowiła go. Nie przypuszczał on bowiem wcale, aby chrześcijanie ukradli zwłoki Rufina, gdyż mogli takowe wy-

dostać za opłatą, a nie potrzebowali narażać się na niebezpieczeństwo — a więc więzień musiał uciec. W tym przypadku mógł w razie zmiany panowania spodziewać się straszliwej pomsty Rufina. Wtedy przysłała mu na myśl Walerya. Ona musiała bez wątpienia wiedzieć o ucieczce i o miejscu jego pobytu. Mając w ręku swoim córkę, pewnym był posiadania ojca.

— Idź więc natychmiast — rozkazał synowi — poślij siepaczy do Awentynu, do mieszkania Ireny. Jeśli tam dziewczycy nie znajdą, niech szukają wszędzie, byle ją odszukali; do dziś wieczora chcę, aby została uwięzioną i dostawioną tutaj.

Odchodzącemu Sabinowi rzekł jeszcze Herakliusz:

— Obiecuję temu, który mi dziewczynę przyprowadzi, sto sestercy — dwieście sestercy!

Herakliusz chodził teraz po swojej komnacie pełen zgryzoły i złości. Przypadkiem rzucił okiem na edykt cesarski; w swojej zapalczywości porwał go, podarł w kawałki i rzucił na ziemię.

Zaledwie to uczynił, przypomniało mu się, jak wielkiej doniosłości był ten dokument dla niego. Przez ten dokument mógł być bowiem Konstantynowi okazać swoją przychylność dla chrześcian.

To go podrażniło jeszcze bardziej.

Po upływie godziny powrócił Sabinus z wiadomością, że Walerya od wczoraj rana jeszcze do domu nie wróciła. W nocy przyszedł do mieszkania jakiś mężczyzna w ubraniu woźnicy, zbudził odźwiernego, mówiąc, że idzie w poselstwie do Ireny, przytem dopytywał się trwożnie

o swoją córkę, ale odźwierny nie wpuścił go do domu.

Herakliusz na tę wiadomość tupął nogą o ziemię z złości; właśnie przez to wszystkie jego knowania się popsuły, że podał Irenę jako matkę Kandyda i kazał ją uwięzić.

— Czemuż mi się też wszystko tak źle wie-
dzie? — zawołał z wściekłością.

— A jeszcze będzie gorzej — odpowiedział
mu głos wewnętrzny.

Sądząc z tego, co mówił odźwierny o prze-
braniu mężczyzny za woźnicę, musiał Rufinus
uciec za pomocą woźniców. Ale wiedział Hera-
kliusz naprzód, że z woźniców nie wydobędzie
nic, że wszyscy jednogłośnie zeznają, iż nie wie-
dzą o niczem.

Stróża przy bramie budowiska wzięto na
przesłuchy. Z zapytań, jakie mu zadawano, po-
znał on zaraz, że owa niewiasta zręcznie go
podeszła i uprowadziła Rufina z więzienia. Zna-
jąc Rustykę z widzenia, mógłby ją z łatwością
znaleść w dzielnicach miasta z tamtej strony Ty-
bru, a w takim razie i byłego prefekta miasta
możnaby bez trudności odszukać. Atoli przebie-
gły stróż odźwierny uważał w interesie swego
bezpieczeństwa za stósowne, milczeć o tem i
wiernie obstawał przy tem, że na każdym wozie
tak przy wjeździe jako i wyjeździe był tylko je-
den woźnica, dodając:

— Wzywam wszystkie bogi i boginie na świa-
dectwo, że na żadnym wozie nie siedziało dwóch
mężczyzn.

— Ależ w jaki sposób mógł się ten więzień
stamtąd wydostać? — rzekł z oburzeniem Hera-
kliusz.

— Człowiek ten — odparł odźwierny — był tak wysuszony i wychudły, jak cień. Kto wie, może przedostał się przez jaką szczelinę w ogrodzeniu.

— Nie, nie; to niemożliwe!

— Panie, w takim razie nie mogę sobie tego inaczej wytłómaczyć, jak chyba czarami. Chrześcianie, to zawołani czarownicy. Słyszałem raz, że ich mistrz wszedł dziurką od klucza do mieszkania uczniów swoich i stanął nagle wpośród nich. Innym razem zamknięto go w jamie skalnej, wchód zaparto ogromnym kamieniem, którego dziesięciu ludzi z biedą mogło ruszyć, oprócz tego postawiono z jakie pół kompanii żołdaków na straży, aliści więzień jednak znikł następnego rana. Jeśli chrześcianie mają w zapasie tak silne czary, że potrafią za ich użyciem góry przenosić z miejsca na miejsce, to tylko się chyba temu dziwić należy, że już dawniej nie uwolnili prefekta miasta z więzienia.

Herakliusz był w najwyższym stopniu niezadowolony z przesłuchania stróża. Najmniejszego śladu nie zostawił mu zbieg, dokąd mógł się udać. Gniew jego jeszcze się wzmógł, gdy mu syn jego Sabinus, powracając wieczorem do domu, opowiedział, że w dzielnicy z tamtej strony Tybru widział się z Waleryą idącą z jakąś inną pospolitą niewiastą.

— A czemuż jej nie pojmałeś? — rzekł z wściekłością Herakliusz.

— A bo to myślicie jest tak łatwo? — odrzekł szyderczo Sabinus. — Gdy ją zobaczyłem, zaraz rzuciłem się ku niej i ująłem ją za rękę. Aż tu owa druga niewiasta rzuca się na mnie,

jak szalona, poczyną z wrzaskiem zwoływać wszystkich sąsiadów, z wszystkich stron nadbiegają mężczyźni a jeszcze zawziętsze kobiety i naraż ujrzałem się w gnieździe ós czy złych duchów. Czarownice babska krzyczały jak chmara wściekłych kotów, a chłopcy gałgany waliły i szturchały mnie, a ponieważ na szczęście nie daliście mi na drogę życia pancerza, jak go ma krokodyl, więc byliby mnie tam niewątpliwie uśmiercili, gdyby mi ktoś nie był przybył z pomocą.

— Któż to był? — zapytał Herakliusz.

— Otóż słuchajcie ojcze, była to sama Waleria, która w kilku słowach zamieniła zjadłych tygrysów w pokorne baranki, tak że mnie puścili. Zawstydzony aż po uszy, powlókłem się dalej. Była to zemsta chrześcianki, i na Jowisza, jeśli wszyscy chrześcianie są takimi, jak owa dziewica, to poczynam pojmować, dlaczego wyście...

Sabinus nie był jeszcze tak dalece znarowionym, aby wypowiedzieć bezczelną swoją myśl, atoli złośliwy uśmiech i szyderstwo uzupełniło resztę słów jego.

Herakliusz spojrzał na syna groźnie, przygryzł wargi i zamilkł. Pierwszy to raz napomknął Sabinus o odstępstwie ojca od chrześcijaństwa. Czyż można było w sposób bardziej obrażający zrobić mu dotkliwy zarzut? Herakliusz był bezbronny wobec tej jadowitej strzały, którą przeszył go własny syn jego — i do słów pełnych powagi i godności ze strony biskupa przyłączyło się urągowisko zepsutego syna.

Z trudem niemałym oderwał myśl od tych okropnych wyobrażeń i począł przemyślać nad tem, jakby wytropić Waleryę w dzielnicy z tamtej strony Tybru.

Jego obawy co do Rufina zostały jednak usunięte, gdy później przyprowadzono doń mężczyznę, który mu powiedział, że Waleryę zna doskonale, ponieważ mieszka w tym samym domu co ona. W drodze do bramy apijskiej prosiła go Walerya, aby doniósł Irenie, że ona idzie przygotować grób dla swego ojca.

A więc Rufinus zapewne umarł. Chociaż więc nie ze wszystkiem mógł później nadeszłe wiadomości pogodzić z tą, to jednak oświadczenie Waleryi, że idzie dla ojca przygotować grób, wykluczało wszelką wątpliwość co do śmierci dawnego prefekta miasta. W ten sposób spadł mu z serca wielki ciężar i troska.

Po południu przeprowadzono chrześcian skazanych na zabicie przy jutrzejszej ofierze z ludzi do cyrku Maksencyusza. Było ich pięćdziesięciu; daleko większą ich część przeznaczono zaś do zapasów z dzikimi zwierzętami, które odbyć się miały w jednym z późniejszych dni cesarskich uroczystości.

Walerya koniecznie chciała widzieć się z Ireną przed jej śmiercią. Chciała ona pożegnać się z świętą matroną, podziękować jej serdecznie za macierzyńską opiekę, którą zawsze ją otaczała, a wreszcie oznajmić jej pocieszającą wiadomość, że ojciec jej jest na wolności. A czyż Irena także nie miała poleceń dla swego dziecka? Ach, jakże ciężko i boleśnie być jej musiało umierać, nie widząc swego tak gorąco umiłowanego sy-

na, który znajdował się tak blisko, a do którego ona jednak napróżno wyciągała ręce! Dziewica mogła jej przynieść pociechę, zanieść mu ostatnie jej błogosławieństwo. Teraz już przynajmniej nie potrzebowała się obawiać o swego ojca.

Rufinus obudził się następnego rana dziwnie pokrzepiony. Z jakimże zdziwieniem rozglądał się on w chacie Mincyusza i powoli dopiero przypomniał sobie o zajściach z przeszłej nocy. Jakże on był szczęśliwym z posiadania córki, a ona jak szczęśliwa, że wybawiła ojca swego. Biskup Milcyades powiadomiony jeszcze przed wschodem słońca o uwolnieniu prefekta miasta, wysłał natychmiast do niego dyakona wraz z wszystkimi przyborami do opieki chorego. Przybyły z dyakonem lekarz mógł spostrzedz jedno z tych ciekawych zdarzeń, jak to nagłe rozradowanie duszy w jednej chwili potrafi chorobę a nawet i pozostałą słabość usunąć. Tak więc mogła Walerya ojca po południu powierzyć opiece Mincyusza bez troski, aby udać się z Rustyką do cyrku. Właśnie obie wyszły z mieszkania, gdy spotkał je Sabinus, syn Herakliusza, o czem już poprzednio mówiliśmy.

Według obyczajów rzymskich mieli skazani na śmierć w przeddzień swego stracenia wolność widzenia się z swoimi krewnymi a nadto otrzymywali obfitą ucztę zwaną wieczerzą wolnych (*coena libera*), której lud mógł się przypatrywać. Chrześcijańscy męczennicy przemieniali tę wieczerzę w tak zwaną ucztę miłości (*agapę*), która przypominała im bliskość godów niebieskich, na które mieli iść ozdobieni wieńcem męczeństwa.

Ponieważ w cyrku wykonywano jeszcze różne

roboty i naprawy, więc zamknięto więźniów tymczasowo w jednym z bocznych gmachów; siedzieli oni tam w długim szeregu na ziemi, aby spożyć ostatnią wieczerzę, składającą się z chleba, wina, sera i owoców. Znaczna liczba ciekawych, zwłaszcza wieśniaków z okolicznych wsi, cisnęła się do bramy, przypatrując się im z niemą ciekawością; naokół stali zaś na straży żołnierze z dobytymi pałaszami.

Siedzieli tam owi wyznawcy Chrystusowi z swobodnym spokojem rozlanym na obliczu, spożywając podane potrawy wśród rozmów pobożnych i budujących; poganie zaś stali, nie pojmując, jak ci ludzie w obliczu śmierci mogą być tak obojętnymi, owszem nawet wesołymi.

Ku końcowi ucztę wszczął się między wyznawcami pewien niepokój; raz po raz zwracali oni oczy w stronę bramy; skazani widocznie kogoś jeszcze oczekiwali, a ponieważ ten się nie ukazywał, więc troska wstępowała w ich serca, osiadając im na czole.

Wreszcie ukazał się ten gorąco oczekiwany, a oni z uśmiechem zadowolenia mówili jeden do drugiego:

— Już przyszedł; tak, to on!

Wszystkich oczy rozjaśnione radością zwróciły się na dyakona Sylwestra, który w towarzystwie dwóch chłopców ukazał się u wschodu, przebiwszy się przez tłum ciekawych widzów.

Pod płaszczem niósł on na piersiach Ciało Pańskie, niebieski wijatyk, pokarm Boski na drogę do wieczności, którego gorąco pragnęli chrześcianie jako środka do pokrzepienia i wytrwania w ciężkich męczarniach za wiarę Chrystusa.

Nadzorca więzienny rano już przekupiony pozwolił dyakonowi wejść do miejsca, w którym znajdowali się chrześcijanie, a oni przyjęli go z oznakami najgłębszej czci i uszanowania.

Obaj chłopcy ukłękli przed dyakonem trzymając w rękach owiniętych chustkami płócieniami srebrną miskę. Dyakon zaś wyjął z bogato złotem tkanego okrycia święty chleb i przełamał go nad miską na tyle części, ilu było więźniów.

Wyznawcy uścisnęli się nawzajem, dając sobie pocałunek pokoju, a potem zbliżali się kolejno, klękali i podnosili ręce złożone na krzyż prawa nad lewą.

— Wijatyk pański — mówił dyakon.

— Amen — odpowiadał każdy, przyjmował w otwartą rękę komunię św. spożywając tajemnicę Boską i schylając głowę z czcią najgłębszą.

Po przyjęciu udawał się każdy znowu na swoje miejsce, modląc się w cichości do Pana Boga, polecając się temu, który za nas wszystkich wydał się na śmierć, prosząc najgoręcej o tę jedną łaskę, aby dał im wytrwać w miłości i wierności aż do ostatniego tchnienia.

Po uczcie, która w tak uroczysty sposób zakończyła się przyjęciem komunii św., pozwolono uwięzionym pomówić kilka minut z swymi krewnymi i pożegnać się z nimi. Wtedy weszli niektórzy z widzów do miejsca zamkniętego.

Irena przyjęła Waleryę i jej towarzyszkę z owym cichym i błogim spokojem ducha, który jest odbiciem pokoju niebiańskiego, gdy tymczasem dziewczica zdjeta głęboką boleścią, oparła łkając głowę o pierś matrony. Walerya musiała jej opowiedzieć wszystkie szczegóły ucieczki ojca, a gdy skończyła, rzekła Irena:

— Niebo nie chciało zostawić cię sierotą; odbierając ci przyjaciółkę, oddaje ci z powrotem ojca.

Chciała jeszcze coś mówić; atoli myśl o Kandydusie, któremu nikt i nic nie zdoła zastąpić matki, zaparła jej głos.

Spojrzała potem z gorącym westchnieniem w górę, a to przywróciło jej znowu spokój ducha i zdanie się na wolę Boga.

— Weź tę skrzyneczkę — rzekła Irena, dobywając z zanadru złotą pudełko — i oddaj ją synowi mojemu. Zawiera ona gąbkę nasiąkniętą krwią jego ojca; jest to jedyny spadek, który mu wraz z mojem macierzyńskiem błogosławieństwem zostawiam w dziedzictwie. Powiedz mu, że ostatnie moje westchnienie było modlitwą za niego; powiedz mu, że z nieba czuwać będę nad nim bezustanku, i że w chwilach niebezpieczeństwa stać będę u jego boku. Nie, miłość macierzyńska nie zamiera; ona w niebie się oczyszcza i nabiera blasku, a po krótkiej rozłące następuje zjednoczenie wieczne. Będę także czuwała nad tobą i ojcem twoim, i modlić się będę za was, moje dzieci; czyniłam to już tej nocy, czynić to będę także w chwili śmierci, a potem po wieczne czasy u tronu Bożego. Między dniem wczorajszym a dzisiejszym było widzenie się nasze bolesnem, ale czyż przeciąg czasu od dnia dzisiejszego aż do błogosławionego zobaczenia się tam w górze nie jest także tylko chwilą jakoby od dzisiaj do jutra?

Tymczasem słońce zaszło, a czas rozmowy z krewnymi już był minął. Dozorcy przyszli, aby wszystkich wydalić. Walerya i Rustyka, które

ze łzami słuchały słów Ireny, uklękły przed nią, aby im udzieliła błogosławieństwa; Irena zrobiła każdej wśród cichej modlitwy palcem znak krzyża św. na czole dając im przytem pocałunek pokoju.

— Szlachetna niewiasto — rzekła Rustyka, wystawiając niemowlę ku niej — błogosław także memu dziecku i pamiętaj o niem w niebie, aby było zawsze pobożne i cnotliwe. Jesteśmy biednymi i nie mamy mu wiele do zostawienia; ale jeśli mu powiem, że męczenniczka udzieliła mu przed śmiercią macierzyńskiego błogosławieństwa, to zostawię mu w tem słowie więcej, niż wszystkie bogactwa tego świata razem wzięte.

Irena położyła rękę na głowce dziecięcia i zrobiła mu także na czole palcem znak krzyża świętego. Potem dozorcy bez serca rozłączyli niewiasty.

— Do błogiego zobaczenia się! — zawołali więźniowie.

— Pamiętajcie o nas w modlitwach waszych — odrzekli wierni wyznawcy, opuszczając wraz z dyakonem Sylwestrem więzienie.

Tymczasem gdy wierni chrześcianie w cyrku na ulicy apijskiej spożywali swoją ucztę miłości i przyjęli do siebie przed śmiercią zadatek życia wiecznego, Maksencyusz w przeddzień uroczystości zgromadził w przepysznej sali cesarskiego pałacu szlachtę Rzymu i wszystkich wyższych oficerów na hulatykę nocną.

Miała to także być jego wieczerza wolnych (coena libera), a zarazem uczta przedśmiertna. Na złotych świecznikach płonęły wielkie światła oświecające komnaty jakby we dnie i ożywiające

niejako statuy marmurowe; szemrzące wodotryski wyrzucały wodę odbijającą się tęczowemi barwami w blasku światła; najświetniejsze rośliny wydawały ze siebie odurzający rozkoszny zapach, na kolumnach zaś i ścianach marmurowych wisały godła zwycięstwa w bitwie. Wielka ilość gości rozłożyła się na kilku stołach znajdujących się na podniesieniach. Przy głównym stole zajęła miejsce tuż obok Maksencyusza młoda żona pewnego senatora, gdy tymczasem cesarzowa na rozkaz Maksencyusza musiała wymówić się od uczestnictwa niby to z powodu słabości. Naprzeciwko cesarza zasiadł naczelnny wódz wojsk cesarskich Rufus, i nowomianowany prefekt miasta Annius Anulinus, dalej znowu dawni konsulowie i najznakomitsi senatorowie porozkładali się po innych siedzeniach cesarskiego stołu. Rufus niechętnie przybył na ucztę, gdyż bliskość nieprzyjaciela wymagała koniecznie jego osobistej obecności w obozie; to też Maksencyusz był zniewolony pozwolić mu oddalić się wraz z oficerami zaraz po północy do obozu.

Tymczasem niewolnicy i niewolnice roznosili skrzętnie wielkie misy wraz z kunsztownie nałożonemi na nich potrawami; inni znowu nalewali kosztowne wina z gąsiorków i dzbanów do złotystych czar, a z tych do jeszcze kosztowniejszych puharów przepysznej roboty. Podkasane tancerki wykonywały wśród odgłosu piszczałek i podobnych instrumentów lubieżne tańce ku rozweseleniu gości.

Już głowy były winem rozognione, puhar za puhaem wychylano za zwycięstwo wojsk cesarskich; hulatyka stawała się coraz głośniejszą

i rozwiązlejszą. Nawet Rufus upojony ciężkiem winem zapomniiał widocznie o nadchodzącej walnej bitwie.

Niepostrzeżona przez strażę, którym przy tej hucznej uczcie też coś się dostało, podeszła jakaś staruszka o kijach aż do schodów prowadzących na podniesienie, na którym znajdował się stół cesarski. Zmęczona upadła na pierwszym schodzie, i gdy tam u góry dzikie okrzyki pijanego towarzystwa mieszały się z dźwiękami fletów i cymbałów, staruszka wyjęła z koszyka skrwa-wione zwłoki dziecięcia, przyciskając je do serca wśród wzdychań i jęków najgłębszej boleści.

— Twoja matka nie żyje, mój aniołku — szeptała staruszka — a ojciec twój skoczył do Tybru; ale twoja babka będzie czuwała nad tobą, aby ci cesarz nic złego nie wyrządził. Spij spokojnie moje serduszko! Oni mówili, że będą ci wróżyli, dlatego matka wydała cię im. A oni... a oni cię... Ach, jakieś ty zimna dziecino! Och, toż to cesarz cię zarżnął, i oni tam teraz u góry jedzą twoje serce i piją twoją krew.

Potem nieszczęśliwa staruszka powstała wśród jęków i skarg, a zebrawszy wszystkie siły i trzymając się poręczy poszła po schodach do góry, aż nagle z ciemności weszła do jaskrawo oświetlonej sali i stanęła przed cesarzem, jak widmo wychodzące z pod ziemi.

Niewolnicy wprawdzie rzucili się zaraz na nią i zepchnęli ze schodów, ale Maksencyusz ją widział z zakrwawionemi zwłokami dziecka na ręku, z obłąkanym wzrokiem głęboko wpadniętych oczu a na ten widok wypadł mu puhar, a twarz stała się sino-błądą. Gdyż nie mogła to

być istotą ziemską, ale złowrogi duch podziemny, który mu przyszedł czynić wyrzuty za tę bezecną i niehumanitarną zbrodnię, której się na dziecku dopuścił, a zarazem przyszedł mu oznajmić bliską zemstę.

Napróżno starał się cesarz przygłuszyć straszny niepokój. Chwycił znowu za puhar, lecz drżąca ręka nie była w stanie doprowadzić puhara do ust. Mazyka i zgiewk gości brzmiały mu naraz w uszach jak ryk i śmiech złych duchów. Siedział ponuro z szeroko wytrzeszczonymi oczyma. Najbliżsi goście spoglądali nań niespokojnie; nagła przerwa w zabawie była tem przykrzejszą, że w górnych komnatach i galeryach trwała uciecha dalej, gdyż tam nie widziano nic z tego co zaszło u dołu, przy stole cesarskim.

Nagle skoczył Maksencyusz z miejsca, porwał za puhar szklanny, a rzuciwszy nim o marmurową i mozaikową posadzkę tak, że potłukł się w tysiące kawałków, ryknął:

— Cicho mi tu! Precz z tym wrzaskiem i zgiewkiem! Gdzież są moi pretoryanie, niechaj mi wytną do nogi tę hołotę tam na górze!

W mgnieniu oka rozbiegli się przerażeni goście od stołu cesarskiego. W jednej chwili wesoła wrzawa ustała, a w kilka chwil panowała w pałacu cesarskim po tej głośnej ucieście złowroga cisza.

Maksencyusz upadł na posłanie, a Rufus, który sam jeden ośmielił się pozostać przy strasznym władcy, patrzył nań poważnie. Ponieważ siedział plecami odwrócony do schodów, więc nie pojmował naglej zmiany w usposobieniu cesarza.

Okropna ta i złowroga cisza panująca dookoła wystraszyła Maksencyusza, więc rozkazał Rufusowi, aby go odprowadził do sypialni. Zmiana powietrza wpłynęła uspokojająco na umysł cesarza, ale wraz z spokojem wracał do duszy upór.

— Przecież ofiaruję tysiące wojowników — rzekł — aby bronić mego tronu; cóż więc chodzi mi o taką małą ropuchę, byłem miał pewność że zwyciężę? Jeśli bogi kierujące przeznaczeniem żadne są krwi dziecięcej, to na Jowisza! rozkażę porąbać na kawałki u piersi matki wszystko, co ssie mleko, czy to jest zwierzę czy człowiek, tak w Rzymie jak w całym państwie!

Rufus patrzył na cesarza wielkimi oczyma. Słowa, któremi cesarz miotał, były dla niego zagadką, podobnie jak nagła zmiana najwyuzdanej uciechy w złowrogą srogość; jednak nie trudno było domyśleć się wątku, a Rufus wzdrygnął się na wyobrażenie strasznej zbrodni, którą zdradzały słowa cesarskie.

— I takiemu to potworowi służysz — rzekł do siebie — dla jego panowania ty ofiarujesz twoje zdolności wojownicze, dla niego poświęcasz życie tylu dzielnych mężów, a nawet może twoje własne!

Rufus znajdował się z Maksencyuszem sam na sam, i gdy takie myśli przesuwaly się po głowie jego, już też prawica mimowoli skierowała się w stronę rękojeści miecza.

Wyciągnięty na posłaniu Maksencyusz był bezbronnym i zdanym na jego łaskę i nielaskę, tylko jedno pchnięcie, a już nie byłoby Maksencyusza; Rufus zaś potrzebowałby tylko rękę ścia-

gnąć, aby sobie na głowę włożyć koronę cesarską. Wiedział dobrze, z jakim zapalem i radością legiony obwołałyby go swoim władcą i cesarzem.

Gdyby tak Symmachus był na jego miejscu toby się ani na chwilę nie zawahał...

— Nie — rzekł do siebie Rufus i opuścił szybkim krokiem pałac cesarski wcale cesarza nie pożegnawszy — nie, już mu przegrałem cztery bitwy i połowę państwa, nie chcę być w dodatku jeszcze jego skrytobójcą. Jeśli bogi zechcą wynieść mię na tron, niechaj wyszukają sobie innej ręki do zgładzenia Maksencyusza!

Gdy naczelny wódz wojsk cesarskich zbiegał po schodach pałacu, aby w nocy jeszcze dostać się do obozu, spoglądał za nim żołnierz z przybocznej straży cesarskiej, który do tej chwili stał w głębokiem zamyśleniu oparty o marmurową poręcz schodów. Lecz widok dowódcy tylko na chwilę zdołał przerwać mu myśli, które miotałw jego duszą, jak woda kołuje w morzu przed burzą. Marcyalis, gdyż on to był, rozmawiał był długi czas z biskupem Milcyadesem, i niektóre z tych rzeczy, które czcigodny biskup mu opowiadał, zyskały uznanie, a nawet wzbudziły w nim podziw, atoli wiele z nauk chrześcijańskich odbiło się jak o stal o dumę i hardość rzymskiego wojownika.

— Bóg — mówił do siebie wstrząsając głową — który pozwala sobie plwać w twarz, który da się biczować i nareszcie do krzyża przybić, nie, to nie dla mnie taki Bóg.

Już trzy stulecia wydaje swoich zwolenników na pastwę najsroższych prześladowań, nie pod-

nosi się, aby mściwym piorunem porazić swoje wrogi a mimo to żąda od swoich, aby dla niego poświęcili dobytek, zdrowie a nawet życie!

A oni rzeczywiście poświęcają to wszystko dla niego; żaden wojownik nie idzie z takim zapalem i radością do bitwy, jak ci chrześcijanie idą na rzeź!

Chrystus mógłby mieć we mnie zwolennika, ale na to, abym rąbał mieczem, a każdego, któryby wyrzekł choć słowo przeciwko niemu, od razu wyciągnąłbym na ziemi. Lecz nie jestem zdolny do tego, aby znosić cierpliwie obelgi i poniewieranie, a nie schwycić nikczemnika i nie roztrząskać go o mur. Nie, tego nie potrafię.

Jakby chcąc uciec przed swojemi myślami, pobiegł Marcyalis spieszenie do skrzydła pałacu, w którym rozkwaterowani byli Herkulianie; atoli myśli te ścigały go ciągle, a we śnie jeszcze stał przed oczyma duszy jego obraz Milcyadesa, a w uszach brzmiały mu słowa, których sędziwy staruszek używał na wyrażenie chwały krzyża świętego.

Walerya i Rusłyka opuściły za nadejściem zmroku cyrk Maksencyusza i wróciły wraz z innymi wyznawcami Chrystusa do miasta; a gdy wstępowały do chaty położonej na Zatybrzu, na ciemnem niebie migotało już całe wojsko gwiazd błyszczących. Rufinus już wyszedł na kilka godzin z łóżka; odwiedziny papieża uszczęśliwiły go nad wyraz, a radości jego dopełnił biskup Milcyades obietnicą, że w przyszłą niedzielę otrzyma od niego sakrament bierzmowania, poczem miał od jednego z dyakonów otrzymywać regularną naukę w prawdach wiary.

Oddawna już anioł pokoju rozpostarł nad chatą Zatybrza zasłonę snu słodkiego; ciche stróże nocy, gwiazdy niebieskie, spoglądały łagodnymi oczyma z góry na Rzym i dalekie niwy; lekki powiew nocy przesuwiał się przez drzewa i krzaki, jak ręka matki nad głową śpiącej dziewczyny; z gasnących ognisk straży z obydwóch obozów podskakiwały jakoś złowrogo ostatnie płomyki; a w tej ciszy nocnej ciągle jeszcze czuwało jedno serce, serce matczyne, z tej uśpionej ziemi wznosiły się jeszcze do tronu Boskiego modlitwy Ireny za kochanego syna. Tam zaś hèn w dali spał snem sprawiedliwego Kandydus, a w duszy jego unosił się obraz miły i piękny, obraz Ireny, a kto by był stał u jego posłania byłby widział i słyszał, jak jego usta uśmiechnięte we śnie szeptały słodkie imię matki.

Była to błoga noc, poprzedzająca ważny dzień, który miał zrobić zupełną zmianę; nie tylko w historii państwa rzymskiego, ale też i w dziejach Kościoła i świata. Z ciemnego sklepienia niebios oświecał sierp księżycowy łagodnym swym światłem legiony Konstantyna, obóz Rufusa, wieczne miasto, odbijające się w ciemno-zielonych falach Tybru. Gdy jutro znowu zejdzie na firmamencie, jakże się zdziwi ten „zmienny księżyc” na widok tak ogromnej zmiany! Tylko wspaniały Tyber posuwać będzie szumiące fale do morza jutro jak dziś, wczoraj i przed lat tysiącem bez zmiany, wyobrażając nam niejako Opatrzność, która wśród zmiennych losów ludzi i narodów przechodzi niezmienna.

XII.

Drugi Baltazar.

Wczesnym rankiem dnia następnego zbudził Maksencyusza posłaniec, którego wyprawił Rufus z obozu z uwiadomieniem, że Konstantyn ustawi wojska w szyku bojowym, że walka może zawrzeć każdej chwili.

— Dobrze — odrzekł — w cyrku oczekiwać będę od mego wodza naczelnego wieści o zwycięstwie. Powiedz Rufusowi, aby się starał dostać żywcem Konstantyna w niewolę; w tryumfie powlokę tego nicponia tak, jak Herkules dzika erymanckiego.

Świeżo przybyłe legiony i pretoryanie byli to starzy, wyćwiczeni w walkach żołnierze, do tego należała jeszcze straż przyboczna cesarza, tak zwani Herkulianie, licząca 6000 głów. Maksencysz posiadał zatem armię liczebnie daleko większą od armii przeciwnika; co się tyczy biegłości i zręczności nieustępującą w niczem wojsku Konstantyna. Co zaś najważniejsza, wojsko Maksencyusza nie było znuzone męczącymi marszami. Częściowe zniechęcenie, jakie było zapanowało przed niejakim czasem, ustąpiło za nadciągnięciem legionów sycylijskich i afrykańskich, witających dawnego swego wodza Rufusa z niezmierzonym zapałem i radością. Całe zaś to wojsko było Maksencyuszowi oddane całą duszą, gdyż chytry tyran traktował je wedle bezwzględnej zasady cesarza Septymiusza Sewera: „Staraj się zadowolnić żołnierzy, nie dbając o nikogo innego.” Jeszcze wczoraj kazał im wedle zwyczaju wypłacić w podwójnej ilości donativum, tj. po-

darek pieniężny, jako w rocznicę swego na tron wstąpienia. Mógł więc nawet bez wyroczni magów i gwiaździarzy wyczekiwać bezpiecznie zwycięstwa, a swoje myśli skierować spokojnie ku uświetnieniu uroczystości i zabaw dnia dzisiejszego.

W szafranowo żółtym mundurze z szerokimi obwódkami, wysadzanemi złotem i drogimi kamieniami, ponad tem szeroki, fałdzisty płaszcz purpurowy, złota promienista korona na skroni, w ręku berło z kości słoniowej z orłem u wierzchołka, a nawet i w trzewikach wysadzanych drogimi kamieniami wyszedł Maksencyusz o wyznaczonej godzinie z komnat pałacu, przyjmując z uprzejmością pełną pogardy uniżone życzenia i pozdrowienia ubranych w świąteczne białe togi senatorów i rycerstwa.

Wśród odgłosu trąb i wrzasku tłumu rozpoczął się następnie świąteczny pochód z Palatynu przez łuk tryumfalny Tytusa, przechodząc obok podwójnej świątyni Wenery i Romy. Sam cesarz jechał w postawie stojącej, trzymając na wzór tryumfującego palmę w ręku. Otoczony był odznakami polowymi swej straży przybocznej. Jechał zaś na wozie zwycięskim, zaprzężonym sześciu przepysznyymi siwkami, wszystko lśniące od złota i kości słoniowej. W następującym powozie jechała małżonka cesarza, chociaż ubrana w przepyszne szaty złotem tkane, ale smutna jak grób ozdobiony wieńcami kwiatów; dzisiaj, gdy miano poświęcać cyrk na cześć Romulusa, podwójnie smutna na wspomnienie swego syna, którego czarne przeznaczenie wyrwało z jej macierzyńskich objęć. Senatorowie i rycerstwo, ka-

plani z posągami bożków, tudzież w białe szaty ubrane dziewice westalskie, dostojni urzędnicy nadworni w czerwonych złotem wyszywanych liberyach i reszta orszaku postępowała za powozem cesarskim, i to mężczyźni na koniach, kobiety zaś w lektykach albo w eleganckich powózkach. Pomimo ostrzeżeń Herakliusz nie zdołał powstrzymać swej małżonki Sabiny od uczestnictwa w uroczystości; Sabinus zaś jadący w orszaku cesarskim za żadną cenę nie byłby się wyrzekł zabaw dnia dzisiejszego. Nieprzejrzany tłum ludu roił się przed i za pochodem i przysłuchiwał się z okien, dachów, schodów i świątyń. Tysiące ciekawych wyszło już wczas rano, aby w cyrku dostać miejsce jak najwygodniejsze.

Noc, którą Irena przepędziła na gorących modlitwach, uwolniła duszę jej od ostatnich naleciałości ziemskich. Myślała ona wprawdzie jeszcze o swoim synu; ale myśl ta już nie mąciła wcale majestatycznego spokoju jej duszy. Gdy orzeł wzniesie się z ziemi hen wysoko poza obłoki, wówczas krąży w tych przestworzach niebieskich z wzrokiem utkwionym w słońce, spokojnie, bez najlżejszego poruszenia skrzydeł. Gdy jeden z włęźniów rzucił pytanie, kiedy nareszcie walka się rozpocznie, Irena odrzekła z uśmiechem zawierającym błogie szczęście:

— Chrystus Pan, jako przewodniczący igrzysk, już zajął miejsce, Duch święty pomazał swoje bojowniki olejem swojej łaski i uzbroił ich w broń niebieską, a nieprzejrzane zastępy widzów, Święci Pańscy, oczekują rozpoczęcia walki. Podwoje śmierci zamieniły się w bramy tryumfalne, a u tych stoją aniołowie niebiańscy

w lśniaco-białych szatach w pogotowiu, aby zwycięzcę przyprowadzić przed najwyższego sędziego igrzysk, przed Nieśmiertelnego Boga, iżby z Jego rąk otrzymał nagrodę zwycięstwa, tj. gałązkę palmową i wieniec chwały.

Tak jak Irena w podziemnem więzieniu cyrku, podobnie i Walerya przepędziła noc bezsen-
ną w chacie Mincjusza. Jakkolwiek była niewymownie szczęśliwą na widok wolnego ojca, który tak szybko przychodził do zdrowia, to znowu trapiła ją srodze myśl o Irenie. Nie mogła się wcale pogodzić z myślą utracenia swej lubej macierzyńskiej przyjaciółki, a jednak z każdą chwilą okropna godzina coraz się zbliżała.

Serce się dziewczicy krajało na myśl o strasznym zawodzie, jakiego dozna syn Ireny, Kandydus, gdy po odniesionem zwycięstwie upojony szczęściem pobiegnie do swej matki, a tu zamiast ją uścisnąć i przywitać, otrzyma przygniatającą wiadomość, iż przed kilku godzinami padła pod mieczem kata, jako ofiara okrutnego tyrana.

Od Ireny miała polecenie oddania Kandydowi gąbki nasiąkniętej krwią jego ojca, lecz skądże miała zaczerpnąć słów, aby szlachetnego młodzieńca pocieszyć w niewysłowionej jego boleści?

Nie mogła mu nawet dać żadnej pamiątki po zmarłej matce.

A jednak! Gdyby pobiegła do cyrku, mogło jej się udać wraz z innymi wiernymi zbierać krew męczenników do chustek i gąbek, i takim sposobem mogła w tejże samej puszcze zjednoczyć krew ojca z krwią świeżo zabitej matki. A nadto mogła przecież czcigodne zwłoki matrony po-
grzebać nie w wspólnym grobie dla wszystkich

ofiar cyrkowych igrzysk, ale w grobie, który pierwotnie kazała wykuć dla swego ojca. Takim sposobem mogłaby przynajmniej Kandyda zaprowadzić do grobu matki. Przyszło jej wprowadzić na myśl niebezpieczeństwo powtórnego spotkania się z Sabinem; lecz przypuszczała, że Herakliusz w towarzystwie swego syna znajdować się będzie w orszaku cesarskich, a zresztą wśród tego mnóstwa ludzi i przy niejakej ostrożności mogła ujść jego zjadliwych oczu.

Gdy wczesnym rankiem oznajmiła ojcu o swoim przedsięwzięciu, Rufinus czynił wprowadzić przedstawienia i swoje uwagi, ale wreszcie zgodził się na widok okrycia głowy, które jej nałożyła Rustyka, a w którym Walerya wyglądała jak każda inna kobieta z tłumu, przez co nie tak prędko można ją było poznać i odróżnić od innych.

A był to przecudny poranek jesienny. Od wzgórz albańskich wionął silny a świeży wiatr. Słońce poranne z czystego nieba oświecało pochód uroczysty, odbijając się w lśniaco-złoty szatach i srebrzystej zbroi wojskowych w orszaku cesarza. Hardy Maksencyusz sądził, że to uśmiechające mu się szczęście umyślnie dla jego dzisiejszej uroczystości zgotowało tak pyszny poranek, on nie pomyślał, że to słońce nietylko jemu świeci. Całe zastępy wieśniaków ze wsi od podgórza Albańskiego stały pojedynczo lub gromadnie między pomnikami drogi apijskiej w swoich pstrych szatach, o rażących barwach, jakoby żywe wieńce kwiatów wzdłuż ulicy, przyjmując pochód radosnymi okrzykami.

Dwóch tylko mężczyzn było w tym bezrozumnym tłumie, jeden starszy, drugi młodszy, któ-

rzy nie zważali na przeciągający przepych, stojąc trochę z ubocza, a jeśli czasem mimochodem spojrzeli w tę stronę, to wzrokiem bardzo poważnym i ponurym. Starszym był sędziwy dyakon Sewerus, który znalazł się u katakumb św. Kaliksta, aby poczynić ostatnie przygotowania do pogrzebania męczenników; młodszego odznaczała łopata, na której się opierał; był to jeden z grabarzy (fossore) z zakasaną odzieżą, znany nam Mincyusz, który całą noc pracował nad przygotowaniem miejsca ostatniego spoczynku dla męczenników, a teraz wyszedł, aby się odświeżyć i pokrzepić orzeźwiającem powietrzem cudnego poranku.

— A toć wielka szkoda — rzekł grabarz — żeśmy tej beczelnej zgrai wczoraj nie odcięli odwrotu. Godzinka więzienia w katakumbach byłaby dla nich odpowiednią karą. Między swawolnikami znajdował się także Sabinus, syn prefekta kancelaryi, Herakliusza. Bardzo chętnie byłbym się z tym paniczkiem poznał.

Na to odrzekł stojący obok starzec:

— Bogu samemu pozostawmy karę, jako też czas i miarę, mój synu.

— Ojcie, ja wiem, że masz zawsze słuszość. Atoli gdy przejdę myślą wszystkie krzywdy i zbrodnie, jakich się na nas bezkarnie dopuszczają, a gdy z drugiej strony przypatrzę się przepychowi i zarozumiałości, z jaką cesarz znowu przeciąga do cyrku, aby święte członki Chrystusa kazać pobić swoim katom mieczem, to przecież przebiega mię nieraz chota...

— Czyż Baltazar, bezbożny król babiloński, nie był porażon tej samej nocy, w której zbez-

cześcił święte naczynia świątyni Jerozolimskiej, używając ich do świętokradzkiej uczty z swymi biesiadnikami?

— Gdy Daniel tłumaczył mu tajemnicze znaki piśmienne na ścianie. Ale przy dzisiejszych igrzyskach — mówił dalej Mincyusz, a święte oburzenie tryskało z jego oczu — dzisiaj nie są to puhary metalowe, ale żywe naczynia Ducha świętego; dzisiaj nie będą przelewali wina, ale kosztowną krew męczenników.

— A jeśli Pan Bóg zechce — rzekł starzec, mając na myśli Konstantyna — to i dzisiaj pokaże się tajemniczy znak piśmienny, którego atoli ani Maksencyusz ani jego biesiadnicy nie rozumieją.

— Ależ do tego czasu święte naczynia będą już dawno stłuczone, a krew ich święta przelana.

— Któż wie, mój synu, któż wie? Czyż Pan Bóg już Swoich sług nieraz nie wyrwał z paszczy śmierci?

Tymczasem cesarz, witany okrzykami i wrzaskiem tłumów, skończył swój pochód, główną bramą wchodząc do cyrku. Tam zasiadł na podwyższeniu wraz z najbliższym orszakiem, senatorami i dziewicami westalskimi. Z swego podniesionego tronu, tak zwanego „pulwinaru”, spoglądał Maksencyusz po rozległej a wspaniałej tej budowli, a uśmiech zadowolenia okazał się na jego twarzy, pomyślał sobie, iż wzbogacił Rzym jedną budowlą więcej, że ta pyszna budowla sławę jego na zawsze w Rzymie utrwali. Szeregi siedzeń w dziesięciu po sobie następujących stopniach ozdobione były najdroższymi gatunkami marmuru; mogły one zaś pomieścić dwadzieścia

tysięcy ludzi, a chociaż dzisiaj siedzenia cyrku nie były tak tłumnie obsadzone, jakby był Maksencjusz się spodziewał (z powodu, że obawa przed nastąpić mającymi wypadkami przemagała u wielu nad ciekawością do igrzysk), jednak ani na chwilę nie mąciło to radości cesarza na widok pysznego gmachu. Przez środek areny w całej jej długości ciągnął się długi mur, tak zwana „spina”, zdobny statkami, kolumnami i małymi świątynkami a obok którego siedmiokrotnie przejeżdżać mieli woźnice. W środku spiny wznosił się obelisk, który jeszcze Domicjan około roku 90 po narodzeniu Chrystusa sprowadził do Rzymu, a który teraz Maksencjusz kazał przenieść do swego cyrku.

Dzisiaj z tej budowli, którą okrutny tyran chciał poświęcić krwią męczenników, sterczą już tylko ruiny murów i wieżycy przy wschodzie; jeszcze można rozpoznać bramę śmierci, portę libitinis, którą wywlekano zwłoki nieszczęśliwych ofiar. Głęboka, złowroga cisza unosi się nad tem miejscem porośniętem trawą, a w gankach i sklepieniach zasypanych żwirem i wapnem z murów gnieźdzą się już tylko liszki. Ogromne ruiny opodal sterczące przypominają świątynię Romulusa i inne wspaniałe gmachy, które otaczały cyrk Maksencjusza; a ponad tem wszystkiem wznosi się przy podnoszącej się w górę drodze apijskiej grobowy pomnik Meteli, nadając wyobrażeniu zniszczenia wyraz jeszcze poważniejszy.

Uroczystość poświęcenia cyrku rozpoczęła się odsłonięciem statuy Romulusa, na cześć którego cesarz kazał gmach ten wystawić.

Dla cesarzowej urządzono osobny, wysoki tron, ocieniony baldachimem purpurowym z złotymi wyszywaniami, a zdobny w kosztowne ko-bierce wschodnie i wieńce; na złotych trójnogach płonęły kadzidła o najwonnejszym zapachu. Tu- stąd, otoczona swemi niewolnicami, mogła z bli- ska przypatrywać się odsłonięciu statuy swego syna.

Kiedy spadająca zasłona ukazała jej wizeru- nek zimny, biały, marmurowy, a w nim te ko- chane, ale już tylko z kamienia rysy, cesarzowa mimowoli wyciągnęła ręce, złamana boleścią, ja- koby chciała statwę objąć ramionami i z swej macierzyńskiej piersi przelać nowe życie w mar- twy kamień. Następnie jednak wsparła głowę na ręce i patrzyła z niemą boleścią przed siebie, nie zważając na otaczające ją niewolnice, które same wśród tysięcy ciekawych widzów odczuwały bo- leść matki i nieszczęście cesarzowej.

Po odsłonięciu statuy nastąpił religijny obrzą- dek poświęcenia cyrku. Polegał ten obrządek na tem, że kapłani wśród modłów i pieśni obnosili w procesyi złote i srebrne posągi bogów, jako też popiersia Maksencyusza i członków rodziny cesarskiej po cyrku, polewając mury jego wodą święconą. Ponieważ zaś droga wyścigowa była bardzo długa, więc obrzędy te zajęły niemało czasu, tak że ci, którzy je najczęściej już widy- wali, srodze się nudzili.

— Na Herkulesa — szepnął niecierpliwie Sa- binus do swego sąsiada — ci pobożni mężowie mogliby to nudziarstwo nieco krócej urządzić. Gdybym był na miejscu cesarza, to kazałbym, aby raczej kilkuset gladyatorów wystąpiło do

walki. Ich okrzyki wojenne daleko milej uderzają o moje uszy, niż to beczenie, a gdy świeża krew bryzga po arenie, to bogom i ludziom sprawia daleko więcej przyjemności, niż morze wody święconej.

Głośny szmer i okrzyki radości, którymi witano przybywającego do cyrku cesarza, stanowiły dla wyznawców Chrystusa znak, że godzina męczeństwa się zbliża. Z przygotowaniem, owszem z radością spoglądali oni śmierci w oczy. Wiodok żołnierzy, którzy z dobytymi mieczami ustawili się u wschodu więzienia podcyrkowego, z którego miano wyprowadzić chrześcian na rzeź, nie sprawiał na tych ostatnich wcale strasznego wrażenia. Jeszcze raz dali sobie wzajemnie pocałunek pokoju, wzajem się zagrzewając do wytrwałego wyznania imienia Chrystusowego. A chociażby wśród nich miał się znajdować taki, którego serce w obliczu śmierci by zadrżało, to jedno spojrzenie na Irenę byłoby mu bez wątpienia wróciło zupełną odwagę i męstwo do poniesienia męczeństwa.

Ona, co miała ponieść najcięższą ofiarę ze wszystkich, stała z niebiańsko rozpromienionem obliczem, jako matka między dziećmi swemi, a gdy od czasu do czasu wzniosła ręce do góry, a oko jej w błogiem zachwyceniu utkwione gdzieś wysoko ponad ziemią, wldziało niby niebo otwarte, o wtedy od tego żaru i gotowości do poniesienia najcięższych ofiar zapalał się także u innych święty płomień męstwa do wyznania Chrystusa.

Nareszcie nudne obrzędy wstępne skończyły się w cyrku, a wówczas oczy wszystkich zwró-

ciły się w stronę loży cesarskiej, skąd Maksencjusz przez rzucenie białej chustki na arenę miał dać znak do rozpoczęcia zapasów wojennych, to znów w stronę szranków w drugiej stronie cyrku, gdzie kierownicy wozów wyścigowych z ledwością zdołali powstrzymać ogniste konie, które z niecierpliwością i żądzą zapasów parskwały, kopiąc ziemię. Maksencjusz był obecny przy odsłonięciu statuy i przy początku pochodu procesyjnego; następnie jednak odszedł prawdopodobnie z nudów, które zbierały tak jego jak i lud. Teraz jednak musiał być na miejscu, aby dać oczekiwany znak.

Tymczasem mijała minuta za minutą a władca nie przychodził. Oczekiwanie i niepokój tysięcy pousadzanych na stopniowych galeryach wzrastały z każdą chwilą, a nareszcie usłyszano okrzyki i tupania nogami. W amfiteatrze bowiem i w cyrku, gdzie wśród takiego mnóstwa ludzi jednostka zupełnie zniknęła, pozwalał sobie młotoch niemało nawet względem surowego władcy, i tyrańscy zresztą cesarze brali względ na usposobienie i wyrażenia, na pochwałę czy naganą tłuszczy.

Z czasem niepokój ludu przybrał zupełnie odmienny charakter; wieść, że Konstantyn zaczął Rufusa i że zawrzała walka, przebiegała z ust do ust, wprawiając tysiące ludu zgromadzonego w cyrku w ogromny niepokój i podrażnienie.

Poruszenie stało się jeszcze większem, gdy jeden z dworzan dał w imieniu cesarza znak do rozpoczęcia wyścigów, aby lud uspokoić.

Na dany znak szranki opadły, a w dzikim pośpiechu wypadło sześć wozów, zaprzężonych każdy w cztery konie, jako strzała z łuku na drogę wyścigową. Zgięci i pochyleni naprzód woźnice stali na przedzie wozu zwanym biga i pędzili zrazu obok siebie po długiej drodze. Z czasem niektórzy wyprzedzili towarzyszków, pędząc ku mecie, a okrzykami i trzaskaniem z biczków poganiali konie wyścigowe do jeszcze spieszniejszego pędu.

Ale jeżeli zwykle Rzymianie z nadzwyczajnem zajęciem ścigali wzrokiem pędzące wśród chmury kurzawnej wozy, dodając otuchy różnobarwnym woźnikom okrzykami, klaskaniem rękami i powiewaniem chustkami, z jak szalonem poruszeniem przypatrywali się, gdy przedni wóz został wyprzedzony przez inny, a ten znowu został w tyle, lub gdy ów przy skręcaniu o bocznicę „spina” przy czterowieżowej mecie czy kolumnie kamiennej się rozbił, to dzisiaj nie miały igrzyska dla ludu wielkiego powabu i gdy znaczna część widzów cisnęła się już do drzwi wychodowych cyrku, reszta ludzi poczęła coraz głośniejsze i dziko gwizdać i krzyczeć w stronę łoża cesarskiej.

— Precz z końmi! — słyszeć było można — gdzież jest cesarz? co się stało? dajcie nam wieści!

Wreszcie wystąpił herold, czyli posłaniec i skinieniem laski poselskiej nakazał milczenie. Kierownicy wozów zatrzymali konie, wszystko słuchało z naprężoną ciekawością. Donośnym głosem powiadomił herold słuchaczy, że boski Maksencjusz nie mógł tego przenieść na sobie, aby tylko same jego legiony walczyły przeciw bez-

czelnikowi, który ośmielił się podnieść rękę na uświęconą stolicę państwa i burzyć spokój publiczny, przerywając wielkiemu ludowi rzymskiemu ulubione zabawy. Dlatego bohaterski cesarz podażył na czele swoich wojsk, aby przyćmić sławę wielkiego Cezara, gdyż sama obecność jego stanowi o zwycięstwie.

Na chępliwe słowa herolda jedni odpowiadali szyderczym śmiechem, inni pomyśleli z przerażeniem, że wynik walki musiał być bardzo wątpliwym, skoro cesarz Maksencyusz musiał opuścić igrzyska, aby osobiście udać się do wojsk swoich i stawić się na ich czele; wszyscy zaś myśleli tylko o tem, aby czempredzej powrócić do Rzymu.

W tem ogromnem zamieszaniu Sabina napróżno szukała swego syna, napróżno nawoływała swych niewolników, którzy mieli nieść jej lektykę. Wreszcie przyszła do przekonania, że wypadnie jej w świątecznej sukni puścić się pieszo wraz z tłumem do miasta, sapiąc i pot wylewając.

Gdy Maksencyusz na podstawie otrzymanych od Rufusa wiadomości co do stanu walki postanowił sam stawić się na czele swoich zachwianych legionów, tuszył sobie, że przez samo zjawienie się wśród wojsk rozstrzygnie o wypadku dnia. Mimo to krzyknął na odjezdnem nadzorcy więźniów, aby kazał wyciąć chrześcian do nogi, jeśli do wieczora nie nadejdzie wieść o zwycięstwie. Jeśliby mi się źle powodziło, to niechaj przynajmniej te psy chrześcijańskie nie cieszą się z mojej porażki.

Sabinus chętnie byłby pozwolił, aby sam cesarz zbierał wawrzyny. Aczkolwiek zrazu wydierał się najbliżej ku jego osobie, aby zwrócić na siebie wszechwładne a łaskawe jego spojrzenie, teraz starał się coprędzej czmychnąć; atoli skinienie Maksencyusza zmusiło go do przyłączenia się do orszaku cesarskiego. Puścili się więc w szalonym pędzie drogą apijską ku miastu; jeźdźcy pocztowi Herakliusza mieli Rufusowi czempredziej przynieść rozkaz, aby się trzymał tak długo, dopóki cesarz nie nadciągnie na pole walki.

Ze wzgórza, na którem stoi pomnik grobowy Kornelian, przypatrywali się pędzącej gromadzie sędziwy dyakon Sewerus i młodociany grabarz; nie mogli już wątpić, jakie znaczenie ma ten pospiech.

Sędziwy dyakon złożył ręce, wznosił oczy w niebo i z porywającą do głębi duszy powagą wyrzekł tylko jedno słowo:

— Baltazar.

XIII.

B i t w a .

O dobre pół godziny od bramy flamińskiej (Porta del popolo) schodzą się przy moście milwijskim (Ponte Molle) od północy dwa wielkie gościńce wojskowe, t. z. droga kasyjska i flamińska. Ta ostatnia ciągnie się od willi „pod kurami” na skraju stromych pochyłości, które czasami dochodzą aż do krętego łóżyska Tybru, to znów od niego się oddalają, oddzielając w ten sposób od siebie już to większe, już mniejsze równiny, wzdłuż rzeki rozłożone. Niedaleko

mostu milwijskiego rozlega się równina, wskutek silniejszego skrętu rzeki w wielką płaszczyznę, noszącą według ruin starego nagrobka nazwę łak czyli „Prati di Tor di Quinto”.

To jest pobojoisko z 28-go października 312 roku.

Rufus, naczelny dowódca wojsk maksencyuszowych, uszykował swoje wojsko w wielki trójkąt; Tybr, do którego w tem miejscu wpada rwąca odnoga Anio, miał po prawej stronie i z tyłu wraz z obydwoima mostami. Od lewej strony sterczały wzgórza obsadzone celnymi łucznikami i procarzami; przed sobą zaś na północ miał drogę flaminijską. Skutkiem wielkiego napływu wojsk tyrana rozlegały się szeregi jak daleko okiem sięgnąć, a były tak gęste, że tworzyły niejako olbrzymi mur. Uszykowanie było wielce dobrane w stosunku do niedogodnego położenia Konstantyna, mającego na ciasnej przestrzeni z prawej strony wzgórza, a z lewej Tybr tak, że nie mógł swych oddziałów wojennych należycie rozłożyć, a nadto narażony był na ustawiczne niebezpieczeństwo zgubnego napadu ze strony wyborowych strzelców rozłożonych wszędzie na skałach. Biorąc na uwagę także liczebną przewagę przeciwnika, który rozkazywał cztery razy większej liczbie wojowników (jak podają starsze kroniki, Konstantyn liczył 90 000 piechoty a 8 000 jazdy, gdy tymczasem wojsko Maksencyusza składało się z 170 000 pieszych a 18 000 jezdnych), to Konstantyn odważył się z swem wojskiem strudzonem silnymi pochodami na bitwę, która była, sądząc po ludzku, więcej niż śmiałą, a która mogła go odrazu wszystkiego pozbawić, gdyby ją był przegrał.

Konstantyn atoli, ufając w znak niebieski, który go tak cudownie przez cały szereg świętych zwycięstw doprowadził aż pod bramy Rzymu, nie chciał tracić ani jednego dnia, więc już o świcie wschodzącego dnia ustawił wojsko swoje w szyku bojowym i zmusił w ten sposób wroga do pochwycenia za broń. On sam w lśniącej i promieniejącej złotem zbroi siedząc na pysznym, białym jak śnieg ogierze, objeżdżał tam i nazad linię bojową, zagrzewał krótkimi, ale ognistymi słowy swoich mężnych wojowników do wytrwałości; a oni wpadli w zapal prawie natchniony.

Z swoją chorągwią „Labarum” na czele, okazywali liczni wojownicy chrześcijańscy w szeregach Konstantyna dotychczas męstwo godne nazwy lwiej odwagi, tem bardziej, że wszędzie, gdzie znamię Chrystusa nad nimi jaśniało śmiertelne pociski nieprzyjaciół zdawały się tracić swoją siłę. Tymczasem coraz bardziej się utrwalaający i przychodzący do znaczenia chrześcijański charakter owego sztandaru stał się powodem, że mocno przy pogaństwie obstający dowódcy i żołnierze poczęli teraz częściej krzywo i złowrogo spoglądać na owo znamię. Nawet sam Konstantyn wahał się jeszcze ciągle, a chociaż w głębi duszy wyznawał Chrystusa, przypisując mu dotychczasowe swoje powodzenie, jednak jeszcze tak dalece nie mógł się przezwyciężyć, aby z gorącością żywej wiary wznieść się modlitwą do Boga chrześcijan. Zwłaszcza zaś w obliczu Rzymu, tej opoki czci bogów, odżyły w duszy jego znowu różne powątpiewania i po części przez wzgląd na swoich pogańskich żołnierzy, po czę-

ści zaś z braku stanowczości w tym punkcie postanowił, że szósty legion, który właśnie miał „Labarum” za chorągiew, ma dopiero wtedy wyruszyć w war bitwy, gdyby tego wymagała konieczna potrzeba. Gdyby zatem ich męstwo przechyliło szalę zwycięstwa na jego stronę, to wtedy ostatnie wątpliwości co do religii chrześcijańskiej miały ustąpić z duszy jego. Dlatego wyznaczył on owemu szóstemu legionowi takie miejsce wśród wojowników, że w każdym razie dopiero w drugim spotkaniu miała przyjść na niego kolej. Na czele tego legionu trzymał i dzisiaj setnik Kandydus święte знамя, lśniące w blasku wschodzącego słońca imieniem Chrystusa, a współwyznawcy patrzeli z dumą na wspaniałą postać szlachetnego młodziana, którego widok chrześcianom przywodził na pamięć Michała archaniola, jak na duchy przepaści piekielnej zawołał gromko: „Któż jak Bóg?”!

Gordyanus złożył bogom mnóstwo ofiar z zabitych zwierząt i oświadczył, iż czuje się niewymownie szczęśliwym, że może zwiastować boskiemu cesarzowi, jak oglądanie i badanie ofiar wykazało najpomysłniejsze znaki dla niego.

Gdy tymczasem wszystko było w pogotowiu do boju, Konstantyn dał znak do zaczepki, zabrzmiały sygnały i hasła, i wśród wesołego a przejmującego odgłosu trąb i okrzyku bojowego, który przewalał się w szeregach, tak właśnie, jak grzmot przewala się po niebie, ruszyły legiony do walki.

Sam Konstantyn ustawił się na czele jazdy galijskiej, a chociaż naokół niego świszczwał grad strzał i pocisków, to jednak z taką siłą i gwał-

townością uderzył na jazdę nieprzyjacielską, że ta nie wytrzymała dzielnego natarcia i rozpięchła się w dzikiej ucieczce. Atoli ciężko zbrojna piechota legionów Maksencyuszowych stała nieporuszona jak mur ze spiżu, mąż obok męża, tarcz obok tarczy, a pierwszy napad odbił się o cały las wystawionych naprzód dzid. Konstantyn dał wprawdzie rozkaz, aby także kolumny piechoty ruszyły do walki; atoli teraz wystąpili z drugiej strony do walki owi starzy, bliznami od ran pokryci pretoryanie, a od ich męstwa odbiła się przemoc pierwszego napadu wojska Konstantynowego.

Aż tu nagle nieprzyjaciel od obrony przeszedł do zaczepki. Sam Rufus prowadził swoich weteranów, z którymi odniósł już niejedno zwycięstwo, naprzeciw wroga; od drugiego skrzydła ruszyli Herkulianie, sześć tysięcy olbrzymich postaci, mający głowę lwa jako ozdobę na hełmie, a zamiast mieczów trzymający w ręku ogromne maczugi ze stali, z powiewającymi na ramionach lwimi skórąmi. Pod ciężkimi krokami tych ciężko zbrojnych kolumn aż ziemia drżała, a zetknięcie się nieprzyjaciół było straszliwe.

— Na Wodana — ryknął król Erok pełen gniewu i zapamiętałości na swoich Germanów — czyżem to stare baby od kądzieli poprowadził na Rzym? Niechaj bóg Tur gruchnie każdego młotem w kark, któryby mi się choć na krok cofnął!

Było to na ręce legionom Rufusa, że miały słońce za plecami, gdy tymczasem przeciwników raziło ono w oczy; nadto wiatr wschodni podnosił gęste chmury kurzu i rzucał je prawie naprzeciw hufcom Konstantyna.

Rufus posłał pierwszego gońca pospiesznego, aby uwiadomił Maksencyusza o pomyślnem rozwinięciu się bitwy.

Wiadomość nadeszła właśnie w tej chwili, gdy spadła zasłona z statuy Romulusa; czyż mógł być dla tyrana szczęśliwszy zbieg okoliczności? Mimo to zapanował nad sobą, i nie ogłosił natychmiast przez herolda pomyślnej wieści; chociaż był pewnym zwycięstwa, postanowił czekać do chwili, w której będzie mógł ludowi rzymskiemu donieść o zupełnej zagładzie przeciwnika; spodziewał się bowiem, iż to sprawi daleko większe wrażenie.

Tymczasem bitwa chwiała się niepewnie to na jedną, to na drugą stronę. Żołnierze Konstantyna pomni na zwycięstwa dotychczas odnoszone, mając przed oczyma Rzym, cel swoich pragnień i najgorętszych życzeń, walczyli jako lwy; atoli stare hufce Maksencyusza walczyły z zimną krwią i odwagą nieustraszoną, a miały za sobą dogodniejsze położenie, jako też i liczebną przewagę.

Aby wzgórza oczyścić z nieprzyjacielskich łuczników i procarzy, wysłał Konstantyn trybuna Artemiusza z kilku kohortami z rozkazem, aby napadł na nich z tyłu; jednakże ten napotkał na nieprzewidywany opór, a oprócz tego mordercze strzały działały niszcząco na prawe skrzydło.

Erok, sędziwy król Alemanów, zebrał swoich German do nowego napadu na lewe skrzydło i aby ich jeszcze więcej zagrzać do odwagi, powierzył sztandar swemu jedyjnemu synowi, który był ulubieńcem i bożyszczem żołnierzy germańskich. Z nieuleknionem męstwem rzucili się

dzielni olbrzymi do walki; pierwszą ofiarą napadu był wspaniały młodzieniec, który przeszyty śmiertelną strzałą padł na ziemię. Erok widział to; łzę cisnącą się gwałtem do oka, powstrzymał. Niestety jego wojownicy nie zdołali oprzeć się chwilowemu zwątpieniu i zachwianiu. Tę chwilę zachwiania się wyzyskali stojący naprzeciw Herkulanie i rzucili się z nieprzepartą siłą naprzód. Pod strasznymi ciosami ich stalowych maczug pękały i rozlatywały się w kawałki hełmy i pancerze, jak gdyby były z gliny robione; na samym przedzie nakształt lwa, srożył się Marcyalis, z którego wielu ran spływała krew, podrażniony do wściekłości przez otrzymane rany. Kładł on w tem zapamiętaniu trupa za trupem. Germanie cofali się, ich hufce pierzchać poczęły.

• Rufus wtedy wyprawił drugiego posłańca.

Konstantyn widzi, jak najlepsi jego rycerze idą na śmierć, jak kohorty, które dotychczas nigdy się nie zachwiały, poczęły cofać się z zwątpieniem i rozpaczą, widział jak nieprzyjaciel pijany pewnością zwycięstwa z nieprzewycięzoną siłą łamał jego szyki; przed sobą Rzym, z tyłu hańba i śmierć, a naokoło piętrzące się stosy zabitych wojowników... W tej stanowczej chwili zwrócił się do Boga chrześcijańskiego.

— Jezu Chryste! — zawołał, wznosząc ręce i oczy ku niebu — jeśli istotnie był to Twój znak, który okazał mi się nad słońcem i przyrzekał mi zwycięstwo, to błagam Cię, dotrzyмай mi Twej obietnicy. Wtedy uwierzę i wyznam Ciebie, a wraz ze mną uzna Cię całe państwo i uwielbiać Cię będzie jako jedynie prawdziwego Boga... Legion szósty niech wyruszy do walki!

Na czele ulubionego Kandyda niosącego chorągiew „Labarum” i z okrzykiem bojowym: „Christus vincit” Chrystus zwycięża, rzucili się chrześcijańscy bohaterzy na wroga. I dziwna rzecz! Jakoby na skinienie laski czarodziejskiej los potyczki stanowczo się zmienił. Jako wody rzeki odbijają się od skały, o którą uderzają i cofać się muszą, tak zatrzymały się zrazu szeregi nieprzyjacielskie a potem pierzchać poczęły. Zdawało się, jakoby nadprzyrodzone światło biło z lśniącego od słońca imienia Chrystusowego i raziło przeciwników promieniami jak płomień gniewu Bożego. Równocześnie na szczytach skał pojawili się żołnierze Artemiusza; naokół widziano nieprzyjaciół spadających z prostopadłych ścian skalistych; wkrótce wzgórze oczyszczono z nieprzyjaciół, a wtedy kohorty Artemiusza szeroką doliną, noszącą dziś nazwę od malarza Poussin wpadły nieprzyjacielowi w bok.

— Chrystus zwycięża, Chrystus zwycięża! (Christus vincit!) — zabrzmiało znowu echem; skrzydła pokrzepione na widok parcia szeregów środkowych uderzyły znowu na nieprzyjaciela, a następnie coraz głośniej rozlegał się na całej linii bojowej tak u chrześcijańskich jak i pogańskich żołnierzy okrzyk: — Chrystus zwycięża! Chrystus zwycięża!

Rufus zgrzytał zębami z wściekłości, gdy na czele nieprzyjacielskich legionów ukazał się znów ten czarodziejski sztandar, który mu już po czterokroć wydarł z rąk zwycięstwo, i cztery'roć zdarł mu wieniec wawrzynowy jego sławy wojennej; widząc jak żołnierze jego wstrzymani w zwycięskim pochodzie, a następnie odparci,

daremnie szli na śmierć, jak Pretoryanie, a nawet Herkulianie mieszać i cofać się zaczęli.

Wtedy trzeci posłaniec odszedł do miasta z wieścią do Meksencyusza. Lecz zaledwie cesarz odebrał tę wiadomość, marszcząc brwi ponuro, aliści nadchodzi nowa wiadomość tej treści:

— Przeklęty znak Chrystusów ściele wszystko pod nogi; gdzież twoje przyrzeczenie? Jedyne twoja obecność zdoła odmienić los bitwy!

Maksencyusz na tę wieść strasznie zaklął. Ależ on przecież musiał zwyciężyć; to nie ulegało żadnej wątpliwości i jakkolwiek go gniewało, że musi opuścić igrzyska, za to tem większą okryje się sławą, pomyślał sobie, gdy jego własna osoba przyczyni się do zwycięstwa. Wtedy wszystek lud jemu tylko przypisze świetne zwycięstwo.

— Dobrze — rzekł — ponieważ Rufus nie może przełamać na kolanie berła Konstantynowego, więc będę ja to musiał uczynić. Nazareńczyku — zawołał szyderczo — zobaczymy, kto z nas dwóch będzie mocniejszym.

Po całogodzinnej jeździe stanął na pobojuwisku.

Rufus tymczasem mógł przy wielkiej przewadze liczebnej swoich hufców poprowadzić z wojska odwodowego świeże legiony do walki, aby napadem wszystkich wojsk przechylić chwającą się szalę zwycięstwa na swoją stronę, i rzeczywiście wobec wału zwartych kolumn wstrzymany został chwilono pochód nieprzyjaciela. Jednakże zdawało się, jakoby ponad legionami Konstantyna walczyły w powietrzu jakieś niewidzialne zastępy niebieskie za znamię krzyża,

i jakoby jakieś niewidzialne ręce chwyciły strzały i pociski wroga, miotając je z powrotem na niego.

Gdy Maksencyusz ukazał się na pobojoisku wrzała na całej linii, jak okiem sięgnąć, straszliwa rzeź. Kohorty pretoriańskie pomne swej świetnej przeszłości okazywały dawne męstwo; owi pretorianie, którzy tak często cesarzy wznosili na tron i znowu ich stracali, padali bohaterską śmiercią za władcę, który wcale nie był godnym takiej ofiary. Z niemniejszą dzielnością walczyły także legiony z Sycylii i Afryki, które broniły każdej piędzi ziemi z odwagą, jaką wlewa rozpacz... tem rozpaczliwiej, że płynąca za ich plecami rzeka, ku której coraz bardziej je spychano, zostawiła im tylko wybór między zaszczytną śmiercią w bitwie albo zgonem w zimnych nurtach wody.

Zjawienie się Maksencyusza powitali jego wierni żołnierze z zapalem. Mając na skroni złotą promienną obwódkę, u ramion powiewający płaszcz purpurowy, bez zbroi i broni, ufny tylko w wrażenie, które osoba jego wywierała, stanął cesarz na czele Herkulian.

— Na Herkulesa, za mną — ryknął na swoją gwardyę cesarską, spinając rumaka ostrogami, tak, że tenże stawając dziko dęba, skoczył w środek walczących nieprzyjaciół.

Za nim rzucił się Rufus, za tym znów sunęli Herkulianie wywijając maczugami na posuwających się ciągle naprzód przeciwników, lecz cóż zdoła przemódz siła przyrodzonej broni przeciw mocy niebieskiej?

Obok Maksencyusza padł trupem, dzidą przeżyty jego dzielny dowódca, Rufus; przed ciągle naprzód postępującem „Labarum” cofnęły się nawet zastępy Herkulianów.

Tak rozstrzygnęły się losy owego dnia.

Wkrótce popłoch i ucieczka stały się powszechnymi. W zupełnem rozprzężeniu uciekało wszystko ku owym dwom mostom, rzucając broń, ścigane przez jazdę galijską. Pod ciężarem uciekających rozstąpił się most złożony z łodzi, topiąc jednych w nurtach rzeki a odcinając drugim drogę do ucieczki; mała tylko liczba zdołała na luźno pływających łodziach dotrzeć do przeciwległego a stromego brzegu. Od zniszczonego mostu z łodzi rzucili się uciekający żołdacy ku mostowi milwijskiemu, ciągle ścigani i dosięgani od morderczych mieczy i pocisków nieprzyjacielskich. Kamienne poręcze po obu stronach mostu nie zdołały stawić oporu niezmiernemu parciu i naciskowi; to też złamały się a piechota i jezdni wpadali do wody i tam tłoczyli się w strasznem zamięszaniu, walcząc z śmiercią i piętrzącemi się falami. Nawet ci, co pływać umieli, ginęli, wciągani w zimny i mokry grób przez tych, którzy w rozpacz y śmierci czepiali się ich, między nimi także Sabinus, syn prefekta kancelaryi.

Maksencyusz otoczony i zaślaniany przez swoich Herkulianów i resztę Pretoryanów dostał się ustępując zwolna aż do mostu; tu atoli masy uciekających tak się zbiły, że ani podobno było posunąć się o krok naprzód. W tej chwili zjawił się na czele szóstego legionu, na wspaniałym rumaku Konstantyn, aby ostatnim ciosem położyć

koniec krwawej bitwie. Powtarzając wraz z innymi żołnierzami okrzyk: „Christus vincit”, uderzył z wielkim impetem na nieprzyjaciela, mając u boku „Labarum”.

Gwardya cesarska czując za sobą przewalające się fale wodne, przed sobą widząc straszliwy miecz nieprzyjaciół, zadający pewną śmierć, walczyła w ostatecznych wysiłkach.

Maksencjusz zaś spostrzegłszy, że wszystko stracone, spał konia ostrogami i skoczył z stromego brzegu do rzeki. Atoli wezbrana rzeka porwała konia i jeźdźcę; w rozpaczy objął tyran konia za kark i znikł w nurtach rzeki przed oczyma Konstantyna.

W tej chwili dał zwycięzca znak, aby zaprzestano walki i ścigania. Następnie zsiadł Konstantyn z konia, ukląkł na ziemi i z odkrytą głową dziękował niebu za świetne zwycięstwo.

Obok cesarza padł na kolana Kandydus, setki żołnierzy chrześcijańskich, a nawet i zastępy wojowników pogańskich, na których ta wymowna chwila uczyniła porywające wrażenie, padły na kolana. Łzy wzruszenia spływały po spalonych licach, każdy to uczuwał, że jakaś wyższa potęga zdruzgotała moc nieprzyjacielską i uwieńczyła chorągwie Konstantyna najwspanialszym wieńcem zwycięstwa.

Krótko po południu, wielka i rozstrzygająca bitwa była wygraną.

Teraz dopiero król Erok przypomniał sobie syna. Zwłoki drogiego młodziana znalazł niedaleko brzegu rzeki. Trzymał jeszcze w śmierci chorągiew silnie w skostniałej ręce. W niemej boleści pochwycił starzec syna w ramiona; wo-

jownicy jego chcieli mu odebrać ten kosztowny ciężar, lecz on nie dopuścił tego.

— Ojciec — rzekł do nich — wprowadził go do życia, ręce też ojcowskie niechaj złożą go w grobie. Zdała od ojczyzny pogrzebień go w obcej ziemi; lecz duch jego znalazł niewątpliwie drogę do Walhali, gdzie bohaterzy uczują, zażywając szczęścia i chwały.

U stóp rozłożystego cyprysu, na wysokości brzegu Tybru, w pełnej zbroi z twarzą zwróconą ku Wschodowi spuszczone zwłoki młodziana do grobu. U głowy jego postawił Erok tarczę bohatera, a jego wojownicy wycięli na pamiątkę w korze drzewa imię młodzieńca.

Wielka bitwa, która rozstrzygnęła o losach Rzymu i Kościoła, została godnie przedstawioną na obrazie wykonanym przez sławnego malarza Rafaela w Watykanie.

XIV.

W y b a w c a .

Było to dla Konstantyna rzeczą niepośledniej wagi, aby pobici żołnierze Maksencyusza nie wpadli na pomysł zgromadzenia się za murami miasta, przez co wywiązałoby się jeszcze może długo trwające oblężenie, a następnie po zdobyciu miasta, krwawa walka uliczna, ani też nie mścili się na bezbronnej ludności za odniesioną porażkę przez mordy i rabunki. Jak tylko więc bitwa została rozstrzygniętą, dał natychmiast rozkaz swej jeździe, aby drogą wiodącą do Watykanu puściła się do Rzymu, i aby częścią przez most elijski opodal nagrobka Hadryana (dzisiej-

szy most anielski), częścią zaś przez most jani-
kulański, znajdujący się dalej w dół rzeki, wtar-
gnęli do miasta i obsadzili kapitol i forum.
Zarazem zamknęto oddziałami wojska most
milwijski i drogę wiodącą do Watykanu, aby
odciąć drogę rozpierzchłym hufcom Maksen-
cysza. Naczelnemu dowódcy jazdy przydał
Konstantyn do towarzystwa Paulina, częścią aby
tenże urzędowo władze miejskie zawiadomił
o zwycięstwie cesarza a ostatecznym pogromie
Maksencyusza, częścią zaś i to głównie, aby za-
spokoić gorące pragnienie senatora, który ciągle
jeszcze nie miał żadnej wieści o swych dzie-
ciach, więc pragnął czemprowadzić się
o ich losach.

W mieście tymczasem do chwili, gdy donie-
siono o rozpoczęciu się walnej bitwy, niepokój
wzmagał się z każdą godziną, zwłaszcza gdy
Maksencyusz puścił się na pobojuwisko i gdy
coraz gęstsze zastępy uciekających z pola bitwy
dobiegały do miasta, podczas gdy tysiące widzów
wracały z cyrku. Wszystko wahało się między
nadzieją a obawą; najsprzeczniesze wieści krzy-
żowały się z sobą a pogrożki żołnierzy ciągną-
cych gromadami przez ulice miasta, że podpalą
miasto na czterech rogach, że tylko kupa gru-
zów zostanie z Rzymu, jeśli Maksencyusz zosta-
nie pobitym przez Konstantyna, napełniły oby-
watelstwo niewysłowioną obawą.

Senatorzy zaś po przerwaniu igrzysk cyrko-
wych, gromadzili się powoli w świątyni Zgody
u stóp kapitolu, gdzie patrycyusze zwykle odby-
wali swoje narady. Wysyłano gońca za gońcem,
aby otrzymać pewne wiadomości z pola bitwy;

nareszcie nadeszła groźna wieść, że Maksencyusz zginął w nurtach rzeki, a bitwa tem samem skończona. Senat natychmiast wyprawił na pole bitwy uroczystą deputacyę, na jej czele nowego prefekta miasta Anniusa Anulina z złotymi posążkami Romy i Zwycięstwa, aby zwycięscy złożyła hołd i powinszowanie. Zarazem wydał senat rozkaz, na wniosek chrześcijańskich senatorów, który jednogłośnie został przyjęty, aby przełożeni więzień państwowych i publicznych budowli natychmiast uwolnili wszystkich oskarżonych i skazanych za obrazę majestatu więźniów.

Jakąż radością i zapalem rozbrzmiewało powietrze, i jak lud błogosławił Konstantyna, gdy z więzień wypuszczono ofiary strąconego tyrana! Jeszcze głośniejszemi stały się radość i zapal, gdy wkrótce potem jazda Konstantyna przez most elijski wkroczyła do miasta i obsadziła forum.

Paulinus, witany przez swoich przyjaciół w senacie jak najserdeczniej, długi czas napróżno dopytywał się o swoje dzieci; nikt nie był w stanie dać mu jakąkolwiek wiadomość o losach ich; niepokój ojca wzrastał z każdą chwilą. Nareszcie pewien chrześcijański senator przyniósł mu radosną wiadomość, że dzieci jego ukrywają się w wili Kwintilian, leżącej pod miastem na drodze apijskiej, a będącej w posiadaniu pewnej rodziny chrześcijańskiej. Ów senator mógł być jeszcze dodać, że od kilku tygodni otrzymywały one wraz z kilku innymi katechumenami naukę wiary chrześcijańskiej.

Paulinus wyprawił natychmiast konnego posłańca, aby czemprędzej sprowadził dzieci jego

do Rzymu. Gdyby on był wiedział także o chrześcianach skazanych na śmierć w cyrku! Wraz z posłańcem mógł był także wyruszyć oddział jazdy do cyrku, aby ich wypuścić na wolność. Atoli w ogólnem zaniepokojeniu i zamieszaniu, wśród szybko po sobie następujących wypadków nie pomyślał nikt o wyznawcach w dalekim cyrku, i jeśli nie zjawi się niespodziewana pomoc nakształt anioła wybawcy, to okrutny tyran jeszcze w śmierci swojej zażąda swoich ofiar.

Na wiadomość o rozpoczęciu bitwy udał się biskup Milcyades wraz z kilku dyakonami i małą garstką chrześcian już o świcie do katakumb św. Walentego, które dzisiaj są już zupełnie zapadłe, a leżały na wyniosłości od bramy flamińskiej aż do mostu milwijskiego. Tam znajdował się on niedaleko pobojo-wiska, aby natychmiast po ukończeniu bitwy nieść pomoc rannym wojownikom chrześciańskim. Z wili, leżącej u wejścia do katakumb na wysokości łańcucha pagórków, można było oglądać w oddali pobojo-wisko, z bliska zaś pierwszych zbiegów pędzących drogą flamińską ku miastu, cesarza pędzącego na pole walki, ogólny popłoch i ucieczkę wojsk pobitych; w ten sposób chrześcianie będący u dołu w katakumbach otrzymywali od czasu do czasu wiadomości o przebiegu bitwy. Podczas gdy Konstantyn i wojownicy jego walczyli mieczem, to chrześcianie w gorących modłach wznosili ręce ku niebu na wzór Mojżesza, który modlił się, podczas gdy Izrael bił się z Amalekity.

Nareszcie nadeszła wieść o odniesionem zwycięstwie; wkrótce potem dalsza wiadomość, że Maksencyusz utonął w nurtach rzeki.

Wówczas podniósł się arcykapłan, aby zanuć hymn pochwalny, który niegdyś zaintonował Mojżesz, gdy Faraon zginął z wojownikami swymi w morzu:

Chwalcie Pana śpiewając, gdyż okazał się wielkim w chwale Swojej.

Konia i jeźdźca pogrzebał On w morzu.

Pan jest mocą moją; On moim wybawcą i Bogiem. Powstał do walki bohater.

— Wszechmocne jest imię Jego —

I stracił wojsko Faraona wraz z wozami ich w przepaść.

Przemocnem okazało się ramię Twoje! jakże dotknęła prawica Twoja nieprzyjaciela;

„Ściągać ich będę“ — rzekł — „mój miecz niechaj pogubi je wszystkie“. —

Jedno tchnienie Twoje — a pokryło je morze;

I zatonęli jako olów w odmętach.

Ty Zbawco, prowadziłeś w łaskawości lud Twój,

I przeniósłeś go miłościwie na mocnem rękę Twoim.

Następnie udał się sędziwy biskup wraz z duchowieństwem i otaczającymi go chrześcianami na pobojowisko. Gdyż jeżeli godziło się, aby w pierwszej linii Kościół rzymski zaniósł zwycięskiemu cesarzowi dzięki i powinszowania, to niemniej pierwsza godzina, zwracająca chrześcianom po trzechsetletnim ucisku wolność, powinna być uświęconą dziełami miłości i miłosierdzia, które po wszystkie czasy były powołaniem i znamieniem Kościoła Chrystusowego. Od oblicza przestawnego zwycięzcy, który w imię ich Boga zniweczył nieprzyjaciela, chcieli chrześcianie udać się co prędzej do biednych rannych i umierających na pobojowisku, aby w toż samo błogosławione imię końć ich boleści i pocieszać w godzinie śmierci.

Lecz sędziwy biskup miał jeszcze jeden ważny powód do spiesznego zobaczenia się z cesarzem; tym powodem była myśl o skazanych na śmierć chrześcianach w cyrku. Co się z nimi działo? Czy ich już wycięto do nogi?

Wiedziano, że igrzyska miały być godnie zakończone zgładzeniem biednych ofiar; wyścigi prawdopodobnie jeszcze się nie rozpoczęły, gdy Maksencyusz opuścił cyrk, albo też przynajmniej doznały skutkiem tego przerwy; atoli chociaż papież mógł żywić nadzieję, że wyznawcy jeszcze są przy życiu, to czyż nie groziło im okropne niebezpieczeństwo, że padną ofiarą nienawiści do chrześcian i zemsty dozorców? Konstantyn jedyny mógł ich uratować, to też z troskliwą starannością ojca o swoje dziatki pobiegł sędziwy biskup do cesarza, aby od niego wybłagać natychmiastowe uwolnienie wyznawców.

Gdy papież ukazał się w obozie, cesarz właśnie odbywał radę wojenną wraz z swym sztabem generalnym, a na tej radzie postanowiono jeszcze dziś odbyć uroczysty wjazd do miasta; Konstantyn własnoręcznie przypiął Kandydowi odznaki trybuna wojennego, a na palec włożył mu złoty pierścień. Sam cesarz jako też jego otoczenie znajdowali się jeszcze pod silnem wrażeniem, jakie uczyniło rozstrzygnięcie się walki dnia dzisiejszego. Uroczystość chwili obecnej podnosiła jeszcze myśl o tylu towarzyszach broni i wysokich oficerach, których brakowało na radzie wojennej, a którzy częścią polegli, częścią zaś śmiertelnie ranni, wyczekiwali śmierci.

Była to chwila dziejowej doniosłości, gdy sędziwy arcykapłan stanął przed młodocianym,

świeżo uwieńczonym zwycięstwem imperatorem. Gdy przez trzysta lat imię chrześcijańskie stanowiło dla Rzymu i świata rzymskiego przekleństwo, gdy dotychczas pogańscy cesarze obawiali się zagłady i strącenia od Boga chrześcian i dlatego nakazali na jego wyznawców najkrwawsze prześladowania i męczarnie, — teraz Konstantyn czuł, że to Bóg chrześcian uwieńczył mu skronie świetnem zwycięstwem, teraz oto pierwszym, który mu przynosił z stolicy hołd i życzenia, był biskup chrześcian. Z trzechsetletniej ciemnicy katakumb wystąpiła oblubienica Chrystusa, Kościół św. przed nowego władcę, ofiarując mu się z pomocą do zbudowania nowego, lepszego i szczęśliwszego świata na gruzach świata starego. Po raz pierwszy zjednoczyły się z sobą w przyjaźni zapowiadającej błogą przyszłość, kapłaństwo i cesarstwo, sacerdotium a imperium.

Zjawienie się sędziwego biskupa, jako też prosty i pełen godności ton, w którym przemawiał do cesarza, zrobiły niezatarte wrażenie tak na cesarzu samym, jak na jego otoczeniu. Mimowoli porównywał go Konstantyn z Gordyanem i innymi pogańskimi kapłanami: jakże odmiennym od nich wydawał mu się ten kapłan chrześcijański! Konstantyn czuł, że stoi przed papieżem!

Arcykapłan załączył do swych życzeń zarazem prośbę, aby cesarz co prędzej wyprawił gońca na prędkim koniu do cyrku.

Kandydus z uszanowania dla cesarza i papieża przezwyciężył się, nie pytając o swoją matkę, chociaż dusza rwała się, aby z ust papieża otrzymać potwierdzenie wiadomości, którą mu co

dopiero posłaniec przyniósł. Na wiadomość, że chrześcijanie w cyrku skazani są na zgładzenie, jeśli wogóle już nie zostali pozabijani, przeszło duszę jego straszne przeczucie, i zbladły jak ściana zwrócił się z drżącym głosem do papieża z zapytaniem:

— Gdzież jest moja matka?

Milcyades ociągał się z odpowiedzią.

— Czyż i ona?... — zawołał Kandydus, a ponieważ milczenie papieża wymownie mu oznajmowało o losie matki, więc zaraz rzucił się do nóg cesarza, błagając o pozwolenie udania się czempredzej do cyrku.

Konstantyn rozkazał natychmiast przyprowadzić najręczniejszego andaluzyjskiego bieguna; zarazem wyprawił spiesznego gońca do miasta, do głównodowodzącego jazdy, by niezwłocznie wysłał dwie dekurye czyli szwadrony do cyrku, leżącego na drodze apijskiej; następnie podając Kandydusowi własnoręcznie pisany rozkaz, aby więźniów natychmiast wypuszczono na wolność, rzekł:

— Wiadomość o naszym zwycięstwie a upadku Maksencyusza już zapewne tamdotąd doszła, a w takim razie więźniowie niewątpliwie zostali uwolnieni; a jeśli nie, to ty będziesz oczekiwanym i mile widzianym posłem, który swoją szlachetną matkę wraz z resztą chrześcijan z tryumfem przyprowadzisz do Rzymu. Ja tymczasem — ciągnął dalej Konstantyn — wyślę rozkaz do zarządcy cesarskiego pałacu Lateranów, aby dla twojej matki, jako też dla tych, których będziesz tam chciał umieścić, przygotował jedno skrzydło pałacowe. Teraz zaś spiesz się; Bóg, który nas

prowadził aż do Rzymu, poprowadzi i ciebie w objęcia twej matki.

Konstantyn zamilczał z ostrożności myśli o tej możliwości, że Maksencyusz mógł właśnie na przypadek porażki nakazać zgładzić wszystkich chrześcian będących w cyrku; Kandydus także żywił tę samą obawę. Z błyskawicznym pospiechem popędził wskazaną drogą, prowadzącą nad brzegiem Tybru wzdłuż pasma wzgórz watykańskich, ponieważ ta nie była zamkniętą przez ścisk tłumów. Dalej gnał przez dzielnicę zatybrzańską koło cyrku największego (circus Maximus) i kąpieli Karakalli aż do bramy apijskiej. Szlachetny rumak zdawał się wcale nie dotykać ziemi, zwłaszcza gdy przez wspomnianą bramę wyjechali z miasta, a jednak Kandydus życzył sobie skrzydeł. Pędzony wzrastającą obawą, wzdychał i modlił się do nieba z głębi duszy:

— Daj, abym przyszedł w porę, abym się nie spóźnił!

Wraz z Waleryą zebrała się garść wiernych, po większej części krewnych skazanych na śmierć, już wczas rano około cyrku, aby zwłoki męczenników przenieść na cmentarz Kaliksta; później przybył także dyakon Sewerus z Mincyuszem i innymi grabarzami. Jeden z uganiających się po podwórzcu żołnierzy wygadał się, że bitwa już na dobre zawrzała. Na wiadomość tę mimowoli odżyła w skazanych nadzieja, że zostaną uratowani. Następnie przybyli pierwsi wysłańcy Rufusa, a więźniowie z trwogą i strapieniem słyszeli, z jaką to radością opowiadali o powodzeniu wojsk Maksencyuszowych.

— Panie — westchnęła Walerya z głębi duszy — spraw, aby ofiara, którą składają ci męczennicy, ubłagała pomoc i zwycięstwo dla Konstantyna!

Raz nawet powzięła myśl, aby, gdy męczenników poprowadzą na śmierć, przecisnąć się przez tłumy do nich, wyznać głośno, że i ona jest chrześcianką, ażeby tym sposobem swoje życie także złożyć w ofierze w celu wymodlenia dobrego wyniku wojny dla zastępów Konstantyna; i tylko wspomnienie na ojca powściągnęło ją od tego kroku. Później przybył trzeci a wkrótce i czwarty posłaniec.

Maksencyusz opuścił cyrk wśród igrzysk, aby co tylko koń wybiedz może, pognać do Rzymu; ogólny popłoch i ucieczka tłumów nie pozwalały wątpić, że zwycięstwo chyli się na stronę Konstantyna, a wtedy dyakon Sewerus zawołał tryumfująco na młodego grabarza:

— Czy przypominasz sobie króla Baltazara i tajemniczy napis?

Walerya usłyszała to pytanie.

— Po Baltazarze — zawołała — przyszedł ów król, pod którym Bóg wyratował Daniela z jaskini lwów, a dzisiaj Wszechmocny uczyni podobny cud!

Nadzieja jest niejako pocieszającą matką, i młodzież zwłaszcza tuli się chętnie do jej łona, a na widok słodkiego jej uśmiechu zapomina, że zawód i rozczarowanie wraz z swą ponurą twarzą i zimnem sercem jest bratem przyrodnim nadziei.

— Irena wolna!

Na tę myśl Walerya zadrżała na całym ciele z radosnego wzruszenia.

— Mój Boże — wzdychała dziewczica — właściwie jest to grzechem, gdy dusza moja raduje się na myśl, że matka moja od bram niebieskich przyjdzie ku piersi mojej. Ale czyż nie mam się cieszyć, wyobrażając sobie, jak szlachetna matrona za przykładem sędziwego Jakóba odnajdzie syna swego?

Więźniów zamknięto wczoraj wieczorem w podziemiach cyrkowych, jakże chętnie byłaby Waleria z nimi mówiła! Ośmieliła się nawet poprosić centuryona, który miał nad więźniami dozór, aby jej pozwolił rozmówić się z więźniami. Ten jednak odprawił ją szorstko, dodając jeszcze z szyderstwem:

— Oni przecie już wiedzą, że umrzeć muszą! Albo czybyś może chciała być świadkiem tej miłej niespodzianki, gdy dostaną zawezwanie na rzeź?

Dyakon Sewerus wysłał do miasta kolejno kilku posłów na zwiady, co się tam dzieje. Pierwsi wysłańcy przynieśli za przybyciem wiadomość, że po wszystkich ulicach tłoczą się gromady zbiegłych żołdaków, po mieście zaś obiega wieść, że Rufus poległ, a Maksencyusz dostał się do niewoli. Centuryon zawezwał tych ludzi przed siebie, a wysłuchawszy ich sprawozdań, powtórzył tylko swoje oświadczenie:

— To wszystko nie zmienia nic w rozkazie, który otrzymałem z ust samego cesarza. Wy chrześcijanie — dodał centuryon z zaciekłością — spodziewacie się, że boski Maksencyusz polegnie, a wy tańczyć będziecie z radości około jego trupa. Lecz nie zapominajcie, że ja, jego setnik,

złożę w ofierze wielkiemu nieboszczykowi krew waszych współwyznawców.

Na to odrzekł mu Sewerus:

— Jeśli wykonasz ten krwawy i niehumanitarny rozkaz pokonanego Maksencyusza, to bynajmniej nie zasłużysz sobie na wdzięczność ze strony zwycięskiego Konstantyna.

Atoli setnik był niewzruszonym, a nadzieja chrześcian, że uratują swoich uwięzionych współwyznawców, zniknęła w miarę, jak coraz to nowi gońcy i wysłańcy donosili o świetnych zwycięstwach Konstantyna. Tak z jednej strony nadzieja, że Konstantyn zwycięży, zdawała się słabnąć, ale druga nadzieja, że chrześcijanie skazani na śmierć ujdą zagłady, słabła z każdą nową wiadomością.

Tylko Walerya trwała mocno w ufności swojej. Wprawdzie i ona nie zdawała sobie sprawy, skąd miała przyjść pomoc i ratunek, ale chociaż przez nowy akt zdania się na wolę Bożą powierzyła wszystko Opatrzności, to jednak nie mogła uwierzyć, aby Ojciec niebieski wzbudził w jej sercu błogą nadzieję zobaczenia się tylko na to, by jej ofiarę uczynić podwójnie ciężką. Jako gromada aniołów okrężały głowę jej nieustannie myśli o tej niezmiennie szczęśliwej chwili, gdy przycisnie do piersi drogą, uratowaną matkę, gdy wszyscy wyznawcy Pańscy z radością i zapałem powracać będą do Rzymu, aby z wspólną matką, Kościołem świętym, obchodzić zwycięstwo Chrystusa.

W nadziei, chociaż bardzo wątpliwej, że może w jakiśkolwiek sposób zupełnie pewna i niezaprzeczona wieść o zwycięstwie Konstantyna do-

trze aż do cyrku i zmieni usposobienie setnika, postawił dyakon Sewerus na wzgórzu przy pomniku grobowym Kornelian Mincjusza na straż. Stąd można było śledzić wzrokiem całą drogę apijską aż hen do miasta, na posterunkach aż ku cyrkowi stali inni mężowie, którzy mieli polecenie donosić dalej spostrzeżenia Mincjusza.

Po długiem oczekiwaniu zapowiedział Mincysz nareszcie jeźdźca, który w odzieży żołnierskiej pędził na spienionym koniu.

W towarzystwie kilku żołnierzy i kilku wiernych udał się setnik na drogę apijską. Nareszcie jeździec przybył; był to sługa wysłany przez Paulina do wili Kwintilian po dzieci senatora. Pełni niespokojnego oczekiwania cisnęli się chrześcianie około niego, a nawet Mincysz opuścił stanowisko i przybył za posłańcem. Tenże przyniósł pewną i niezawodną wiadomość, że Maksencysz zginął; lecz to nietylko nie zmieniło usposobienia setnika, lecz owszem podnieciło w nim straszną zawziętość tak, że postanowił śmierć swego cesarza pomścić na chrześcianach. Przybywszy z powrotem do cyrku, taki wydał rozkaz żołnierzom:

— W samym środku areny, u stóp posągu Romulusa, złożymy ceniom zmarłego imperatora wielką ofiarę, której sam sobie życzył, wyjeżdżając na bojowisko.

Napróżno nalegali na niego wierni, aby odstąpił od wykonania krwawego wyroku; napróżno upadł setnikowi do nóg wraz z innymi sędziwy dyakon Sewerus; niewzruszony wojownik nie dał się ubłagać. Więźniów wyprowadzono

z zamknięcia, kompania żołnierzy wzięła ich w środek między siebie — do pochodu na śmierć.

Walerya spostrzegła Irenę; w oniemialej boleści wyciągnęła ręce ku matce. Zasyłając z niewypowiedzianą serdecznością i najgorętszym zapalem wołanie błagalne do tronu wszechmocnego i miłosiernego Boga, postępowała wraz z płaczącymi i wyrzekającymi wiernymi za wyznawcami do cyrku na miejsce stracenia.

Atoli teraz zaszła niespodziewana zmiana. Wiadomości, jakie przyniósł posłaniec Paulina, rozeszły się prędko w całej kompanii żołnierzy; jeżeli Maksencyusz zginął, a Konstantyn został cesarzem, w którego posiadanie przeszedł obecnie także i Rzym, w takim razie wykonanie tak krwawego rozkazu musiałoby mieć dla nich wielce nieprzyjemne następstwa. Już niechętnie, ociągając się i mruczając, prowadzili więźniów na miejsce stracenia; teraz gdy setnik rozkazał im wyciągnąć miecze, rzucić się na wyznawców i wszystkich wyciąć do nogi, żołnierze stanęli bez ruchu i wypowiedzieli posłuszeństwo.

Walerya nie odrazu to spostrzegła; następnie jednak zrozumiałwszy, co się stało, podniosła z zapalem i uniesieniem ręce ku niebu i wyrzekła w niewypowiedzianej radości te słowa:

— Dzięki Ci, dzięki, Wszechmocny Boże! któryś wyrwał Mojżesza z rąk Faraona, a Daniela oswobodził z jaskini lwów, ja to wiedziałam: ty nie zawiedziesz i nie opuścisz tych, którzy w Tobie ufność swą położyli.

Po tych słowach Walerya już nie wątpiąc o ocaleniu uwięzionych, chciała rzucić się ku Ire-

nie. Atoli setnik z wściekłością ją odtrącił, wołając:

— Na Herkulesa! Czy mój cesarz żyje, czy nie żyje, rozkaz jego jednak musi być wykonanym! A jeżeli wy, żołnierze, haniebnie zapomnieliście o boskim Maksencyuszu, który obsypywał was dobrodziejstwami i buntowniczo wypowiedzieliście mu posłuszeństwo, wtedy...

W tej niebezpiecznej chwili zawołał jeden z wieśniaków zgromadzonych licznie około cyrku, że w oddali na drodze apijskiej widać drugiego jeźdźcę, lecącego szalonym pędem w tym kierunku.

Setnik z ponurem wejrzeniem opuścił miecz na dół i wysłał kilku żołnierzy do wejścia cyrkowego.

Walerya wraz z innymi chrześcianami szła za nimi w niespokojnem oczekiwaniu.

Z rozpuszczonymi cugłami pędził drogą apijską jeździec w rycerskiej zbroi, trzymając wysoko w rękę kartę papieru.

— W imię cesarskie — zawołał już z daleka — wstrzymajcie się, wstrzymajcie się!

Był to Kandydus, który właśnie w samą porę przypędził na spienionym koniu.

Wszystko cofnęło się przed nadbiegającym jeźdźcą — a on w jednej chwili wpadł do cyrku, zeskoczył z konia i z okrzykiem: „matko”, „matko!” pobiegł ku gromadzie więźniów, aby Irenę wyciągającą ku niemu ręce przycisnąć do serca.

— Mateczko najśłodsza, najmilsza, mateczko! — więcej nie zdolał Kandydus wypowiedzieć z nadmiaru szczęścia i rozkoszy przepelniających jego serce. W milczeniu, ze łzą błogiego szczę-

ścia w oku, pochyliła matrona głowę nad synem i przycisnęła go do serca w długim, niewymownie czułym uścisku.

Nawet rubaszni żołdacy stali wzruszeni. Setnika zadziwiło ogromnie to nagłe i cudowne prawie zjawienie się wybawcy w osobie trybuna wojennego; przeczytał rozkaz Konstantyna, który mu rzucił Kandydus, a teraz z oddali dolatywał tentent nadciągającej jazdy. Wyrzekł tedy głośno następujące oświadczenie:

— Nie pozwolono mi wykonać rozkazu boskiego Maksencyusza. Niechże więc stanie się wola zwycięzcy. Więźniowie stają się wolnymi!

Słowa te zostały przez chrześcian przyjęte z głośnym zapalem i uniesieniem; dyakon Sewerus i inni wierni pobiegli ku uwięzionym; tu mąż ścisnął żonę, tam syn ojca, brat brata wśród łez najżywszej radości. Gdy niebo dolewa oleju pociechy do gasnącej lampy, wtedy płomień ożywia się znowu; tak z owego miejsca, gdzie przed chwilą miała się spełnić krwawa ofiara męczeństwa, podnosiło się kadzidło rzewnej modlitwy dziękczynnej do tronu Najwyższego.

Jakkolwiek Walerya pałała żądzą, aby uściśnąć Irenę, to jednak delikatność i pewna dziewicza cześć wstrzymywała ją od zbliżenia się do ukochanej matki, która w pierwszych błogich chwilach zobaczenia się z synem i w tych okolicznościach należała wyłącznie do niego. W milczeniu więc stała na uboczu z sercem przepętnionem szczęściem i radością, a w oczach jej i na ustach igrał uśmiech najśłodszej rozkoszy. W tym stanie podobną była do róży po nawał-

nicy. Jeszcze na listkach jej wiszą niby łzy krople deszczu; ale już słońce odbija się w nich, oblewając kwiat nową wonią i najpowabniejszym urokiem. A gdy Irena spostrzegła Waleryę, pobięła ku niej, aby ją uścisnąć, to im się zdawało, jakoby niewidzialna ręka z góry odjęła od ich ust kielich goryczy i smutku, w zamian za to wlewając w ich dusze krople z źródeł rozkośnych rajskich.

— To mój syn, to mój Kandydus! — wołała w uniesieniu uszczęśliwiona matrona.

— Tylko Bóg sam, który cię posłał, może ci wynagrodzić słodkie szczęście, które nam tej godziny zgotowałeś — rzekła Walerya, przyciskając rękę jego mimo jego oporu do ust swoich.

Potem zarumieniona spuściła oczy.

— Szlachetna dziewico — odrzekł Kandydus, uderzony godnością i powabem rozlanym w całej osobie Waleryi — powołaniem żołnierza jest zadawać rany i przynosić z sobą śmierć; ale milej mu jest, gdy może rozlewać życie, goić rany i łzy ocierać. Że zaś jako syn ocaliłem życie matki, jako chrześcianin uratowałem tylu sławnych wyznawców, o, to stanowi dla mnie szczęście i łaskę, za którą chętnie oddam prędko więdnące wieńce wawrzynowe zdobyte w bitwach.

Tymczasem nadjechali także jeźdźcy cesarscy. Ponieważ spostrzegli, że więźniowie zostali już uwolnieni, więc rzucili się na łupy i wkrótce oznajmił radosny okrzyk, jako też jeden z towarzyszków wysłany do Kandyda, że ponad bramą wchodową znaleźli w sali suto zastawione stoły, jeszcze nienaruszone. Wyznawcy jeszcze od owej ucztę wolnych albo obfitej (coena libera), którą

dostali w przeddzień igrzysk, nie jedli, czuli więc potrzebę posilenia się, zanimby się mogli wybrać w drogę do miasta; wśród ogólnej radości dzielili się żołnierze z wyznawcami przysmakami stołu cesarskiego.

W górnej części sali stało między wieńcami kwiatów i draperiami popiersie tyrana; żołnierze zerwali je ze ściany, wykuli oczy posagowi, tak właśnie, jak to uczynił poprzednio Maksencyusz z posągami Konstantyna i postanowili przynieść to popiersie jako znak zwycięstwa w tryumfie do Rzymu.

Ponieważ chrześcijanie także pragnęli uczestniczyć w powszechnej radości ze zwycięstwa, więc ta gromada ludzi szczęśliwych powstała wkrótce od stołu, a podniósłszy w gorących modłach dziękczynnych raz jeszcze serce i ręce ku niebu, ruszyli wszyscy w drogę. Przed wyznawcami jechali jezdni na koniach, niosąc z sobą oznakę zwycięstwa. Na rozkaz Kandyda wziął jeden z jezdnych na swego konia także Mincyusza, aby tenże według życzenia Waleryi czemprowadził jej ojca o ocaleniu Ireny i reszty wyznawców Pańskich. Irena postępując między Kandydem a Waleryą, kazała sobie opowiadać wszystkie przygody Kandyda podczas wyprawy wojennej, a szczególnie o przebiegu dzisiejszej bitwy. Jak uważnie słuchały obie niewiasty jego opowiadania; jakże ich serca unosiły się, słysząc, jak widocznie ręka Boża kierowała losami; jak szczęśliwie spoglądały od minionej nocy do świadczeń w radosną przyszłość, która otwierała się przed ich oczyma tak właśnie, jak złocisty poranek po ciemnej nocy!

Następnie przyszła kolej na Irenę, aby opowiedziała, co przeszła i ile wycierpiała. Jej opowiadanie było zarazem opisem doświadczeń i cierpień, jakie przeżyć musieli Rufin, Walerya i inni wyznawcy. Raz po raz dziewczica rumieniła się, gdy Irena opowiadała o jej szlachetnych i chwalebnych czynach; napróżno usiłowała naprowadzić rozmowę na obowiązek wdzięczności, jaką winna jest Irenie za iście macierzyńską opiekę, którą ona Waleryę zawsze otaczała. Kandydus z wzruszeniem słuchał porywających słów matki; pełen pobożnej czci widział się wśród gromady wyznawców, którzy częścią w więzieniu, częścią skazani na ciężkie roboty przy budowach publicznych cierpieli biedę, nędzę i ucisk wszelkiego rodzaju. Zaprawdę, podczas gdy zastępy Konstantyna walczyli mieczem o zwycięstwo, to owe wszystkie cierpienia i ofiary wiernych w Rzymie padały na kształt błagających dziatek na stopniach boskiego majestatu, prosząc o przewagę dla Konstantyna, o zwycięstwo krzyża.

Najgłębsze wrażenie atoli zrobiła na Kandydzie odwaga i ofiarność, z którą Walerya starała się ocalić swego ojca, jak podzielała z nim okropność więzienia mamertyńskiego, znosząc nadludzki prawie ciężar cierpień i boleści. Czyż może być — zapytał mimowoli sam siebie — między córami Rzymu szlachetniejsza i wielkoduszniejsza dziewczica, jak ta? — Walerya musiała opowiedzieć matce i jej synowi wszystkie swoje przygody, poczynawszy od uwięzienia Ireny, a sposób, w jaki to uczyniła, szczególnie, gdy opisywała szczęśliwe odnalezienie swego ojca, odsła-

niał serce o tak szlachetnem usposobieniu, że Kandydus mógł chyba tylko matkę swoją przyrównać do tej wspaniałomyślnej dziewczicy. Teraz też pojmował on zupełnie tę zobopólną miłość, która łączyła te dwie niewiasty. Na wiadomość, że Rufinus kryje się w jednej z chat Zatybrza, odpowiedział Kandydus, podobnie jak Irena ze współczuciem, że pragną jej natychmiast tamdotąd towarzyszyć.

— Mój cesarz — dodał trybun — ofiarował nam jedno skrzydło pałacu laterańskiego; tamdotąd przeprowadzimy szlachetnego prefekta miasta, aż na rozkaz cesarza, który nastąpi zapewne w najbliższych dniach, będzie mógł powrócić do swego własnego pałacu.

Tymczasem na prośbę Kandyda posłał dyakon Sewerus jednego grabarza do wsi, aby postarał się o wóz dla Ireny i Waleryi. Szczęśliwie wóz dognał podróżnych, a wtedy obie niewiasty usiadły. Kandydus zaś dosiadł swego konia, gdy tymczasem reszta wiernych postępowała pieszo.

W owym czasie była przestrzeń od łazienek Karakali aż do bramy apijskiej i poza nią, która dziś jest opustoszałą, gęsto zaludnioną, a obok starego grobowca Scypionów i cmentarzysk wyzwoleńców Augusta wznosiły się w wielkiej liczbie domy, pałace i wile. Im bardziej zbliżał się Kandydus i obie niewiasty ku miastu, a szczególnie gdy wjeżdżali w zaludnione ulice, tem bardziej uderzała ich powszechna radość panująca pomiędzy ludnością z powodu strącenia nienawistnego tyrana. Oni sami byli przedmiotem powszechnego zaciekawienia i podziwu; uro-

dziwy trybun z wojska Konstantynowego, jadący na swym szlachetnym rumaku jako opiekun i towarzysz obok nędznego wozu wiejskiego, na którym siedziały dwie dość lichy ubrane niewiasty, stanowił dla wszystkich ciekawą zagadkę. Szczególniej kobiety i dziewczęta wysuwały głowę, wpadając na różnorodne domysły, aby zagadkę rozwiązać.

Gdy zaś ten ciekawy orszak mostem na Tybrze puścił się drogą wiodącą do Zatybrza, gdzie, jak do dzisiaj, rozwijało się głównie życie klas uboższych, gdzie rzemieślnicy pracowali przy drzwiach otwartych, a przekupnie i przekupki wystawiali swoje tandety czy jarzyny przed domami na sprzedaż, wtedy zapanowało tam niemałe poruszenie. Dzieci i dorośli, nie mając nic lepszego do czynienia, puścili się za wozem, aby się dowiedzieć, dokąd ten ciekawy orszak jedzie. A gdy w dodatku jeździec i wóz skręcili w jeden z najnędzniejszych zaułków, gdy następnie zatrzymali się przed chatą Mincjusza i niskimi drzwiami weszli do niej, wtedy ciekawy lud cisnął się z wszech stron, aby rzucić choć okiem do wnętrza chatki. Kilkadzieśnię razy musiał chłopiec pełniący obowiązek woźnicy przy wozie wiejskim, zapewniać, że nie wie, kim jest ów dostojny jeździec i jego dwie towarzyszki. Jedna z sąsiadek przypomniała sobie wprawdzie, że kilkakrotnie już widywała obie niewiasty, gdy przychodziły odwiedzić Rustykę, ale wówczas nie przyszło jej na myśl pytać się, co one za jedne, teraz więc nie było końca domysłom i zgadywaniom.

Odkąd Rustyka dowiedziała się, że już bitwa między Maksencyuszem a Konstantynem na dobre

zawrzała, a zwłaszcza, gdy po południu hałas i niepokój doszedł aż do jej odległej uliczki, troška pocziwiej kobieciny o Waleryę wzmagala się z każdą chwilą. Wyrzucała sobie ciągle, że pozwoliła dziewczynie puścić się samopas ku cyrkowi; daremnie chciała się sama przed sobą wytłómaczyć troską o swoje własne dziecko, o chorego, o gospodarstwo domowe, napróżno usiłowała uspokoić się myślą, że Mincyusz przecież będzie czuwał nad bezpieczeństwem Waleryi. Nawet wieść o zwycięstwie Konstantyna, którą Rustyce przyniosła jedna z sąsiadek, nie bardzo ją uradowała, gdyż przyszli jej na myśl biedni skazańcy w cyrku, których tyran już zapewne kazał wyciąć mieczem, zanim puścił się na bojowisko. Czarny kruk krzyczał coraz przeraźliwiej „Ave Rustica” (Witaj Rustyko), gdy nadeszedł czas karmienia; lecz ona wcale na to nie uważała, a gdy czarny, mały żebrak stał się zbyt natrętnym i począł ją skubać za suknię, ona odsunęła go szorstko nogą na bok. Lecz matka Rustyki, która z właściwym instynktem niewidomych poznała niepokój swej córki, do reszty ją zmięszała, zadając jej przeróżne pytania, aby się dowiedzieć o przyczynach jej złego usposobienia.

Rufinus bardzo niechętnie zezwolił rano na to, aby córka jego udała się do cyrku; gdy około południa Waleryi nie było z powrotem w domu Mincyusza, chory ojciec stawał się coraz niespokojniejszym. Aby prefekta miasta nie napawać jeszcze większym niepokojem, Rustyka wcale nie zagadywała o bitwie dzisiejszej; w nadziei odwrócenia myśli jego od córki powiedziała mu, o czem właśnie się dowiedziała. Zwycięstwo

Konstantyna cieszyło Rufina niezmiernie, ale dla czego niema tu jego córki, Waleryi, aby dzieliła z nim radość?

Gdy słońce poczęło chylić się ku zachodowi, a Waleryi jeszcze nie było, ogarnął Rustykę straszliwy niepokój. Jakże chętnie byłaby się puściła do cyrku, gdyby mogła zostawić chorego prefekta i niewidomą matkę samą w domu. Może ze sto razy na godzinę biegła ku drzwiom, aby wyjrzeć, czy dziewczica nie wraca do domu. Nareszcie Rustyka spostrzegła swego męża, lecz ten wracał bez Waleryi! Z największą trwogą puściła się ulicą naprzeciw męża, — a wtedy na głos się rozradowała, gdy Mincyusz uwiadomił ją o ocaleniu Ireny przez własnego syna, i że to Walerya go posyła, aby ojcu jej zaniósł tę radosną nowinę.

— A czy nie zapytałeś się — zawołała Rustyka — dokąd ten dostojny młodzieniec zaprowadzi swoją matkę? A choćby mię przywiązano, to muszę pobiegnąć do niej koniecznie, aby jej złożyć moje życzenia.

— No — odpowiedział Mincyusz — on ją zapewne najprzód poprowadzi do jej mieszkani^a na Awentynie.

— Do tych biednych izdebek? Co ty opowiadasz, mężu! Ale teraz chodź prędko do domu i opowiedz choremu tę szczęśliwą wiadomość! Dzięki Bogu! — zawołała uradowana, wchodząc za mężem do chaty.

Że jego córka zdrowa, Irena zaś wraz z innymi skazańcami ocalona przez swego syna, a Rzym w pogotowiu do uroczystego wjazdu zwycięzcy do miasta, to wszystko były dla Rufina

wiadomości, z których jednak uszczęśliwiała go więcej niż druga; to też ustawicznie przerywał Mincyuszowi opowiadanie zapytaniem.

Wtem doleciał do nich turkot szybko jadącego woza.

— A cóż to? Czy on się nie zatrzymał przed chatą?

Właśnie Rustyka chciała podbiec ku oknu, aliści drzwi się otwierają, a do chaty wpada Walerya, wołając:

— Ojcie! nasza droga matka wraz z innymi skazańcami jest wolną; ocalił ją Kandydus, syn jej; oto przychodzą oboje, ahy przywitać się z wami.

Zaraz też weszła do chaty Irena wraz z synem swoim.

Rufinus zebrał wszystkie swoje siły, aby im wyjść kilka kroków naprzeciwko, powitać ich i życzyć szczęścia. Mincyusz i Rustyka zaś patrzeli z zaciekawieniem na trybuna wojennego; tak dostojnego gościa chatą ich biedna jeszcze nigdy nie przyjmowała. Niewidoma matka, której oni zaraz poszeptali, kim jest przybyły gość, chciała koniecznie ucałować jego rękę. Tymczasem Rustyka podniosła swoje niemowlę z kolebki, aby i chłopaszek uczestniczył w szczęściu i radości zapełniających wszystkie serca w tej biednej chatce. Gdy ją następnie Irena wzięła w objęcia, a Kandydus obsypał pochwałami z powodu bohaterkiego oswobodzenia prefekta miasta, pocziwa kobiecina, która zawsze wiedziała, co i jak odpowiedzieć, teraz nie zdołała wyrzec ani słowa.

Z serdecznem podziękowaniem pożegnał się Rufinus z pocziwymi ludźmi, którzy go przyjęli u siebie z tak tkliwą miłością.

Podczas gdy Mincyusz wraz z Kandydem pomagali Rufinowi przy wsiadaniu na wóz, tłum ciekawych cisnął się do Rustyki, pytając po cichu, kto to jest ów trybun, ów chory i obie niewiasty. Rufinus pod wpływem cierpień, które poniósł, tak się zmienił, że owi ludzie zupełnie go nie poznali; a zresztą któż byłby przypuścił, że skazany na śmierć prefekt miasta znajdzie schronienie w jednej z biednych chat zapomnianego Zatybrza?

Jak tylko Rustyka powiedziała ludziom, kim są owe tajemnicze osoby, wnet wszczęła się wrzawa i wielki zapał. Każdy pragnął widzieć prefekta miasta, aby mu wyrazić cześć i przywiązanie. Wszyscy postępowali z radością za wozem; tak z ulicy jak i z bocznych zaułków zbiegali się starzy i młodzi, a przejazd przez Zatybrzańską ulicę stanowił dla Rufina niejako pochód tryumfalny.

Mincyusz i Rustyka, którzy odjeżdżający wóz ścigali wzrokiem aż do zakrętu, musieli następnie wszystko opowiedzieć szczegółowo sąsiadom i sąsiadkom, a pytaniom ich i podziwom nie było końca. Rustyka jednak zamilczała, że to ona wyzwoliła prefekta miasta i nie powiedziała też, w jaki sposób to uskuteczniła. To, co uczyniła, zrobiła z wdzięczności i chrześcijańskiej miłości bliźniego, a że to dzieło się udało, było wyłącznie sprawą Pana Boga, w tem Rustyka nie przyznawała sobie żadnych zasług. Ograniczyła się na tem, opowiadając, jako pewnej nocy zapukał ktoś do drzwi, a gdy mąż je otworzył, jakiś biedak prosił o przytułek, a ponieważ człowiek ten w swej nędzy obudzał istotnie polito-

wanie, więc pocziwy Mincyusz nie zdołał go odprawić w ciemną noc. Nie przyznała się, że to ona chorego przyprowadziła do chaty.

Przy pożegnaniu prosił jeszcze Kandydus grabarza, aby co prędzej pobiegł na pobojuwisko i doniósł papieżowi o ocaleniu więźniów. Z jakąż radością puścił się Mincyusz w drogę, aby dopełnić szlachetnego i radosnego polecenia!

Już słońce zaszło za górami, gdy Kandydus pożegnał się na kilka godzin z swoimi w pałacu latarańskim, aby pójść do obozu. Zawiadowca pałacu, rad, że może przysłużyć się nowemu władcy, przeznaczył im, według rozkazu szereg najwspanialszych cesarskich komnat, starając się pilnie o wszelkie ich wygody i potrzeby.

Gdy Kandydus przejeżdżał ulice miasta, a z powodu wielkiego natłoku musiał jechać wolno, widział, jak wszystkie domy przystrajano w gałązki wawrzynowe, w wieńce z kwiatów i pstre a kosztowne kobierce na uroczyste przyjęcie wjazdu zwycięzcy. Marmurowy posąg Maksencyusza na Forum obalono, a gromada wesołych i swawolnych uliczników tańczyła naokoło gruzów hardego tyrana.

Kandyda przyjmował lud wszędzie z wielkim zapalem, poznając w nim trybuna zwycięskiego wojska. Na polu marsowem i na ulicy flaminijskiej raz po raz był powstrzymywany przez deputacje licznych kolegów i związków, które w strojach świątecznych z gałązkami palmowymi, wawrzynowymi lub oliwnymi w ręku dążyły na powitanie zwycięzcy. Za nadejściem nocy oświetlono rzęsiście domy i wile tak na ulicy flaminijskiej, jako też w okolicy, a gromady rozrado-

wanych wieśniaków tańczyły około ognisk, które dla uświetnienia uroczystości wszędzie wzniecano.

Naszemu jeźdźcowi towarzyszył w drodze cały ten różnobarwny szereg wydarzeń ubiegłego dnia: krwawe sceny z zaciętej walki, radość z przesławnego zwycięstwa, zaszczyt, jakim go odznaczył Konstantyn, wszystkie obawy i nadzieje, pełnia radości, błogosławieństwa i szczęśliwości, których doznał po południu. Ale jakkolwiek te obrazy przeciągające przed oczyma jego duszy, były bardzo rozmaite i uroczne, przecież na tle ich dwie tylko postacie rysowały się najwyraźniej — jego matka Irena i Walerya.

XV.

W j a z d.

Pomny na swoje święte powołanie, udał się biskup Milcyades z resztą wiernych z namiotu cesarskiego wprost na pobojoywisko, aby rannym i konającym nieść pomoc i pociechę. Liczba wojowników chrześcijańskich między rannymi była zadziwiająco mała; więc ich wyszukanie nie sprawiało żadnej trudności.

— „Pax tecum!” (Pokój z tobą!) — rzekł biskup, nachylając się ku jednemu z rannych.

— Co, pokój! — odrzekł tenże szorstko — ja chcę wody, na Herkulesa, aby zaspokoić palące mnie pragnienie.

Papież polecił jednemu z towarzyszących mu, aby pokrzepił nieszczęśliwego, i zwrócił się do innego rannego wojownika.

— „Pax tecum!” (Pokój z tobą!)

Gdy ranny usłyszał to pozdrowienie, natychmiast twarz jego rozjaśniła się, a roztwierając ręce, rzekł:

— Dzięki Ci, o Boże, iż zesłałeś mi jednego z braci, zanim umrę! Jestże między wami kapłan, abym choć błogosławieństwo od niego mógł otrzymać?

W jednym miejscu, gdzie gęsto usiane trupy świadczyły, że tu wrzała najzaciętsza walka, poznał biskup między poległymi także setnika Marcylasa. Chociaż krew lała mu się obficie z licznych i ciężkich ran, jednak żył jeszcze, a gdy świątobliwy starzec pochylił się nad nim i przemówił do niego, dzielny wojownik zebrał resztkę sił swoich, aby wyrzec jeszcze te słowa:

— Jako chrześcianin umrzeć... wierzę w Chrystusa, Syna Bożego!

Ponieważ ranny widocznie dogorywał i już tylko kilka chwil żyć mógł, więc biskup odmówił nad nim skład apostolski, a wzbudziwszy w nim żal za wszystkie grzechy za życia popełnione, udzielił mu chrztu świętego i namazał olejem świętym.

Uśmiech szczęścia zajaśniał na twarzy Marcylasa, i dzielny wojownik, pokrzepiony modlitwą i błogosławieństwem Kościoła, wyzionął męznego ducha.

Już mrok zapadł a pobożny biskup był nieustrudzony w pełnieniu dzieł miłości i miłosierdzia; Konstantyn dowiedział się o tem, a jego cześć i poszanowanie urosło w największy podziw względem szlachetnego starca-kapłana.

— Czemuż to — pytał Konstantyn sam siebie — Gordyanus wraz z swymi towarzyszami

nie troszczy się wcale o mężnych wojowników? Któż to nauczył owych chrześcian obchodzić radość z dzisiejszego zwycięstwa nie wśród hula-tyk, ale przez pielęgnowanie raunych?

Cesarz nie znał jeszcze owego słowa, łączącego i spajającego świat cały, które wyrzekł Boski Odkupiciel: „A cokolwiek uczynicie jednemu z braci moich najmniejszych, mnieście uczynili.”

Ruszenie wojsk nastąpiło dopiero za nadejściem nocy i to po części, aby strudzonym wojownikom dać kilka godzin wytchnienia, częścią zaś z powodu rozmaitych przygotowań do uroczystego wjazdu cesarza do Rzymu. Ponieważ most milwijski był niebezpiecznie uszkodzony, przeto wobec zwyczajnego w takich przypadkach natłoku ludzi nie można go było użyć przy wjeździe. Tak więc zamiast ulicą flaminijską musiał Konstantyn prawym brzegiem ciągnąć ku Watykanowi i wjazd swój do Rzymu odbyć przez most elijski, obok grobowca Hadryana.

Z poszczególnych legionów wybrano niektóre kompanie albo małe oddziały, aby z uwieńczonymi sztandarami towarzyszyły zwycięzcy przy tryumfalnym wjeździe do miasta; na wyraźny rozkaz cesarza miano nieść labarum tuż przed nim. On sam ukazał się na dzielnym rumaku, purpurowy płaszcz na ramionach, na głowie złota przepaska, w otoczeniu swoich legatów i wysokich dowódców; senatorzy zaś i rycerze i cokolwiek miał do tego prawo, czy to z urzędu czy z godności, postępowali albo przed tryumfatorem, albo w jego orszaku.

Tak postępował ten pochód obok mostu milwijskiego po prawym brzegu Tybru do miasta,

w towarzystwie tysiącznych pochodni i nieustannych okrzyków uniesienia z ust nieprzeliczonych tłumów, witany wszędzie ogniami sztucznymi, które wszędzie z wyżyn Monte Mario i Watykanu unosiły się ku sklepieniu nieba.

Jeszcze wtedy stał, chociaż już dawno wyszedł z użycia, na pochyłości pagórka Watykańskiego ów cyrk Nerona, w którym popłynęły pierwsze krople męczeńskiej krwi chrześcian. W jego środku sterczał jeszcze wysoko obelisk, u którego stóp w ciemności nocy przyświecały cesarskiemu woźnicy żywe pochodnie z ciał chrześciańskich. Teraz on patrzył, jak owo wzgardzone imię Chrystusowe odbywało tryumfalny swój wjazd do Rzymu, a zamiast jęków konających wśród męczarni wyznawców słyszał gromkie okrzyki ich wnuków i prawnuków: „Christus vincit”. A przyjdzie jeszcze dzień, w którym ów obelisk opuści gruzi cyrku Nerona, aby opatrzoną w napis „Christus vincit” i krzyż na wierzchołku, stanąć jako stróż przed grobem owego biednego rybaka galilejskiego, którego kości spoczywają w niepokażnej kaplicy obok cyrku Nerona, a nad którego grobem później wzniósł się wspaniały tum św. Piotra, owo „niebo sięgające ku niebu”. — Obecnie stoi u tej kaplicy grobowej gromadka chrześcian, a widząc przeciągające zastępy Konstantyna obok siebie, wznoszą oni ręce ku niebu, składając Bogu dzięki. Kiedyś złoży kościoła Piotrowego, mając u stóp nieprzeliczone zastępy ludności na rozległym placu Piotrowym, będzie następca owego rybaka błogosławił te miliony chrześcian, wyciągając ręce nad nimi. Jeszcze sterczy w pełni swej świetności,

zdobny w kolumny i pösagi bogów grobowiec Hadryana, uwieńczony olbrzymim posągiem cesarza, a w grobowcu głęboko w urnach porfirowych spoczywają prochy władców świata, cesarzy rzymskich. Ręce barbarzyńskie wyrzucą na wiatr prochy cesarskie z grobów, gdy tymczasem świat cały, pokolenie za pokoleniem odbywać będzie wieki całe pielgrzymki do grobu rybaka; posąg na wierzchołku grobowca ustąpi miejsca wyobrażeniu Michała archanioła, niebieskiego hetmana w kościele wojującym, a na miejscu posągów bożków na moście elijskim, który, podobnie jak grobowiec, nie zatrzyma nawet nazwy tego, który go zbudował, staną postacie Aniołów z wizerunkami Ukrzyżowanego.

Czy Konstantyn, przeciągając w tryumfie obok Watykanu i grobowca Hadryana do Rzymu, miał jakieś niewyraźne przeczucie, że to wszystko tak kiedyś się stanie, i czy wtedy dojrzało w jego duszy postanowienie, aby być pierwszym, który przyłoży rękę do tego przeobrażenia pełnego chwały? — Takby się prawdziwie mogło wydawać, jeśli zważymy, że Konstantyn pośpieszył z wystawieniem nad grobem księcia Apostołów, z użyciem do tego murów cyrku nero-nowego, najwspanialszej świątyni na Zachodzie, na której przedzie umieścił napis:

•QUOD DUCE TE MUNDUS SURREXIT IN ASTRA
TRIUMPHANS,
HANC CONSTANTINUS VICTOR TIBI CONDIDIT AULAM.

Ponieważ pod Twoją wodzą świat nad złem tryumfował,
Przeto zwycięzki Konstantyn tę Ci świątynię zbudował.

Mostem elijskim wsunął się pochód w ulice miasta. Gzymsy u bram, okna, mury domów

i świątyń oświetlone były niezliczonemi lampami; na płaskich dachach płonęły pochodnie a w ich oświetleniu wznosiły się z kadzielników białe kłęby kadzideł. Gromkim okrzykom tłumów płynących ulicami, odpowiadały pełne zapachu wołania z dachów, opiewano Konstantyna jako „wybawcę miasta”, „założyciela pokoju”; tak samo zowią go dwa napisy zachowane na jego łuku tryumfalnym.

Jeśli zaś radość całego narodu rzymskiego z oswobodzenia z pod krwawego i twardego jarzma tyrana była powszechną, szczerą a nieudaną — to największą i najżywszą była ona bezwątpienia u chrześcian. Im to bowiem najwięcej dokuczał okrutny władca. Pomiędzy tymi, którzy na rozkaz senatu uwolnieni zostali, było wielu braci, których niejako z objęć śmierci im zwrócono na wolność. Ich nadzieje i oczekiwania, które pokładali w Konstantynie, ziściły się przez łaskawe i przyjazne przyjęcie papieża, jako też przez wybawienie wyznawców w cyrku; to też na wszystkich domach, które zamieszkiwali chrześcianie, widziano wśród świateł jaśniejący krzyż lub imię Chrystusowe; z zdziwieniem spostrzegli wierni zwolennicy starych bogów, jak wielką była liczba chrześcian, mimo niszczących i krwawych prześladowań, które Kościół rzymski przetrwać musiał.

Obok teatru Pompejusza postępował uroczysty pochód wielkim łukiem naokoło Kapitolu i Palatynu, schodząc następnie koło Koloseum ulicą świętą, „via sacra” przez łuk tryumfalny Tytusa do Forum.

W pobliżu łuku Tytusowego, na wysokiej estradzie otaczającej plac przed świątynią Romy, oczekiwały Irena i Walerya według umowy z Kandydem na zbliżający się pochód; aczkolwiek Rufin pragnął gorąco przyłączyć się do nich, jednak ze względu na chłodne nocne powietrze nie można było chorego wystawiać na niebezpieczeństwo.

Zawiadowca pałacu laterańskiego kazał zanieść obie niewiasty do oznaczonego miejsca w zamkniętej lektyce przez kilku niewolników germańskich w towarzystwie i orszaku małej liczby przesłańców. Od czasu, gdy Kandydus się oddalił, orzeźwiły się one kąpielą, przywdziały świąteczne szaty i spożyły przygotowaną wieszczę. Oczywiście nie tyle cielesne orzeźwienie, ile raczej radość i szczęście przepelniające ich serca, zatarły na ich obliczach ślady przebytych cierpień.

W miejscu, gdzie oczekiwały na pochód, widziały wysokie zabudowania Palatynu, które, o ile to było możliwe w tym pośpiechu, oświetlone były tysiącem lamp i świateł aż do ganków u świątyń i gzymsów pałacowych; po prawej stronie wznosił się łuk tryumfalny Tytusa wraz z złotym zaprzęgiem czterokonnym na szczycie; po lewej stronie w głębi doliny leżało Koloseum.

— Widzisz — rzekła Irena, wskazując ręką w stronę ciemnej masy olbrzymiego amfiteatru — widzisz tam w arkadach cisnące się tłumy ludu? Tyłem zwrócone do areny, na której przyglądały się z dziką rozkoszą i ślepem okrucieństwem męczeńskiej śmierci chrześcian, czekają teraz, aby

oglądać tryumfujące znamię Chrystusa odbywające uroczysty wjazd do stolicy świata.

— Właśnie myślałam nad tem — odparła Walerya — że w przeciwieństwie do łuku Tytusowego poświęconego zwycięstwu Rzymu nad Jerozolimą i żydostwem, należałoby także wystawić łuk tryumfalny Konstantynowi, który oznajmiałby światu o zwycięstwie Krzyża nad Rzymem i pogaństwem. I zdaje mi się, że żadne miejsce nie byłoby tak odpowiednie, jak właśnie owo Koloseum, w którem męczennicy walczyli o zwycięstwo dla Krzyża.

— A cóż chciałabyś wymyśleć w przeciwieństwie do Palatynu?

— Cóż możnaby słuszniej przeciwstawić wspanialszego i godniejszego pałacom Cezarów jak dom, w którym Król niebieski w swoim Sakramencie i przez widzialnego namiestnika swego błogosławi Rzymowi i całemu okręgowi ziemskiemu? — odpowiedziała Walerya.

Radosne okrzyki ludu i odgłosy trąb przerwały tę rozmowę: pochód się zbliżał. Z arkad Koloseum, z okien Palatynu, z galeryi świątyń i pałaców witały zwycięscę okrzyki tysięcy, tyśiące pozdrawiały go, wyciągając ręce, powiewając chustkami, rzucając wieńce i kwiaty. Młodzież uliczna wdrapywała się nawet na ramiona posągów bożków, wołając „Tryumf”. Za niosącymi pochodnie postępowało wojsko z uwiecznionymi odznakami polowemi; chrześcijańscy wojownicy po większej części przyozdobili swoje tarcze imieniem Chrystusa.

Oczy obu niewiast szukały wśród tego uroczystego pochodu tylko jednego, a to Kandyda.

Jakże rozradowało się serce matki, gdy Walerya pokazała jej w oddali zbliżające się labarum, gdy potem jej najukochańszy syn coraz bardziej się przybliżał, na czele swoich wojowników, niosąc w ręku chorągiew tuż przed wozem tryumfalnym Konstantyna! Teraz jego bystre oko spostrzegło także dwie drogie niewiasty, i podczas gdy Irena i Walerya rzucały mu wieńce i kwiaty, to on zwrócił na chwilę labarum z jaśniejącem imieniem Chrystusa z pozdrowieniem ku niewiastom. To, że go widziała jego matka i Walerya, cenił sobie wyżej, niż wszystkie okrzyki i oklaski niezliczonych tłumów.

Gdy wspaniały młodzian znikł im z oczu za łukiem tryumfalnym Tytusa, a Irena zwróciła się do Waleryi z jakimś pytaniem, dziewczyna była tak zamyślona, że Irena musiała pytanie swoje powtórzyć.

W świątyni Zwycięstwa u stóp Kapitolu czekał senat na nowego cesarza, aby według odwiecznego zwyczaju przez tak zwane prawo królewskie, „lex regia” potwierdzić i uświęcić go w nowej godności. Była to tylko czcza ceremonia, tak, jak prawie całe państwo zupełnie było skostniało, ale roztropny Konstantyn nie gardził temi fraszkami, w których „ojcowie patrycyusze” sobie podobali. Z spokojem pełnym godności wysłuchał długiego i męczącego panegiryku, w którym najbieglejszy w mowie z senatorów witał zwycięscę wśród przesadzonych pochwał i przymień. Następnie cesarz odbył przez Forum wjazd do swego pałacu palatyńskiego. Pod pozorem, że już godzina spóźniona, pominął odwiedzenie świątyni Jowisza i Kapitolu, aby nie

składać bożkom dziękczynienia. Już poprzednio niemile to uderzyło senatorów, którzy po większej części byli jeszcze bałwochwalcami, że Konstantyn nie złożył zwykłej ofiary kadzidla na ołtarzu Wiktoryi (Zwycięstwa), pod której wezwaniem senat zwykle odbywał swoje narady. Symmachus w wściekłym gniewie trzymał się przy powitaniu zwycięzcy w pewnem oddaleniu; nie mógł się też przewyciężyć, aby iść w jego orszaku aż do Palatynu. Z gniewem, goryczą i wstrętem stał samotny u bram świątyni Zwycięstwa, spoglądając złowrogo na jaskrawo oświetlone Forum i ruch panujący wśród gwarnej wesołości ludu.

Wtem zbliżył się do niego Laktancyusz; starzec przypatrywał się wśród tłumów ludu wejściu Konstantyna do kuryi senatu, a gdy cesarz w orszaku senatorów i wśród okrzyków ludu udał się do Palatynu, wtedy Laktancyusz został w tyle, aby wśród ciszy nocnej zająć się własnymi myślami. Przed dziesięciu laty odbywał także Dyoklecyan wjazd do tej samej świątyni Zwycięstwa i tam zapowiedział senatorom, że nie chce prędzej umrzeć, dopóki zupełnie nie wytępi chrześcijaństwa; w pięć lat potem, gdy polały się potoki krwi męczenników, odczytano w tej samej świątyni dokument abdykacyjny, przez który Dyoklecyan zrzekł się korony. Dzisiaj żył on jeszcze, złamany na ciele i duchu w odosobnieniu na wybrzeżu Dalmacyi; — gdyby on tak mógł być w ten wieczór w Rzymie, aby oglądać to zwycięstwo chrześcijaństwa nad pogaństwem!

Zmęczony długiem stanieniem, wszedł starzec po schodach świątyni w górę; chciał tam sobie

usiąść, aby w spokoju mózdz powodzić oczyma po różnobarwnem i ruchliwem życiu na Forum, a duchem pobujać w przyszłości, w dalszych losach Rzymu pod berłem cesarza chrześcijańskiego i pomyśleć o dalszym rozwoju Kościoła, gdy Konstantyn uwolni ręce jego z krwawych edyktów.

Wszedłszy po schodach świątyni do góry, zdziwił się on niemało, spostrzegłszy tam Symmachę, który z założonemi rękami, oparty o słup stał w ponurem zamyśleniu.

W pobożnej nadziei, że dawnego swego ucznia zastanie pod wrażeniem tak poważnych wypadków w zamyśleniu nad błędami pogaństwa, zbliżył się do niego i pozdrowił go uprzejmie.

Gdy senator spostrzegł starca, wtedy czoło jego zachmurzone żasepiło się jeszcze bardziej.

— O wy skryci wrogowie państwa — rzekł z goryczą — jak wy się teraz cieszyicie nad zwycięstwem, które jest największem nieszczęściem, jakie spotkało Rzym. Ale jeszcze nie wasza wygrana! Jak długo Rzym stoi, to każdy tryumfator składał nieśmiertelnym bogom dzięki na Kapitolu, a tymczasem Konstantyn nawet Wiktorii, bogini zwycięstwa, nie złożył ofiary: ta zbrodnia nie może ujść mu bezkarnie!

— Jeśli ty łżysz nas chrześcian jako wrogów państwa — odparł Laktancyusz spokojnie — to powiedz mi, kiedy się zbuntowaliśmy przeciwko tym nawet cesarzom, którzy nas najsrożej uciskali? Modliliśmy się jako wierni poddani za nich i za całe państwo, a nadzieję położyliśmy w Bogu. Nazywasz dzień ten nieszczęsnym dla Rzymu, a ja cieszę się, że więzienia się otwierają, że miecz katowski idzie na spoczynek, a naj-

bezpieczniejsze tyraństwo samoznawca skończyło się. Jeżeli zaś bogowie twoi okazali swoją bezsilność wobec tego znaku, który Konstancya poprowadził do Rzymu, to Chrystus bronić będzie cesarza i nadal przed ich zemstą; gdyż cóż przemogą złe duchy przeciw wszechmocnemu Bogu? Zaprawdę, jeżeli nie ty, to syn twój niezawodnie dożyje tego, że posąg bogini zwycięstwa usunięty zostanie z senatu, a posągi bogów o tyle mieć będą wartość, o ile jako piękne dzieła sztuki zasługiwać będą na zachowanie i ocalenie z pośród ogólnego zniszczenia pomników bałwochwalczych.

— Gdy motłoch dojdzie na chwilę do władzy i potęgi, staje się od razu hardym i zuchwałym — odrzekł Symmach z wyrazem najgłębszej pogardy.

— Twarde twoje słowa uniewinniam wielkiem rozgoryczeniem — mówił starzec dalej — gdyż oto prawda po trzechsetletnim ucisku wychodzi zwycięsko. Nie pierwszy to zresztą dzień, w którym świat przekonuje się o boskości chrześcijaństwa i o błędach, w których brodził. Czyż oddawna już nie zapadają się i nie porastają mchem wasze świątynie i schody, gdy tymczasem posągi bogów powleczone są pajęczyną? Cemuż to tak konwulsyjnie czepiasz się trupa i obstajesz przy zabobonie, który w przyszłym pokoleniu istnieć już tylko będzie wśród ciemnego motłochu?

Symmachus odwrócił się od swego nauczyciela, nie odrzekłszy już ani słowa i gniewając się na ucieszony lud, puścił się krętymi drogami do swego pałacu. Ale Laktancyusz mimo to

prawdę przepowiadał, gdyż syn tego Symmachusa napróżno rozwinął całą potęgę swej wymowy, aby ocalić dla senatu wysoce ceniony wizerunek bogini zwycięstwa, tej ostatniej podpory upadającego pogaństwa. Za następców bowiem Konstantyna ołtarz i posąg bogini naprzemian usuwano, to znów podnoszono, ale już tylko na krótko, gdyż większość chrześcian w senacie była głucha na wywody syna Symmachowego; tylko pewien chrześcijański poeta, Prudencjusz, podniósł głos, aby nie niszczone posągów tych, jako dzieł wielkich i słynnych mistrzów i przez to ocalił wiele zabytków sztuki pogańskiej od zguby. W tę też noc Laktancyusz powziął myśl i zrobił sobie zarys do swego sławnego dzieła: *De mortibus persecutorum* t. j. o śmierci prześladowców, w którym według zapisków historycznych opisuje upadek tych wszystkich, którzy Kościół św. prześladowali.

Gdy Symmachus w drodze do domu doszedł do świątyni Romy, stojącej wśród poważnego i cichego zmroku, oparł się o jeden z porfirowych słupów przedsionka i zdala od przewalających się fal ożywionego ludu, z tej samotnej wyżyny powiódł okiem po forum wraz z wszystkimi jego świątyniami, posągami i pomnikami tysiącletnich przesławnych dziejów i utkwiał wzrok swój w świątyni i warowni Kapitolu, których wspaniałe zarysy majestatycznie malowały się na mrocznem tle tej uroczystej nocy. Dla niego, co ten Rzym wraz z odziedziczonemi po ojcach urządzeniami pokochał z całą dumą prawdziwego Rzymiannina, który z taką pewnością liczył na cudowne poparcie swych bożyszcz w dniu dzi-

siejszym, dla niego dzień ten był dniem nieszczęsnych, straszniejszym, jak dzień klęski pod Kanami.

— O wy bogowie — zawołał, podnosząc obie zaciśnione pięści ku niebu, podczas gdy łyzy najwyższego gniewu i najokropniejszej zgryzoły spływały po jego licach — czemuż tę klęskę dopuściliście? Och, ty złoty Rzymie, władco wszechświata, zwycięsko nad wszystkimi narody, tyś teraz pokonany, spełnany przez zwolenników ukrzyżowanego Żyda! Powstańcie z grobów waszych Scypionie, Katonie, Auguście, a wspomóżcie mię w jęku i skargach nad godziną, która na tron Cezarów podniosła zdrajcę naszych i pradziadów naszych bogów nieśmiertelnych!

— Tak może przemawiać tylko najszlachetniejszy z Rzymian, senator Symmachus — prze-rwał mu jakiś głos.

Był to Gordeanus, kapłan słońca, który właśnie złożył był bogu swemu taurobollum, t. j. ofiarę z byka.

Obaj mężowie poznali się jako przyjaciele z lat młodocianych i kilka słów wystarczyło im, aby się przekonać, iż żywią te same uczucia i mają zupełnie sobie podobne zapatrywania.

Podczas gdy Gordyanus odprowadzał senatora do jego pałacu, rzekł do niego, nawiązując do ostatnich słów Symmachusa:

— Gdy bóg słońca zstępuje wieczorem do morza, wtedy rozpościera się mrok nocy ponad ziemią, a szorpion i żmija wychodzą z swych kryjówek, niosąc zgubę i śmierć. Lecz niepokonany bóg śpi krótki tylko czas. Gdy ciepłą jeszcze krew byka ofiarnego rozlałem na jego

ołtarzu i w tajemniczych modlitwach zaklinałem jaśniejącego władcę niebios, aby ocalił Rzym od hańby, ażeby przecież nie poddał się Ukrzyżowanemu, wtedy pokazała mi się w świętych znakach następująca wyrocznia: Po roku lat Przyjdzie kolej na czarnoksiężnika z Nazaretu.

— A jakże ty sobie tłómaczysz te ciemne słowa? — zapytał Symmachus.

— Rozwiązanie nie ulega żadnej wątpliwości — odparł Gordyanus. — Jak nasz rok liczy trzysta sześćdziesiąt i pięć dni, tak też znowu rok lat oznacza trzysta sześćdziesiąt i pięć lat. Po upływie tego roku lat zaginie zabobon chrześcijański.

— Według twojej wyroczni właściwie już ostatnie miesiące twego roku lat minęły — odrzekł Symmachus; — gdyż nieszczęsne te błędy już czwarte stulecie bałamucą świat. A jednak akurat dzisiajszy dzień...

— Szkorpion, który dzisiaj odbył wjazd swój uroczysty do Rzymu — przerwał mu Gordyan, który odrazu odgadł myśli senatora — i żmija galilejska, która się z nim sprzymierzyła... nie, szlachetny Symmachu, one się nie utrzymają przy panowaniu. Bóg słońca powstanie znów z tryumfem na Wschodzie, rozproszy mroki noene, zmusi gadzinę do cofnięcia się w swoje brudne kryjówki, a ten przepyszny poranek jest nam bliższy, niż sądzisz.

— Jakże mam w to uwierzyć? — zapytał z goryczą senator — skoro przekłete imię Naza-reńczyka odbyło dzisiaj uroczysty wjazd do Rzymu, do kuryi senatu i na Palatyn?

— Pamiętaj o Maksyminie, cesarzu na Wscho-

dzie, który jest zawziętym wrogiem chrześcian i który poprzysiągł im zgubę — odparł Gordyan. — Między nim a Konstantynem musi niechybnie przyjść do walnej bitwy, która rozstrzygnie o panowaniu w całym wielkiem państwie rzymskiem, a na nieśmiertelne bogi, Maksymin niezawodnie zwycięży!

To rzekłszy, rozstał się Gordyan z swym przyjacielem i zwrócił się w kierunku Palatynu, aby władcę zawiadomić, że za odniesione przez niego świetne zwycięstwo złożył mitrasowi (bogowi słońca) uroczyste ofiary.

Podczas gdy dowódcy Konstantyna w pysznym pałacu Augusta wśród wesołej uczt cieszyli się po przebytych trudach, Konstantyn zmęczony wypadkami ubiegłego dnia, prędzej od innych wycofał się ze zgietku, siedząc w jasno oświetlonej przepysznej komnacie, którą rano jeszcze Maksencyusz zamieszkiwał.

Zwycięskie oznaki polowe jego wojsk ustawione były w środku sali nakształt piramidy, nad którą unosiło się, niby szczyt korony, labarum.

Z zadumaniem przebiegł myślą i wspomnieniem wypadki z ostatnich tygodni, począwszy odtąd, jak ruszył z Gallii aż do walnej bitwy, która się dzisiaj rozegrała, a im więcej nad tem rozmyślał, tem żywiej utwierdzało się w nim przekonanie, że swoje świetne powodzenie zawdzięcza li tylko pomocy jakiejś wyższej ręki, że na Rzym poprowadził go Ten, w którego imieniu przedsięwziął tę wojnę.

Przed jego oczyma odbijało się z pomiędzy trofejów labarum wraz z imieniem Chrystusa, a jako przedtem siało śmierć i zniszczenie w sze-

regach nieprzyjacielskich, tak teraz rozlewało dziwne łaski w duszy jego.

Konstantyn upadł na kolana przed znakiem, wznosił ręce ku niebu z wyrazem najżywszej wdzięczności dla Boga chrześcian, a po trzechsetletniej krwawej walce, jaką władcy świata prowadzili przeciw imieniowi chrześcijańskiemu, teraz on, cesarz, klęczał w modlitwie u stóp Ukrzyżowanego.

W tej chwili stare bożyszcza runęły w przepaść; w dziejach rozpoczyna się z tą chwilą nowy okres.

Konstantyn chciał dziś jeszcze uroczyście i publicznie złożyć dowód swego usposobienia chrześcijańskiego. Jeżeli dotychczas chrześcijaństwo było zmuszone w jamach i podziemnych kryjówkach szukać sobie schronienia, to odtąd miało w swej głowie widzialnej otrzymać na mieszkanie pałac cesarski na jednym z najpiękniejszych wzgórz Rzymu, w środku ówczesnego miasta, mając naprzeciw siebie Palatyn i Kapitol, a u stóp Koloseum, gdzie tyle krwi męczeńskiej lało się, aby wywalczyć zwycięstwo dla Krzyża. Neron kazał wytępić całe pokolenie Lateranów, zabrał także ich pałac stojący na pagórku niebieskim, Coelius; pałac ten bywał często siedzibą cesarzy: odtąd miał stać się własnością i siedzibą papieża.

Właśnie w tej chwili, gdy Konstantyn powziął owo postanowienie i własnoręcznie podpisał odnośny rozkaz, przekazujący pałac laterański na wieczną własność papieży, przybył Kandydus, prosząc o posłuchanie. Cesarz przyjął go tem milej, ile że on był najodpowiedniej-

szym posłańcem do zanieśienia tej wieści papieżowi. Któż zresztą był tego bardziej godnym i któż z większą radością dopełniłby tego polecenia?

Kandydus opowiedział cesarzowi, jako w ostatniej chwili zdołał szczęśliwie ocalić swoją matkę wraz z innymi skazanymi. Następnie opisał cesarzowi w żywych barwach wszystkie cierpienia i doświadczenia, jakie przebyć musiał Rufinus i córka jego Walerya, jako też bohaterską odwagę, jaką ta ostatnia okazała; równocześnie prosił cesarza gorąco o zniesienie wydanego przez Maksencyusza nakazu konfiskującego posiadłości byłego prefekta miasta, i aby pozwolił ojcu i córce wrócić do swego pałacu czemprowadzaj.

Konstanty słuchał jego opowiadania o ocaleniu chrześcian i radości spotkania się z matką, z wzrastającym współczuciem; lecz gdy Kandydus opisywał mu udręczenia Rufina, wtedy lica pokraśniały mu gniewem, a zmarszczywszy brwi ponuro, rzekł:

— A więc tak haniebnie i podle obchodzono się z najwyższym urzędnikiem miasta? Pierwszem mojem staraniem będzie, aby mu wynagrodzić krzywdę, którą mu wyrządzono. Czuję potrzebę zobaczenia się z dawnym towarzyszem broni, z nim — mówił dalej Konstantyn a przytem pogodny uśmiech rozjaśnił jego oblicze. — a także z jego córką, której bohaterską odwagę odmalowałeś mi w tak żywych barwach, z tak gorącym uniesieniem, mój dzielny trybunie, że mi się prawie zdaje, jakoby krwawe zapasy Marsa, bożka wojny i dziki szczęk broni..., no, ale o tem pomówimy może później. Teraz idź do

Rufina i zanieś mu wraz z mojem pozdrowieniem wiadomość, iż przywracam mu wszystkie dobra i posiadłości; jeszcze dziś wieczorem wydam odnośne rozkazy. Spodziewam się za to po nim, że nie będzie się wahał pod panowaniem Konstantyna objąć napowrót urząd, który pełnił za Maksencyusza. Lecz to powiem mu o sobiście; gdyż jutro chcę widzieć się z nim i córką jego. Ale, mój drogi trybunie, mam jeszcze dla ciebie inne polecenie. Idź natychmiast do biskupa Milcyadesa i oddaj mu ten dokument. Jest to dekret, napisany przezemnie własnoręcznie, który wyznacza jemu i następcom jego po wszystkie czasy pałac laterański na mieszkanie. Oby Chrystus, który poprowadził mnie do Rzymu, przyjął łaskawie w dowód wdzięczności tę ofiarę, którą składał jego namiestnikowi na ziemi przez darowanie mu godnego mieszkania. Jutro zaś wydam edykt zwracający chrześcianom wszystkie kościoły i cmentarze, zabrane im za panowania Dyoklecjana.

Oczy młodocianego wojownika błysnęły świętą radością. Podczas całej tej wyprawy wojennej przedstawiał sobie Kandydus często w pobożnych pragnieniach swoich nadzwyczajny przewrót, którego w kościele dokona nawrócenie się Konstantyna; teraz nadzieje jego ziściły się, to też niewysłowna radość wzruszyła jego serce.

— Cesarzu mój — zawołał z uniesieniem — polecenie twoje dodaje mi skrzydeł i z głębi duszy dziękuję ci, iż obrałeś mnie za posłańca, aby zanieść to pismo papieżowi. Składał ci także dzięki i za tę drugą łaskę. Rufinus bawi z swoją córką u mojej matki w pałacu latera-

neńskim; biegnę zaraz do nich. Jakże się wszyscy wspólnie radować będą na tę weeołą wieść, gdy im doniosę o tych dwóch dowodach twej wielkiej łaski.

Konstantyn uśmiechnął się.

— Mam nadzieję, że droga do biskupa nie wiele zbacza od drogi do pałacu lateraneńskiego.

— Spodziewam się, iż będę mógł od matki mojej zasięgnąć wiadomości, gdzie bawi świętobliwy starzec.

— Zresztą pragnę także gorąco — mówił dalej Konstantyn — wyrazić twej matce uznanie za bohaterską odwagę, którą poznałem w jej synu. Sądzę, iż będę ją mógł odwiedzić za kilka dni, chyba, że ona mię uprzedzi i przyjdzie do mnie wraz z Rufinem i jego córką.

— Cesarzu mój — odparł Kandydus — najgorętszem pragnieniem mojej matki jest to, aby do stóp złożyć ci podziękowanie za to, iż powierzyłeś w moje ręce labarum i będzie poczytywać sobie za dowód największej łaski, jeśli wolno jej będzie wraz z Rufinem i jego córką stanąć przed twojem obliczem.

— Jutro rano — zauważył Konstantyn — przyjdzie pół wojska senatorów i rycerstwa, aby mi przynieść pozdrowienie poranne; dam więc urzędnikom dworskim rozkaz, aby was natychmiast wpuszczono.

To rzekłszy, pożegnał cesarz swego trybuna.

W przedpokoju spotkał się Kandydus z Gordyanem. Kapłan słońca rzucił na młodzieńca spojrzenie najzawziętszej nienawiści, ale Kandydus uradowany wcale na to nie zważał. Gordyanus kazał prosić cesarza o posłuchanie dla

siebie, a cesarz kazał mu przyjść następnego poranku.

Kandydus tymczasem pobiegł do swej matki.

W drodze spotkał się z senatorem Anicyuszem Paulinem: odnalazł on swoje dzieci szczęśliwie, żadnego nie brakowało. Pełen błogiego szczęścia ojciec podbiegł ku młodocianemu przyjacielowi i zawołał:

— Kandydzie, Bóg wysłuchał modlitwę moją, odtąd wierzę w Jezusa Chrystusa!

Kandydus tymczasem z swojej strony opowiedział przyjacielowi pokrótce, jakie niesie z sobą polecenia i poszedł dalej do Lateranu.

Wiadomość, że Konstantyn wraca Rufinowi jego posiadłości i urząd, przyjął Rufinus i córka jego z wielką wdzięcznością dla łaskawego monarchy; a i drugą wiadomość przyjęto z nadzwyczajną radością. Ta cesarska darowizna była nie tylko uznaniem Kościoła chrześcijańskiego w państwie rzymskim, które Kościoła nie uznawało a nawet tępiło, ale świadczyła także o pobożnem usposobieniu Konstantyna.

— O! — zawołała Walerya, a oczy jej jaśniały i lica pokraśniały świętem uniesieniem — teraz nasienie krwi męczeńskiej poczyną kiełkować. Do ciemnych grobów przebija się promień poranny zmartwychwstania, Magdalena ociera łzy swoje, a Kościół śpiewa radosne Alleluja! Chrystus vincit! W osobie Konstantyna cały Rzym, cały okrąg ziemski pada na twarz przed Synem Bożym. Szlachetny trybunie, biegnij, pędź, a zaniesź tę nowinę radosną jak Zmartwychwstanie, Ojcu świętemu i całemu Kościołowi! Czcigodnego starca znajdziesz przy cmentarzu Walen-

tyna przy drodze flamińskiej, tak nam właśnie powiedział poczciwy grabarz Mincysz. Jakąż radość sprawi ta wiadomość tak jemu jak i wszystkim braciom!

Kandydus pożegnał się, gdyż pora była spóźniona a miał jeszcze przed sobą inną drogę. Przy pożegnaniu umówiono się, o której porze następnego dnia spotkają się w pałacu. Następnie Kandydus puścił się w drogę, zwracając się w stronę cesarskich stajen, leżących na południe od Palatynu. Ponieważ młodocianego trybuna wszędzie znano, więc odrazu przedstawiono mu dzielnego wierzchowca. W ulicach po części jeszcze oświetlonych panował jeszcze ruch i wesołość wśród ludu. Dopiero gdy Kandydus wydostał się z sieci ulic i zaułków a wyjechał na zaciszniejsze pole Marsowe i w aleje drzew prowadzące do bramy flamińskiej, mógł koniowi popuścić cugli i ruszyć kłusem.

Lecz podczas gdy ciało biegło lekkim pędem nocą przez zaciszne i opuszczone ulice, to przed oczyma ducha przedstawiały mu się uroczne obrazy. Wyprawa wojenna zakończyła się świetnym zwycięstwem; cieszył się znowu posiadaniem najdroższej matki, którą prawie z rąk śmierci mu przypadło wydostać; on sam posunął się aż do stopnia trybuna wojennego; nawrócenie się Konstantyna zaś ziściło jego najświętsze i najgorętsze pragnienia. Czyż nie spełniły się przez to wszystkie nadzieje jego, nakształt rozkwitłych pączków?

Czyż to wszystkie nadzieje? Podczas gdy jedne pączki rozwijają się w kwiat, inne znów dopiero przychodzą do życia.

Nagle uwaga jego zwróciła się w inną stronę. Z daleka dolatywał uszu jego wśród ciszy nocnej jakiś śpiew, który go dziwnie wzruszył. Czyż to nie były znajome jakieś melodie psalmów i hymnów kościelnych?

Wkrótce miał się o tem upewnić.

Ze wzgórza, na którem znajduje się wchód do cmentarza św. Walentego, zstępowała jakaś jaśniejąca procesya. Wszyscy jej uczestnicy, dzieci i dorośli, mężczyźni i kobiety, trzymali w ręku płonące pochodnie. Na czele pochodu niesiono wielki napis Chrystusa utworzony sztucznie z świeczek — a błogosławione imię Chrystusa jaśniało wspaniale w tej uroczystej nocy.

Na ten widok ogarnęło Kandyda głębokie wzruszenie; łzy rzewnej pobożności spływały po licach zahartowanego wojownika-młodzieńca.

Nie podlegało żadnej wątpliwości, że kościół święty pod kierownictwem Chrystusa Pana a z papieżem na czele opuszcza katakumby, aby wśród radosnych a uroczystych śpiewów odbyć wspaniałą wjazd do stolicy świata.

Kandydus zsiadł z konia i oczekiwał na przejście uroczystej procesyi. Niebawem dolatywały go już wyraźne słowa pieśni. Był to psalm 113 In exitu Israel de Aegypto (Przy wyjściu Izraela z Egiptu), ów psalm wspaniały, który opiewa wyjście ludu wybranego z niewoli i jego oswobodzenie z pod jarzma Faraonowego. Jakże cudownie stósowały się słowa świętego psalmisty do obecnego położenia:

Nie nam, Panie, nie nam, ale Imieniowi Twemu daj chwałę;
Dla Twojej wierności, że nie będą mogli rzeknąć poganie:

Gdzież jest Bóg ich?

Nasz Bóg — On w Niebie tronuje, a wszystko co zamysła,
wykonuje.

A bożyszczaka ich są złoto i srebro, dzieło rąk ludzkich.

Niech się stanie jako one ten, co je sprawił i wszysey po-
kładający w nich nadzieję;

Leoz Izrael zaufał Panu, On jest jego Obrońcą i Zbawcą.

A Pan wspomniął na nas i pobłogosławił Izraelowi.

Jesteście błogosławieni od Pana, od Niego, który stworzył
Niebo i ziemię;

A my żyjący chwalimy Jego teraz i po wszystkie wieki.

Kandydus nucił z cicha pienia za innymi, a
gdy procesya zbliżyła się ku niemu, dał znak,
aby się zatrzymano, przystąpił potem do biskupa
a wręczając mu pismo władcy, zwiastował wszy-
stkim donośnym głosem poselstwo cesarskie.

Któż opisze radość i uniesienie chrześcian?
Modlitwy dziękczynne, które zanosili do nieba z
podniesionemi rękami, mieszały się z błogosła-
wieństwami i życzeniami dla cesarza.

Gdy świątobliwy starzec wyraził zamiar, że
chciałby zaraz następnego poranku złożyć władcy
osobiście swoje i Kościoła podziękowanie, Kan-
dydus oświadczył mu się z gotowością wprowa-
dzenia go do cesarza. Następnie znowu dosiadł
konia i popędził ku miastu, odwracając raz po
raz oczy ku jaśniejącemu imieniu Chrystusa na
czele postępującej za nim zwolna procesyi.

Na polu Marsowem napotkał Kandydus jakiś
orszak pogrzebowy. Na czele postępowały dwie
osoby z pochodniami, za nimi dwaj mężczyźni
nieśli zwłoki zmarłego. Za trumną szły wolnym
i smutnym krokiem dwie tylko niewiasty.

Właśnie złożyli strudzeni tragarze mary na ziemi, aby odetchnąć na chwilę.

Na widok tak prostego i skromnego orszaku sądził Kandydus, że to pewnie jakąś biedną osobę z ludu niosą na miejsce wiecznego spoczynku; lecz tem większe było jego zdumienie, gdy spostrzegł ponad zwłokami okrycie z kosztownej purpury z szeroką złotistą obwódką.

— Kogóż to grzebicie? — zapytał ciekawie, wstrzymując konia.

Wtedy jeden z mężczyzn uchylił zasłonę a w blasku pochodni widać było strasznie zmienioną twarz niewieścią.

Kandydus mimowoli zadrżał na całym ciele.

— To jest żona Maksencyusza — rzekł grabarz z lodowatą obojętnością, aż dreszcz przejął wszystkich — ona się dobrowolnie otruła. Niewolnice jej chcą ją pogrzebać w jej posiadłości wiejskiej obok grobu syna.

Tragarze podjęli nosze na ramiona i tak szybko ruszyli dalej, że dwie niewiasty zaledwie mogły zdążyć za nimi.

— To obraz pogaństwa! — rzekł Kandydus przejęty głębokiem wzruszeniem i w zamyśleniu jechał dalej w kierunku Palatynu, gdzie generalny sztab cesarza Konstantyna otrzymał wyznaczone leże.

Droga, którą jechał, wiodła obok panteonu, czyli świątyni wszystkich bogów. Gmach ten wystawiony za czasów Augusta przez Agrypę, uważany był wraz z swą olbrzymią kopułą już za czasów pogańskich za najwspanialsze dzieło budownictwa; nazywano go też dla wykończonej harmonii wszystkich części „utworem boskim”.

Żadna z świątyń w całym Rzymie nie mogła się poszczycić tak przepyszną wspaniałością wnętrza zdobnego w różnobarwny marmur, złoto i inne drogie kruszce w najbogatszych rysunkach. W siedmiu wielkich framugach, niby kaplicach wspartych na wspaniałych filarach, stały wielkie posągi bogów: naprzeciw bramy stał posąg Jowisza, obok zaś po obu stronach stały posągi Junony, Minerwy, Marsa, Wenery i innych.

Na gzymsach wybuchały jeszcze ostatnimi płomieniami niektóre z tysięcznych lamp glinianych, ustawionych tamże dla iluminacyi z okazji wjazdu Zwycięzcy do Rzymu.

Gdy Kandydus przejeżdżał obok panteonu, wstrzymał mimowoli rumaka na kilka chwil, aby przypatrzyć się z podziwem wspaniałej budowie sterczącej w majestatycznej wielkości ku niebu przysłoniętemu gwiazdzistym płaszczem nocy.

— Kiedyż — zapytał sam siebie — część bogów zamieszkujących tu niby na swoim Olimpie, zaniknie tak, jako te lampy tu gasną jedna po drugiej? A wtedy cóż się stanie z tą wspaniałą budową?

Ach, gdybyż on był mógł przewidzieć, że to szczytne dzieło starożytnego budownictwa zachowa się po dziś dzień w ten sposób, że po oczyszczeniu go z posągów niedorzecznych bogów poświęcony zostanie Królowej Nieba i z świątyni bogów stanie się kościołem na pamiątkę wszystkich męczenników! W roku bowiem 609 papież Bonifacy IV otworzył po wiekowem zamknięciu panteon, przeistoczył go na kościół chrześcijański, dając mu nazwę: Sancta Maria ad Martyres. Od tego czasu poczęła się także uroczy-

stość Wszystkich Świętych, w przeciwieństwie do panteonu czyli przybytku wszystkich bogów.

Już od dawna cały Rzym po utrudzających wzruszeniach upłynionego dnia pogrążony był w śnie głębokim, tylko w pałacu lateraneńskim dwoje okien było jeszcze oświetlonych. Jakże Irena mogłaby zasnąć? Jej całe życie tak pełne doświadczeń, walk i ofiar przemykało się przed jej duszą niby chmurny ponury dzień, który atoli wieczorem dziwnie wspaniale się wypogodził. Pełna błógiego szczęścia dziękowała niebu za przebyte cierpienia i za radość, jaką jej w dniu tym zgotowało; ale do podziękowania załączyła jeszcze jedną prośbę do tronu boskiego, prośbę, której wysłuchanie miało uzupełnić jej szczęście.

Ale i Walerya nie mogła zasnąć. Wśród natłoku szybko po sobie następujących zdarzeń nie znalazła ona dotychczas odpowiedniej chwili, w której mogłaby Kandydowi wręczyć złotą puszkę (bulla) albo też zwrócić ją Irenie. Teraz owa puszka leżała przed nią, gdyż w pobożnej ciekawości otworzyła ją. W puszcze znajdowała się gąbka nasiąknięta i zbarwiona krwią Kastula; Walerya pomyślała o relikwii swej własnej matki, której się już spodziewać nie śmiała; jakżeby się czuła szczęśliwą, gdyby w zamian za to mogła zatrzymać sobie tę puszkę! Gdyby przynajmniej mogła się podzielić tą zakrwawioną gąbką; bezwątpienia Kandydus nie odmówi jej tej przyjemności, jeśli go jutro o to poprosi. Lecz dziewczyna uczuła, rumieniąc się, że nie wiedzieć dlaczego, nie miałaby odwagi wyrazić mu swą prośbę.

XVI.

Zapłata.

Rzeka Tybr wyrzuciła w nocy na brzeg wielką ilość trupów tych wojowników, którzy zginęli w jej nurtach; między innymi znajdował się także trup Maksencyusza. Niektórzy żołnierze z obozu Konstantyna znaleźli go rankiem u brzegu i wydobyli na ląd.

Jeszcze był okryty cesarskim płaszczem, lecz tenże był zgoła błotem zmazany. Twarz była wykrzywiona w najokropniejszy sposób; w dziłkich jej rysach odbijała się wściekłość, rozpacz i ostatnie wysiłki walki śmiertelnej — w włosach i brodzie pełno kału — zaiste straszny i wstrętny widok. Żołnierze zaraz zabrali się do obdarcia trupa z złota i kosztowności, któremi się podzielili. Następnie ucięli mu głowę, natknęli ją na dzidę i nieśli z tryumfem do obozu; chociaż nie udało się im żywcem schwycić tyrana, przynajmniej głowa jego miała zdobić ich pochód tryumfalny. Opodal od obozu na jednym z wzgórz zatknęli oszczep z głową na wierzchołku, jako okropny znak zwycięstwa.

Do tej grabieży popełnianej na trupach wyrzuconych lub wydobytych na brzeg przyłączył się także motroch rzymski. Rozpoczął się zatem rabunek na wielką skalę. Tylko u jednego trupa grabież się nie udała; a był to trup jakiegoś młodego mężczyzny, leżący na płytkim miejscu wśród sitowia. Przy zwłokach albowiem znajdowała się jakaś kobieta, która z furją czarownicy odegnała rabusiów od trupa a sama usiadła w pobliżu na straży. Gdy zaś jacyś ludzie zbliżali

się do miejsca, zrywała się natychmiast, wrzeszcząc:

— Cicho, cicho, gdyż tam oto śpi cesarz! Czyż nie wiecie, że mój syn pobił Konstantyna w pojedynku? W południe cesarz Sabinus odbędzie uroczysty wjazd do Rzymu.

Podczas gdy Sabina, która widocznie dostała pomieszania zmysłów, z rozpuszczonemi włosami i dzikim spojrzeniem, z suknią powalaną mułem rzeczonym, stała na straży przy trupie syna, Herakliusz oczekiwał w przedpokoju cesarskim chwili, w której Konstantyn zawezwie go wraz z innymi do siebie.

Herakliusz przebył od wczoraj południa chwile najokropniejszego niepokoju. Cały rój szpiegów i siepaczy, którymi się przedtem zwykle posługiwał, wypowiedział mu służbę i posłuszeństwo, skoro tylko rozeszła się wieść o śmierci Maksencyusza; z jakąż goryczą spostrzegł on teraz, że wszyscy czempredzej uciekli z tonącego okrętu jego szczęścia! Niepewność co do losów Sabina, z rozpaczą granicząca obawa jego żony o syna, niepokój i bojaźń o swoją własną przyszłość, zwłaszcza gdy pomyślał o swej przeszłości, napełniały godziny wyczekiwania wielką męczarnią. Za nadejściem nocy już postanowił potajemnie uciec z miasta, ale żona odgadła jego zamiary i gwałtem go od tego powstrzymała. Rankiem następnego dnia przyniósł jeden z niewolników wiadomość, że syn ich leży utopiony u brzegu Tybru. Na tę wiadomość Sabina dostała z boleści i wzruszenia pomieszania zmysłów a na domiar nieszczęścia udało jej się niespostrzeżenie wymknąć się z domu. Herakliusz był

zbyt zakłopotany, aby mu przyszło na myśl wystać za nią ludzi w pogoń, teraz własne już tylko ocalenie zaprzętało myśl jego. Cóż zresztą pozostawało mu do wyboru, jak tylko, albo sobie odebrać życie, albo też przeprowadzić plan pozyskania sobie łaski Konstantyna? Lecz on nie chciał umierać; ze zgrozą myślał o sądzie i po nim następującej wieczności, w którą teraz wierzył, gdyż wierzyć musiał, mimo swojej woli; tak więc zerwał się do działania i poszedł do cesarza.

Przedewszystkiem chodziło mu o to, aby wkraść się do łaski Konstantyna, zanim tenże dowie się o nim czegoś niepochlebnego, dlatego też on pierwszy znalazł się w przedpokoju cesarskim dla złożenia mu pozdrowienia porannego. W czasie, gdy musiał czekać, zdołał trochę zebrać swoje myśli, a gdy wreszcie przyszła nań kolej do stawienia się przed cesarzem, wtedy ważność tej stanowczej chwili wróciła mu zupełną roz wagę i przytomność umysłu.

Padłszy przed cesarzem na kolana, ucałował jego rękę i zaczął tak:

— Urząd, który piastowałem za twego poprzednika samozwańca, mógłby w oczach twej boskości przemawiać na moją niekorzyść, gdybym nie był w stanie przedłożyć ci najwyraźniejszych dowodów, jako w czasie, gdy służyć musiałem tyranowi, byłem sercem i duszą oddanym twej boskiej osobie. Spodziewam się, że dobroć i łaskawość twoja nie policzy mi tego, że musiałem nieraz wykonywać rozkazy, które w sumieniu potępiałem. Zdala od bezecności, która udaje wierność a spiskuje z nieprzyjaciół ty-

mi, starałem się owszem uniemożliwić zdradę przez to, że tych oto listów nie dopuściłem do tyrana.

To mówiąc, przedłożył Herakliusz cesarzowi listy arcykapłana Gordyana do Rufusa.

Czoło Konstantyna zmarszczyło się ponuro przy czytaniu listów, o których prawdziwości wątpić nie było można. Człowiek, który mu w imieniu bogów zapowiadał i przyrzekał świetne zwycięstwo, potajemnie podawał wrogowi rękę, aby mu toż zwycięstwo wydrzeć!

Zdrada była oczywistą, a Gordyanus winien był najsroźszej śmierci. Ale jakież wrażenie musiałyby to wywrzeć na wszystkich zwolennikach starych bogów tak w mieście jako i w wojsku, gdyby nowy cesarz zaraz na wstępie do swoich rządów kazał stracić pierwszego kapłana słońca w Rzymie?

Dlatego też zdradzenie tych podłych listów było Konstantynowi wcale nie na rękę, jak sądził Herakliusz.

— Jest to mała usługa — dodał tenże — którą wyświadczam twojej boskości; ale spodziewam się, że zdołam ci jeszcze lepiej udowodnić moje przywiązanie. Nikt chyba lepiej nie zna usposobienia poszczególnych rycerzy i senatorów, a twoja boskość zadziwi się, gdy się dowiesz, ilu z nich jest dla ciebie wrogo usposobionych.

Konstantyn zrozumiał, do czego dworzak zmierza, lecz ukrył swoją niechęć.

— Rządy w takim mieście jak Rzym — mówił dalej Herakliusz — są po prostu niemożliwe, jeśli nie ma się pod ręką całej gromady pewnych szpiegów. Cała ta siatka pajęcza wychodzi i u-

chodzi do tajnej kancelaryi cesarskiej. W ten sposób każde wyrażenie, choćby ono padło w łonie rodziny lub w ścisłym kole przyjaciół, dochodzi zawsze i z pewnością do twych boskich uszu.

Oburzyło to cesarza do żywego, że Herakliusz poważył się doradzać mu do posługiwania się podłymi szpiegami i donosami, przez co mnóstwo szlachetnych mężów i niewiast dostało się na wygnanie lub zgoła poniosło utratę majątku i życia. Przypomniało się Konstantynowi, co mu mówił Kandydus o Herakliuszu, gdy opowiadał mu o smutnych kolejach, które przechodził Rufinus i jego córka. Jakże trafnie osądził Kandydus tego człowieka!

— Ponieważ jesteś tak dokładnie o wszystkim powiadomiony — rzekł Konstantyn i utkwiał w niego swój orli, bystry wzrok — to może będziesz mi mógł szczegółowo opisać koleje byłego prefekta miasta, a mojego przyjaciela młodości, Rufina, którego Maksencyusz złożył z urzędu?

Herakliusz zbladł, lecz wkrótce znowu ochłonął i rzekł:

— Jako ofiara okrutnego tyrana umarł on z nędzy w więzieniu dla skazanych do robót publicznych; córka pogrzebała go przy drodze apijskiej. Jeszcze chyba nigdy — dodał beczelnie Herakliusz — nie użyto tak podłych środków, aby zgubić najszlachetniejszego męża w świecie.

Konstantyn już nie zdołał pohamować swego oburzenia, słysząc ostatnie słowa podstępnego Greka.

— Maksencyusz co prawda miał prawny pozór do ścigania Rufina — zauważył Konstantyn

— ponieważ mu podłożono kilka listów sfalszowanych, pisanych niby to przezemnie i moich dowódców do Rufina. Nawet w aktach codziennych jest o tem wzmianka. Czy możesz mi powiedzieć, kto kazał podrabiać te listy? Czy możesz mi powiedzieć — powtórzył Konstantyn a z oczu sypały się iskry na służalca — kim był ów podły Grek, co wtrącił prefekta Rzymu do więzienia mamertyńskiego, jakiej ceny żądano od córki za uwolnienie ojca, kto go skazał między więźniów skazanych do robót publicznych, a córkę jego wyrzucił na ulicę, jak żebraczkę?... I ty śmiesz jeszcze stanąć przedemną i ofiarować mi wstrętne i nikczemne twe usługi? Nie, Rufinus nie umarł jeszcze; Chrystus, któregoś ty, nikczemniku, wyparł się i któregoś prześladował, ocalił go przed twemi zasadzkami.

Herakliusz upadł cesarzowi do nóg a pełzając po ziemi jak wąż, błagał go o łaskę i przebaczenie, ponieważ działał tylko jako wierny sługa Maksencyusza. Ale na dany przez Konstantyna znak zjawił się setnik, który odbywał straż w przedpokoju.

— Odwieść mi tego nikczemnika — rozkazał Konstantyn — do więzienia mamertyńskiego. Tam niech go zamkną w najciemniejszym i najgłębszym lochu. Spodziewam się, że w całym Rzymie nikt w tym stopniu nie zasługuje na śmierć, jak ten podły Grek.

Na skinienie setnika przybyli żołnierze i wywlekli Herakliusza z pałacu cesarskiego.

Tymczasem w przedpokojach i w podwórzcu zebrała się znaczna liczba dostojników, którzy

przybyli tu, aby cesarzowi złożyć pozdrowienie poranne; wszyscy poznali Herakliusza i już wiedzieli, jaki czeka go los, ale nikt nie czuł politowania, każdy odwracał się z wzdargą od tego widowiska.

Właśnie gdy żołnierze prowadzili więźnia ze wspaniałych schodów pałacu, wchodził po schodach do pałacu Kandydus, lecz on go nie znał. Ale za to Herakliusz poznał odrazu Waleryę, a na ten widok blada twarz jego posiniała. Z przerażeniem patrzył on na dziewczę, kolana mu drżały i gdyby go jeden z żołnierzy nie był rubaszenie popchnął naprzód, więzień byłby upadł z omdlenia.

I cóż go tak zmięszało na widok Waleryi?

Herakliusz widział ją zawsze w czarnej żałobnej sukni, stroskaną i zbolalą; tak klęczała przed nim, gdy błagała go o życie dla swego ojca, tak całowała jego rękę, obiecując zostać małżonką jego syna, aby tylko uzyskać uwolnienie Rufina, w takim stanie i ubiorze odprawiał ją Herakliusz z forum szorstkimi słowy, gdy chciała czasem ojcu swemu zanieść coś na wzmo-cnienie lub ochłodę. Ponieważ zwyczaj dworskie nie pozwalały na to, aby ktoś w żałobnych szatach przychodził na posłuchanie, więc dziewczę wzięła dzisiaj na się szatę świąteczną zamiast swojej zwykłej czarnej. Miała więc na sobie tak zwaną dalmatykę, jasną szatę barwy safianowej, z której od obu ramion spadały aż do stóp dwie czerwone purpurowe, złotem naszywane wstęgi; był to przywilej pań i dziewczę ze znakomitych rodów. Głowa okryta była białą zasłoną, włosy kędzierzawe kładły się na szlachetnem czole. Na

szyi zaś miała prosty sznurek kosztownych pereł. Na ramionach zaś i na krajach szaty przypięte były rozety złotem i perłami naszywane. W oczekiwaniu tak ważnego posłuchania zwykła bladeść jej oblicza ustąpiła dzisiaj ujmującemu rumieńcowi a rysy jej uśmiechały się pełnią szczęścia, które jej zgotował dzień wczorajszy. Dzisiaj więc dziewica czyniła wrażenie istoty jakiejś nieziemskiej, anielskiej, tak była urodziwą i piękną. Wśród tłumów, które na podworcze przed schodami stojąc, pilnie się wszystkim wstępującym na schody przypatrywały, odzywały się szepty i pytania, kim jest ta cudna i wspaniała dziewica; chrześcijanie zaś widząc ją między biskupem Milcyadesem a dorodnym wojownikiem, pozdrawiali ją jako uosobienie Kościoła wychodzącego zwycięsko z wszystkich prześladowań; cóż więc dziwnego, że Herakliusz ogłuszony potępiającym wyrokiem Konstantyna, bliski pomieszczenia zmysłów z śmiertelnej trwogi, spostrzegłszy ją tak nagle, upatrywał w niej jakąś postać nadprzyrodzoną?

Ale jeśli widok Waleryi napawał Herakliusza bojaźnią, za to Kandydus był zachwycony tą zmianą, jaka zaszła w zewnętrznej postaci dziewczicy, gdy przyszedł dzisiaj rano do mieszkania swej matki, aby obie niewiasty poprowadzić do cesarza. Porównywał on ją w duszy z drogim kamieniem, gdy mistrzowska ręka złotnika z starej, zardzewiałej oprawy wyjąwszy, wprawia go w czyste złoto; z ciemnem źródłem bijącem ze skały, nad którem słońce nagle rozlewa strugi świetlne; z różą, która wraz z porankiem z pączka się wybija.

On sam też już nie był, jak wczoraj zakurzonym, strudzonym z nadzwyczajnego napięcia, wzruszonym wielkimi i niezwykłymi wypadkami ważnego dnia, ale jaśniał czerstwą młodością, w wspaniałym mundurze, zaiste, wojownicza, ale i urodziwa postać. Walerya ledwo się ośmieliła utkwąć w nim swój wzrok.

Irena zaś miała na sobie szatę długą, sięgającą aż do stóp, jak ją nosiły sędziwe panie z znakomitych domów. Ponad tą szatą była obszerna zasłona „palla”, która okrywając głowę w bogatych fałdach okrywała całą postać.

Przy składaniu cesarzowi pozdrowienia porannego trzymano się zwyczajów dworskich zaprowadzonych już za pierwszych cesarzy a pomnożonych za Dyoklecjana. W ciężkiej, białej todze, dawniejszym ubiorze urzędowym, czekano w przedpokojach pałacu, aż przyjdzie czas posłuchania. Słudzy dworscy zaś wpuszczali czekających według stopnia i urzędu przed oblicze władcy.

Konstantyn odrazu zyskał serca Rzymian przez to, że odwiedziny przyjmował stojąc, nie w postawie siedzącej; zniósł także zaprowadzone przez Dyoklecjana całowanie ręki; ujmująca zaś grzeczność, jaką wszystkim okazywał, odbijała bardzo dodatnio od rubasznej bezwzględności Maksencyusza, jako też od zimnej, wspaniałej a niedostępnej wzdardy, którą okazywał dumny Dyoklecjan.

Rufinus ledwo miał tyle czasu, aby odpowiedzieć wszystkim senatorom i rycerstwu na serdeczne ich pozdrowienia; bez poprzedniego zgłoszenia wprowadzono go zaraz do sali przyjęcia.

Konstantyn ujrzawszy Irenę u boku Kandyda, podszedł kilka kroków ku matronie i złożył jej uprzejme życzenia, że jest matką takiego syna, u którego nie wiedzieć co więcej podziwiać, czy dzielność czy wspaniałoduszność.

— Dziki szczęk oręża — mówił cesarz — przygłusza niestety dość często głos Boski w nas, i zbyt łatwo serce nasze powleka się także żelaznym pancerzem wojennym; niepohamowany Mars czyni syny swoje także niepohamowanymi i niejeden bohater na polu bitwy składa tchórzliwie broń w duszy przed nieprzyjacielem. Lecz syn twój nie tak czynił. Wojna oddaje ci go tak czystym i nieskałanym jak był przedtem, tylko na duchu i ciele zahartowanym, a bogatym w zasługi i chwałę. Twej radości macierzyńskiej nie mści żaden cień, żadna plama.

Gdy zaś papież do swego podziękowania dodał, że Kościół rzymski a z nim wszyscy bracia błagają Najwyższego w gorących modłach, aby na cesarską jego głowę zlał jak najobfitsze swe błogosławieństwo, Konstantyn odrzekł papieżowi:

— Za ziemskie dary płacisz monetą niebiańską, a przyjmuję ją tem chętniej, że tylko na Boskiej łasce i pomocy buduję trwałość mego panowania i sławę mych rządów.

Następnie przywitał Konstantyn Rufina serdecznie jako dawnego towarzysza broni; z żywym współczuciem wspomniął na cierpienia, które z iście chrześcijańską mocą ducha przebył on i córka jego, a zarazem prosił go, aby przyjął z rąk jego znowu urząd prefekta miasta.

Piękna postać Waleryi wprawiła cesarza zaraz na wstępie w zdumienie. Nie uszła też jego

uwagi jaśniejąca radość, jaka malowała się na twarzy dziewczicy, podczas gdy Konstantyn tak wymownemi słowy wychwalał zasługi Kandyda. Cesarz zwrócił się więc zaraz do młodzieńca i rzekł, wskazując na trofeje zwycięstwa z labarum u szczytu:

— Po skończeniu wyprawy wojennej odbieram z rąk twoich, mój dzielny trybunie, chorągiew polną, którą ci powierzyłem. Nosileś ją z taką chwałą, że chcę ci powierzyć jeszcze coś kosztowniejszego; a sądzę, że tem prędzej przyjmiesz tę ofiarę, ponieważ to nie jest moją własnością. Wprawdzie nie pytałem się jeszcze właściciela tego skarbu, o jego zezwolenie, ale uczynię to w tej chwili: Rufinie, oto ja proszę cię o rękę córki twojej Waleryi dla mego trybuna Kandyda.

Te tak niespodziewane słowa cesarza zrobiły na wszystkich a szczególnie na obydwóch interesowanych nieopisane wrażenie. Kandydus upadł cesarzowi do nóg, czuł się bowiem zbyt szczęśliwym. Walerya zaś musiała oprzeć się na piersi stojącej obok Ireny.

— Cesarzu mój — odparł Rufinus — wypełniasz to, co sam w tajemnicy mego serca w nadziejach sobie ułożyłem i z radością oddaję naszlachetniejszemu z twoich wojowników najdroższy klejnot, jakim mnie niebo obdarzyło.

— Moje lube dziecko — rzekła Irena, obejmując czule Waleryę — a więc w twojej osobie ofiaruje mi Bóg córkę!

Konstantyn tymczasem podniósł Kandyda i poprowadził go do Waleryi. Rufinus złożył rękę dziewczicy w rękę Kandyda

— Cóż mogłoby godniej zastąpić ołtarz — rzekł sędziwy biskup i wskazał na labarum — jak ten znak Najświętszego Imienia? Jako kapłan Boży błogosławieństwo zatem w imię Chrystusa temu świętemu związkowi, który dzisiaj z sobą zawieracie i błagam dla was nieba o wiele łask i szczęścia. Bądźcie szczęśliwymi w posiadaniu skarbu, który ty, Kandydzie, sobie wywalczyłeś w boju, a ty, Waleryo, wywalczyłaś przez cierpienia! Niechaj wasz związek będzie wyobrażeniem jedności i zgody, która odtąd łączyć będzie państwo z Kościołem Chrystusowym, skoro nam niebo zesłało cesarza, który upatruje dobro państwa nie w prześladowaniu, lecz w opiekowaniu się Kościołem, i który ojcowską iście ręką stara się zagoić rany, jakie mu zadały pożądowania godne zaślepienie i wcale niesprawiedliwa nienawiść.

Jeszcze tego samego poranku wziął papież pałac laterański w posiadanie i wyznaczył tamtejszą bazylikę domową, czyli salę wielką spoczywającą na dwóch szeregach kolumn na katedrę rzymskiego biskupa. Dotychczas stanowił katedrę papieży rzymskich kościół świętej Pudencyany, córki senatora Pudensa (Wstydliwego), w którego domu święty Piotr zwykł był zgromadzać pierwszych wiernych; odtąd bazylika laterańska miała zostać „matką i głową wszystkich kościołów stolicy i świata całego”.

Edykt zwracający chrześcianom ich święte miejsca i przybytki powitali wierni z nadzwyczajnym zapalem i błogosławili głośno łaskawego

pana, a kapłani tytularni objęli znów swoje stanowiska. Oczywiście w wielu miejscach napotkali wielkie zniszczenie a nawet zbezczeszczenie. Stary, czcigodny kościół świętego Klemensa zamieniony został w świątynię Mitrasa, a kościół w domu Lucyny zgoła na menażeryę; inne zaś kościoły służyły za magazyny, a z dawnych ozdób wewnętrznych pozostały tylko nędzne szczątki i gruzy. Lecz z bezprzykładną ofiarnością pełną zapału i uniesienia, rozdawali chrześcijanie wszystko co mieli, aby święte przybytki podnieść i ozdobić, a każdy dzień, w którym gdzie w kościele znowu rozpoczęto odbywać święte obrzędy, był dla wszystkich dniem radości. Jeszcze w sto lat potem w wierszach pisanych przez poetę Prudencyusza rozbrzmiewa zapał i uniesienie, które napępniały chrześcijan w owych błogich czasach. Radość tę zwiększała ta okoliczność, że wielu pogan nawróciło się i porzuciło błędy pogańskie, które nie zbawiły Maksencyusza i prosili papieża, aby ich przyjął do Kościoła. Do pierwszych należeli trybun Artemiusz i senator Anicyusz Paulinus wraz z dziećmi swemi.

W dzień po zaręczynach Kandyda z Waleryą postępował jakiś orszak złożony z uczestników widocznie szczęśliwych bramą apijską; młoda para odbywała pielgrzymkę razem z rodzicami do grobów Sofronii i rodzeństwa Kandyda, aby na nich złożyć kwiaty i wieńce.

Ale nie byli oni jedynymi pielgrzymami, co zbliżali się do katakumb. Już wczas rano szli wierni w większych lub mniejszych grupach, wszyscy świątecznie ubrani, drogą apijską. Tego

bowiem dnia, 30-go października obchodził Kościół uroczystość papieża i męczennika Poncyana, a nawet podczas najsrozszych prześladowań nie zaniedbano nigdy obchodzić jego pamiątki przez uczestniczenie w świętych tajemnicach, w grobie papieskim w katakumbach św. Kaliksta;* tak i dzisiaj radość Kościoła tryumfującego miała odbijać się o groby męczenników. Grabarze w nocy jeszcze zabrali się -do odkopania zasypanego otworu jako też do uprzątnienia schodów prowadzących do grobowca; droga zaś od drogi apijskiej aż do wschodu posypana była kwiatami i świeżą zielenią, drzwi zdobne w girlandy z liści i kobierce, a kaplica także jaśniała świątecznie girlandami jako też mnóstwem lamp.

Lekka nawałnica, która przeszła rano, uprzątnęła w deszczu kurz z ulic i odświeżyła całą przyrodę. Przez skłębione masy chmur przedzierały się tu i owdzie promienie słońca, zdobiąc ich krawędzie ognistemi obwódkami, a chociaż włoskie niebo czaruje zwykle przeczystym lazurem, jednak zachwyca także jasnymi chmurami.

Walerya i Rufinus długo modlili się u grobu matki i żony, a zaś Irena i Kandydus modlili się gorąco u grobu obydwóch dziewczic, które przez męczeństwo odniosły nad światem wielkie zwycięstwo.

W ubiegłych tygodniach przebiegała Walerya tak często ulicę apijską z sercem pełnem zgryzoty, bólu i troski, gdy pogrzebała matkę, gdy gotowała grób dla ojca i nareszcie gdy po raz ostatni miała żegnać się z Ireną. Rufinus przystąpił dzisiaj do miejsca wiecznego spoczynku swej małżonki jako chrześcianin, za przyczyną

modlitw małżonki i córki doszedł po licznych doświadczeniach na drogę prawdy. Tą to drogą włączono Irenę do cyrku, aby tam poniosła śmierć bez pożegnania się z swym najdroższym synem, mimo że tenże tak blisko się znajdował. Z jakąż trwogą w duszy gnał Kandydus obok pomników Api, z jakże gorącym uczuciem wołał do niebios, aby nie spóźnił się, lecz przybył w sam czas!

Uczestnicy tego orszaku myśleli o tych swoich przygodach, a w oczach Ireny i Waleryi jaśniały czasem łzy radości, łzy wielkie jak perły; potem znów błogi uśmiech przemykał po ich rysach, jak słońce rozprasza deszcze. Jeszcze nigdy nie uśmiechała się tak do nich zieleń drzew i barwy kwiatów; wile na pochyłości wzgórz albańskich zdawały się pozdrawiać ich jako wesole dzieci; w czystym a orzeźwiającym powietrzu ciepłego dnia jesiennego brzęczały pszczoły, chrząszcze i komary, a w dodatku o dziwo! gdy oglądnęli się wstecz w stronę miasta, ujrzeli przepyszną tęczę, która majestatycznie sklepiła się nad ich szczęściem i pokojem, dodając mu tysiącznych barw.

Po półgodzinnej jeździe dojechali do cmentarza św. Kaliksta, a pod przewodnictwem Waleryi cały orszak z pochodniami i wieńcami zeszedł do miasta umarłych. Gdy po krótkiej wędrówce doszli do celi, w której spoczywała Sofronia, a którą cechował podwójny napis poświęcony jej przez Rufina a obok próżny grób, który swego czasu Walerya zgotowała swemu ojcu, wtedy opanowało ich wielkie wzruszenie, a szczególnie Walerya nie mogła powstrzymać łez gwałtem się

do oczu cisnących i wybuchła głośnym płaczem. Atoli boleść ta była łagodna, błoga, osłodzona świętą pociechą. Nasuwało się wprawdzie obydwom życzenie: obyś ty żyła jeszcze, aby dzielić z nami to nasze szczęście! Lecz czuli także, że ona jest blisko nich i spogląda na nich czule z przybytku błogosławionych. Teraz też dopiero pojął Rufinus w zupełności treść swojego napisu: „*Sophronia dulcis, semper vives Deo, Sophronia vives*” ; Słodka Sofronio, ty żyć będziesz zawsze w Bogu); w milczeniu wydrapał dłućkiem zostawionem przez jakiegoś grabarza na tynku jeszcze trzeci napis:

„*Sophronia, vives felix cum tuis!*” (Sofronio, żyj szczęśliwie z Twoimi!)

Teraz jako chrześcian był Rufinus przekonany o prawdzie zasady wiary naszej, która tyle w sobie zawiera pociechy, że śmierć nie stanowi przepaści między umarłymi a pozostałymi przy życiu, tylko niby lekka zasłona odgranicza wiernych Kościoła wojującego a tryumfującego. Był przekonany, że Sofronia nie tylko wiecznie żyć będzie w Bogu, ale że także stać będzie u boku swoich najbliższych z niebiańską miłością; jako w dniach doświadczeń i utrapień wspierała męża i córkę modłami przed tronem Wszechmocnego i Miłosiernego, tak teraz w niebie dzieli z nimi cichą a błogą ich radość.

Obydwa pierwsze i trzeci napis jako wyptyw iście chrześcijańskiego uczucia, zachowały się do dziś dnia w katakumbach św. Kaliksta. Walerya i Irena złożyły wieńce na grobie matki i przyjaciółki i udały się następnie do miejsca spoczynku dwóch dziewcz.

Był to prosty grób, w którym spoczywały zwłoki dwóch dziewczic męczenniczek obok siebie; na grobowcu nie było nawet żadnego napisu. Ale Irena kazała nad grobem swych córek wymalować jako wzory biblijne trzech młodzieńców babilońskich, a teraz, gdy płomienie prześladowania już przygasły, czuła wielki pociąg do zaintonowania hymnu, który zanucili owi męczennicy starozakonni.

Kandyda powołano do służby wojskowej z domu rodzicielskiego, z pośród zabaw dziecinnych, gdyż zaledwie wyszedł z lat chłopięcych; powróciwszy z wyprawy wojennej, stał teraz wraz z matką przed grobami sióstr swoich; tymczasem zwłoki ojca męczennika spoczywały zasypane w dołach piaszczystych przy ulicy łacińskiej, czekając, aż syn podniesie je stamtąd i wystawi im grób w środku katakumb, który po wszystkie czasy uwieczni imię św. Kastula. Syn i matka powiesili nad grobem dwa wieńce z kwiatów; Kandydus oprócz tego zaopatrzył kamień marmurowy w zwycięski monogram Chrystusa, za którego wyznanie obie siostry poniosły chwalebną śmierć męczeńską, w którym teraz zażywały pokoju wiecznego, ciesząc się wieczną radością pospołu z ojcem swoim.

Walerya oprowadzała następnie orszak po najznakomitszych grobach męczenników, do kaplicy, w której od stulecia grzebano zwłoki papieży, do przyległego grobu św. Cecylii, do kaplicy podziemnej św. Sotery i do najstarszego oddziału cmentarza, gdzie spoczywała św. Lucyna, uczennica świętych apostołów. Są to te same święte miejsca, które do dziś dnia stanowią

cel pobożnych pielgrzymek, chociaż święte szczątki ciał męczenników dawno przeniesione zostały do kościołów miasta, a czas jako też barbarzyństwo dzikich ludów wiele z nich poniszczyło. Wtenczas jeszcze wszystko było nietknięte, sarkofagi, trumny, kamienne płyty przed pojedynczymi grobami, lampy, którei oświetlano w rocznicę śmierci zmarłego groby, przedmioty wciśnięte w świeże wapno tynku, które przypominały chrześcianom zapieczętowanie grobu Chrystusa Pana i jego Zmartwychwstanie, tudzież malowidła, którei ozdabiano sufity i ściany grobowców.

Podczas tej wędrówki po katakumbach napotykali często na większe lub mniejsze grupy wiernych, którzy z świeczkami w ręku odwiedzali święte miejsca; często gęsto dołatywały ich uszu odgłosy ich pobożnych pieśni; wiele grobów przyozdobionych było w świeże wieńce, na innych zaś płonęły lampy wmurowane w płyty grobowe.

Walerya umiała wszystko z dziwnym wdziękiem objaśniać. Jako ogrodnik, obchodząc między bujną zielenią swych regularnych grząd to tu, to tam odcina jakąś gałązkę, pączek lub kwiatek, aby z nich uwić wspaniały wieniec lub bukiet, tak umiała Walerya czarująco objaśniać tu jakiś napis, tam znowu jakiś symbol lub malowidło; prowadziła ona przyjaciół do bogato ozdobionej kaplicy, to znów zatrzymywała się przed prostym nagrobkiem, gdzie spoczywały resztki ciał mnogich męczenników rozszarpanych przez dzikie zwierzęta lub spalonych na stosach; albo wreszcie oprowadzała pobożny orszak z piętra na piętro po wszystkich ulicach i zaułkach

wielkiego miasta umarłych. Rufinus z zachwytem słuchał każdego słowa, które wyszło z ust uko-chanej córki; a i Kandydus, który zachował tylko wspomnienie katakumb z czasów najpierwszej młodości, nie wiedział, co więcej podziwiać: czy bogactwo i klejnoty, które mieściły w sobie święte skarbce kościoła, czy też głęboką pobożność i wzniosłe pojmowanie, z jakim jego narzeczona umiała wszystko przedstawiać i objaśniać.

— Patrz-no tutaj — rzekła Walerya, prowadząc swoje towarzystwo do jednej kaplicy zdobnej w filary i bogato malowaną framugę — to malowidło zostało wykończzone dopiero przed kilku miesiącami. Jestto jedno z najumiejętniejszych przedstawień w naszych cmentarzach: Wyobrażenie dobrego pasterza, symbol przedstawiający Pana, który zbłąkaną ludzkość na miłosier-nych ramionach zanosí do owczarni, którą jest Kościół jego. Z głową zwróconą ku niemu, ciśnie się naokoło niego wierna trzoda, a jego posłannicy rozbiegają się na wszystkie strony świata, rozsiewając wszędzie między narody ziarno zbawienia, które przyniósł nam Chrystus. Jedni słuchają wprawdzie z utęsknieniem i skruczą poselstwa pełnego łask, ale inni brną dalej w zmysłowości i rozkoszach ziemskich, albo odwracają się hardo od pasterza i jego posłanników.

— Znajduję się dopiero w przedsionku kościoła — zawołał Rufinus, uradowany i zdziwiony zarazem wzrok utkwivszy na malowidle — a już tu wszystko, co widzę, jest tak piękne! Cóż dopiero danem mi będzie oglądać za wejściem do wnętrza świątyni Pańskiej!

Ustawicznie zadawał Waleryi pytania, aby go pouczała, a im więcej się dowiadywał, tem bardziej rozjaśniało się w duszy jego.

— Powiedzże mi, co oznacza ta ryba, którą tak często na obrazach widuję — zapytał Rufinus, gdy zatrzymali się w najstarszym oddziale katakumb przed ciekawem wyobrażeniem, na którem odmalowana była pływająca po wodzie ryba tuż obok koszyczka z chlebem i winem.

Walerya nie odkryła jeszcze ojcu podczas nauk przygotowawczych do chrztu w więzieniu mamertyńskim tajemnicy, którą odkrywano przy nauce zwykle dopiero na samym końcu; dlatego, gdy ojciec jej zadał to ostatnie pytanie, spojrzała pytająco na Irenę, a ponieważ matrona skinęła z uśmiechem głową, odpowiedziała:

— Na grobach widzimy wyrytą już to rybę już też grecki wyraz „ichtys”, oznaczający rybę. Wyraz ten rozłożony na pojedyncze głoski daje początkowe litery do pięciu słów greckich oznaczających Chrystusa Pana: „Jezos Christos Theu Hios Soter (Jezus Chrystus, syn Boży, Zbawiciel). W ten sposób ryba stała się symbolem Chrystusa Pana. Dlatego też widzimy na kamieniach grobowych wizerunek, albo też wyraz ryby, który znaczy, że nieboszczyk umarł we wierze Jezusa Chrystusa, syna Bożego i w nadziei w przyszłe Zmartwychwstanie przez zasługi śmierci Zbawcy. Podobnie też jest ryba ta — mówiła dalej Walerya, wskazując na malowidło — która jako żywa podnosi się nad wodę, wyobrażeniem Syna Bożego, który powstawszy z toni cierpień do życia wiecznego po prawicy Ojca, jest przecież w połączeniu z nami przez cudowny po-

karm, który nam ofiaruje. Wprawdzie oku i smakowi naszemu wydaje się ten pokarm tylko chlebem i winem, ale w rzeczywistości na jego słowo wszechmocne przemienia się w nadprzyrodzony, niebieski, Boski pokarm.

Tu Walerya zatrzymała się, gdyż obawiała się dalej uchylić zasłonę tej boskiej tajemnicy, Ale Rufinus patrzył w zamyśleniu na obraz i rzekł:

— Na innym obrazie widziałem rybę obok kosztów pełnych chleba jako pokarm dla zawieszanych na ucztę gości; tu ryba obok chleba i wina stanowi niejako jedność. A ponieważ według twego objaśnienia ryba wyobraża nam Chrystusa, więcby ten zupełnie nadprzyrodzony, niebieski i Boski pokarm, który naszym zmysłem wydaje się tylko chlebem i winem, miał być...

Rufinus zamilkł, myśl ta albowiem wydawała się mu zbyt wzniosłą i świętą, aby ją wymówić.

Zachwytem jaśniejące oko Waleryi i błogi uśmiech na jej ustach dawały mu milczącą, ale wymowną odpowiedź potwierdzającą.

— O moje dziecko — zawołał Rufinus głosem wzruszonym — jestże to możliwem choćby nawet w przypuszczeniu, aby Bóg tak bardzo zniżył się do nędznego stworzenia i czyż może robak w prochu się tarzający przyjąć Boga do siebie? Czyż nie zgniecie człowieka majestat Boski i nie spali go jego wielkość?

— Miłosierdzie Boże, które wisiało na krzyżu dla naszego zbawienia — odpowiedziała Walerya — stanęło z rozpiętymi rękami między nie-

bem a ziemią, między Bogiem a ludźmi, ściągnęło Boga Nieskończono-
nego do prochu, a podniosło syna
ziemi aż do serca Boga, Ojca nas
wszystkich.

— A mogeż ja — zapytał Rufinus a łza sta-
nęła mu w oku — który tak długo służyłem zni-
komym bożyszczom i tak uporczywie odpycha-
łem od siebie łaskę, mogeż ja nikczemny grze-
sznik mieć nadzieję, że będę przypuszczony do
przyjęcia tego chleba niebieskiego, aby mego Bo-
ga i Stwórcę... o moje dziecko, moje dziecko...
czyż wolno mi wyciągnąć ręce do Syna Bożego,
czyż moje usta będą mogły dotknąć się go, a
serce będzie mogło go objąć w sobie? Nie, ja
nie jestem tego godzien! Ale wolno mi modli-
twą podziwiać i uwielbiać Go i miłosierdzie Je-
go w postaci chleba; wolno mi przypatrywać
się, jak wy, czyste i świętobliwe dusze przyjmu-
jecie Go do siebie i zatapiacie się w Nim. O,
teraz widzę dokładnie — mówił dalej — o jaki
cud rozbiła się moc i potęga cesarzy; teraz poj-
muję, dlaczego święci męczennicy z taką radością
zapałem i uniesieniem szli na śmierć i nie ulękli
się przed narzędziami męczarni, na których wi-
dok ja zadrżałem na całym cielem.

Irena i Kandydus przysłuchiwali się tej roz-
mowie z wzrastającym wzruszeniem. Oni rozu-
mieli i pojmowali wprawdzie ten niewysłowny
sakrament lepiej i głębiej od Rufina, a jednak
silne zrobiło na nich wrażenie, gdy spostrzegli
zachwyt jego i podziw błogi, skoro mu tę taje-
mnicę objaśniła Walerya.

— Ale powiedzże mi — rzekł znowu Rufinus, który nie mógł się oderwać od tego obrazu — przez co i jakimże to sposobem przemienia się chleb i wino w ten pokarm niebieski, w ową Boską rybę, w Jezusa Chrystusa, Syna Bożego i Zbawcę naszego? Ty się wahasz mi z daniem mi odpowiedzi; o, pozwól mi jeszcze choć cokolwiek dalej zajrzeć w tę tajemnicę Boską! Ja już przeczuwam, że ta przemiana odbywa się zupełnie cudownym, Boskim sposobem. Czy może Pan Bóg ukazuje się wprost z nieba między nami, gdy wszyscy połączeni i zgromadzeni jesteśmy na wspólnej modlitwie, aby Swą Boską Wszechmocnością dokonać tej niewysłowionej tajemnicy? Albowiem któż oprócz Niego byłby tak świętym i miałby taką moc?

— Objaw mu już wszystko! — rzekła Irena i Kandydus jednogłośnie do Waleryi, zachwyceni gorącością uczuć, z którą Rufin pragnął dotrzeć do świętej tajemnicy.

— Ojcie — rzekła Walerya, a głos jej brzmiał jeszcze uroczyściej — obok tego ołtarza, gdzie była przedstawiona uczta, widzieliście jeszcze inny obraz, mianowicie mężczyznę odzianego w szeroki płaszcz, jak nosili się dawniej nasi kapłani na wzór filozofów pogańskich, stojącego obok stołu (wyobrażającego ołtarz) o trzech nogach. Mąż ten rozkłada ręce nad chlebem i rybą leżącą obok na misce. Naprzeciwko wyobrażona jest niewiasta modląca się z rękami wzniesionymi ku niebu.

Tu Walerya wstrzymała się na chwilę; musiała jeszcze bardziej skupić ducha, aby tę tajemnicę godnie mu przedstawić. Potem rzekła ze wzruszeniem:

— Słowo, wypowiedziane nad chlebem usty śmiertelnemi, zadaje Nieśmiertelnemu i Niezmierzonemu gwałt; stawszy się wszechmocnem przez tchnienie Boskie, przemienia przedmiot martwy w żywotny, rzeczy ziemskie w niebieskie, owoc ziemi w pokarm niebieski, a pod zasłoną i postacią chleba kryje się Boska ryba na ołtarzu, Jezus Chrystus; ubóstwiając Go, stoi Kościół z rękami ku niebu wzniesionemi przed Synem Bożym, Zbawcą, z żywą wiarą w Jego słowo: „Bierzcie i jedzcie, oto ciało moje.”

Rufinus stał chwil kilka w milczeniu, mocując się z niezmierną wielkością tajemnicy, która przewyższała rozum jego. Nareszcie tak się odezwał:

— Jakże czystymi i świętymi muszą być kapłani nasi, przez których usta Chrystus niejako na nowo się rodzi; jakże nieskalanemi muszą być te ręce, którym On się powierza, ukryty pod postacią chleba! Jakaż niewymowna ta miłość Odwiecznego, który ułomnemu synowi prochu ziemnego daje moc nad sobą, że jedno słowo z ust jego wystarcza do tego, aby niską naturę chleba przemienić nie w człowieka ani w anioła, lecz w naturę Boską! Nie, nie, tego żaden ludzki rozum nie pojmie ani nie zrozumie! Ach moje dziecię — rzekł po chwili milczenia — jakże słodką jest i niebiańską nagroda za cierpienia, które poniosłem, że przez nie doszedłem

do poznania największego cudu łaski Boga dla ludzi.

— A jednak — mówiła Walerya — muszę zasłone tajemniczą bardziej jeszcze odchylić, aby wam wszystko opowiedzieć, czego uczy nas wiara o tej tajemnicy. Oto kapłan stoi przy stole, przy ołtarzu, gdyż do ofiary potrzeba kapłana i ołtarza. Lecz, aby to pojąć — dodała Walerya — musielibyście poprzednio być pouczeni o innych jeszcze prawdach naszej wiary, a obawiam się, czy was już i tak nazbyt nie utrudziłam mojem opowiadaniem.

— Czyż człek odczuwa słabość cielesną, moje dziecko — zawołał Rufinus — gdy dusza tak wysoko ponad wszystko co ziemskie się wznosi, albo czyż odczuwa więzien swoje kajdany, gdy całe niebo świeci mu do więzienia światłością Boską? Ale ojciec twój idzie za tobą jak baranek za pasterką, choćby go ona z pola rozkoszy niebieskich wyprowadziła na suchą pustynię świata tego.

Po więcej jak dwugodzinnym pobycie doszła Walerya z swoim orszakiem znowu do schodów wychodzących z cmentarza na świat słoneczny. Przez otwarty wchód wpadały promienie światła dziennego, a idąc za jego wezwaniem wyszło całe towarzystwo z katakumb. Gdy Rufinus z trudem i wysileniem wstępował po schodach, przy czem podpierała go Walerya, rzekł z wyrazem najwyższej wdzięczności:

— Gdy na stromej drodze z nocy prawdy, miłość podaje pielgrzymowi rękę, to zapomocą i łaską Boga dochodzi on przecież do swego celu.

Gdy cały orszak wyszedł z ogrodu, w którym znajdował się cmentarz, na ulicę apijską, siedział tam przy drodze, jak to zwykle bywa, chłopiec wiejski, raczący strudzonych owocami jesiennymi. W obszernym jego koszyku znajdowały się oprócz jabłek, gruszek i innego owocu także winogrona, piękne, niebieskie winogrona; chłopiec podnosząc jedno z najpiękniejszych podawał je z zapraszającym uśmiechem Waleryi.

— Owszem — zawołała dziewczica, której wczoraj, i dzisiaj raz po raz przychodziły na pamięć te słowa Sofronii — podaj to piękne, niebieskie winogrono; to moja droga matka posyła mi je! Czy przypominacie sobie jeszcze? — rzekła, zwracając się do ojca swego, a wielka, tęskna łza jak perła zawisła w jej oku, podczas gdy zgniotła w palcach jedną z jagód.

— Powłoka jest niebieską — odrzekł Rufinus z głębokim wzruszeniem, powtarzając słowa swej małżonki — ale zawarta w niej treść jest jasna i czysta, a naokół ziarn jagodowych znajduje się sok słodki; tak też ma się rzecz z cierpieniami.

Z powrotem do miasta napotkali nasi wędrowni oddział żołnierzy prowadzących więźnia okutego w ciężkie kajdany. Jakże zdumiał Kandydus, gdy poznał w skazańcu kapłana słońca, Gordyana! Równocześnie i więzień podniósł głowę, a szatańska wściekłość wykrzywiła szpetne jego rysy na widok trybuna. Znienawidzony chorąży imienia Chrystusowego, okryty zaszczytami i chwałą, promieniejący szczęściem, — a on sam skazany na śmierć, znajdował się w drodze

na odludną wyspę skalistą, dokąd go ułaskawił cesarz na dożywotnie wygnanie!

W ośm dni potem klęczeli Kandydus i Waleria w bazylice laterańskiej przy tym samym ołtarzu, na którym kiedyś książę apostołów sprawował święte tajemnice, w towarzystwie swoich rodziców, aby w obliczu Boga i całego kościoła zawrzeć dożywotni święty związek małżeński. Konstantyn przyjął na się wyprawę oblubienicy, i wywiązał się z tego z iście cesarską hojnością. Lecz w oczach Waleryi kosztowniejszą od bogactwa pereł i drogich kamieni, od kosztowności z złotych sprzączek czy zausznic była puszka w kształcie serca, zawierająca w sobie krew męczennika Kastula, a zawieszona na jej piersi; to Irena zawiesiła cudnie przystrojonej oblubienicy świętą relikwię, jako ostatni i najcenniejszy podarek ślubny.

Z wszystkich stron ofiarowano podarki ślubne; nawet biedna Rustyka przybyła z upominkiem. Rufinus wróciwszy do pałacu, chciał im to sowicie wynagrodzić, lecz oni nie chcieli przyjąć żadnej zapłaty. Gdy przybyli z upominkiem, ofiarowali także swój podarek, biedny wprawdzie, ale może zawierający najgłębszą myśl: prostą czarkę szklaną; na dnie znajdował się złotem ryty obraz nowożeńców przed obrazem, ponad tem wieniec zwycięski, a naokoło napis:

„Vivatis in Deo!” (Życie w Bogu!)



SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Strona
I. Znak na niebie	3
II. Wierna do śmierci	19
III. Groźne chmury	39
IV. W katakumbach	60
V. Ofiara	75
VI. W więzieniu mamertyńskim	91
VII. Dobrzy przyjaciele	116
VIII. Więźniowie	129
IX. Uratowany	141
X. Przed bramami	153
XI. W przeddzień bitwy	171
XII. Drugi Baltazar	202
XIII. Bitwa	215
XIV. Wybawca	227
XV. Wjazd	253
XVI. Zapłata	280

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000446341



I 385920

[Faint, illegible text, possibly a library stamp or signature]